„ZIEMIA OBIECANA" NA EKRANIE

Str. 1 i 8

WIERSZE MAKSYMA TANKA

MAGAZYN: PLAGIAT w KUCHNI

Str. 16

LITERATURA BRUKOWA Str. 12

FAULKNER Str. 6

KIM BĘDZIESZ dyrektorze?

Str. 8

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 4(894) 23 STYCZNIA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Wydarzeniem kulturalnym można nazwać kilkudniową wizytę delegacji pisarzy białoruskich w Łodzi, na czele z MAKSYMEM TANKIEM. Z tej okazji prezentujemy kolumnę wierszy tego wybitnego poety i recenzje z „Wyboru wierszy", który niedawno ukazał się w WŁ. Jak ocenia dorobek literatury polskiej ostatniego okresu krytyka NRD? — informuje K. Freidlich. W ramach „Lekcji literatury" omawiamy twórczość W. Faulknera, w „Słowniku pisarzy łódzkich" prezentujemy sylwetkę twórczą EUGENIUSZA IWANICKIEGO. Ponadto wiele miejsca poświęcamy... „literaturze brukowej", traktując ją jako zabawę, ale także i dokument epoki, z której wywodzą się pewne nurty kultury masowej.

Jesteśmy już po premierze „Ziemi obiecanej" Wajdy. Okazja to nie tylko do szerszej refleksji n.t. filmu, co czyni E. Nurczyńska, ale przypomnienia literackiego zapisu tamtych lat czego dokunuje w publikacji „Przedreymontowskie powieści o Łodzi" doc. H. Karwacka. Na pytanie: Co było „po Reymoncie", autorka odpowie wyczerpująco za tydzień.

Po krótkiej przerwie wracamy do naszego cyklu „Dobra praca — pełny stół" reportażem J. Indelaka z f-ki, „Kraj" w Kutnie pt. „Dwa wyjścia i labirynt". L. Włodkowski w artykule „Motywacje" nawiązuje do doniosłych uchwał XVI Plenum KC PZPR. Bogaty serwis zagraniczny otwiera korespondencja A. Makowieckiego z Libanu i Syrii.

Ponadto w bieżącym numerze zebrało się kilka kontrowersyjnych listów od naszych czytelników, które stanowią nie mniej ciekawą lekturę niż prezentowane wyżej pozycje.

EWA NURCZYŃSKA

„ZIEMIA OBIECANA" NA EKRANIE

To miasto ma historię, dla której próżno szukać porównań nie tylko w warunkach polskich, jej unikalność widzieć trzeba w skali europejskiej. O tym wiemy my, współcześni. Gdy miasto to powstawało, intensywność tego aktu musiała być ogromna skoro, jak pisze Julian Krzyżanowski: „kilkumiesięcznych zaledwie studiów na miejscu wystarczyło, by spod pióra Reymonta wywinęła się zbudowana metodą, którą dzisiaj filmową nazwać by można bardzo rozległa, wnikliwa, plastyczna, obiektywna, a przecież pełna wstrząsającej wymowy relacja artystyczna, łącząca doraźność reportażu z soczystością barw malowidła epickiego". Znakomity historyk literatury polskiej słowami tymi ocenił talent pisarza, a jednocześnie ewokował polskiemu kinu możliwość zmierzenia się z utworem „zbudowanym metodą, którą dzisiaj filmową nazwać by można". Tę zaszyfrowaną w słowa historyka literatury opinię i propozycję uczynił faktem Andrzej Wajda, reżyser filmowy, którego twórczość jest w naszej współczesności najbardziej ewidentnym dowodem jedności i ciągłości narodowej kultury.

Dalszy ciąg na str. 8

HELENA KARWACKA

PRZED-REYMONTOWSKIE POWIEŚCI O ŁODZI

Zrealizowana przez Andrzeja Wajdę nowa ekranizacja najgłośniejszej powieści o Łodzi — **„Ziemi obiecanej"** Władysława Reymonta (pierwszej, przenosząc akcję w lata powojenne, dokonał w 1927 r. Aleksander Hertz i Zbigniew Gniazdowski), dalej okazję do przypomnienia jej mniej znanych poprzedniczek: **„Wśród kąkolu"** Walerii Marrené-Morzkowskiej i **„Bawełny"** Wincentego Kosiakiewicza — najwcześniejszych powieści o Łodzi

I

Zwłaszcza pierwsza z wymienionych — opublikowana w 1890 roku tylko na łamach warszawskiego tygodnika **„Biesiada Literacka"** — szybko została zapomniana, nie pamiętali jej bowiem już ci, którzy kilka lat później pisali o **„Bawełnie"**, wydanej w 1895

Dalszy ciąg na str. 9

KORESPONDENCJE z ZAGRANICY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Ahlan Wasahlan my friends

Pod ambasadą Stanów Zjednoczonych w Bejrucie stoi czołg z lufą wycelowaną w drzwi, nad którymi powiewa gwieździsty sztandar. Na wieżyczce widać libańskiego żołnierza o bladej, przejętej twarzy. Czołg stoi tam dzień po dniu i noc po nocy, co parę godzin zmienia się tylko obsługa. Wygląda to groźnie, tym bardziej że żadna inna ambasada w Libanie nie ma takiej ponurej obstawy. Ale czołg i żołnierz są tam nie po to, żeby Amerykanie się bali, tylko, żeby mogli się nie bać. Czego — to już wiedzą oni sami. Może komandosów palestyńskich, a może desantów izraelskich, które po ciemku mogą się zawsze pomylić.

Poza korpusem dyplomatycznym spotyka się także w Libanie amerykańskich turystów. Jedni siedzą w górach, gdzie na jesieni można pooddychać trochę chłodnym powietrzem, a zimą są doskonałe warunki narciarskie — inni upodobali sobie wytworne hotele stolicy.

Bejrut i w ogóle cały Liban sprawia wrażenie wielkiego bogactwa. Polski dyplomata dzieli milionową metropolię na trzy podstawowe części: starą, którą zbudowano piętnaście lat temu z betonu i żelaza, młodą, którą zbudowano pięć lat temu ze szlachetnych płyt i stali oraz supernowoczesną, którą buduje się teraz z marmurów i aluminium. Egzotyka Bejrutu ogranicza się do palm, agaw, cyprysów, ludzi, kilku uliczek portowych, po których snują się marynarze, przemytnicy i uchodźcy z różnych krajów Wschodu oraz suku, który zachował piętno arabskiego targowiska. O obozach palestyńskich nie wspominam, gdyż nie jest to egzotyka, a czarne nieszczęście.

Inne rejony Libanu, który liczy niespełna dziesięć i pół tysiąca kilometrów kwadratowych, mają atrakcje różnego rodzaju. Najważniejszą do niedawna był ostatni na świecie rezerwat cedrów (w tej chwili jest ich zaledwie czterysta: przed paroma laty grupa wysoko postawionych osobistości, dorabiających się majątku na wyrobie i sprzedaży tego szlachetnego drzewa, otrzymała surowe wyroki) oraz pozostałości antycznych miast, jak Tyr, Saida, Anjar czy Baalbek, z którego zabytkami może konkurować tylko turecki Efez. Później doszła jeszcze jedna atrakcja — odkryte ni stąd ni zowąd, kilkanaście kilometrów od Bejrutu, groty, ciągnące się kilometrami w głąb morza; trzecie pod względem wielkości świata, ale za to najpiękniejsze, wypełnione krystaliczną wodą, wyposażone przez ojca czas i matkę naturę w rzeźby i pomniki, jakich nie potrafiłaby stworzyć żadna ludzka ręka.

Dalszy ciąg na str. 4

LAUREACI NAGRÓD m. ŁODZI

PROF. DR STANISŁAW CWYNAR

Prof. dr medycyny STANISŁAW CWYNAR jest kierownikiem Katedry i Kliniki Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Łodzi, przewodniczącym Łódzkiego Oddziału Towarzystwa do Walki z Kalectwem, członkiem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, członkiem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, z-cą przewodniczącego Komisji do Spraw Ochrony Środowiska Człowieka PAN, członkiem Czechosłowackiego Towarzystwa Naukowego, Bułgarskiego Towarzystwa Neurologów, Neurochirurgów i Psychiatrów, członkiem międzynarodowego komitetu krajów socjalistycznych opracowującego metody rehabilitacji w psychiatrii, a także międzynarodowego towarzystwa zapobiegania samobójstwom.

Prof. dr. St. Cwynar od szeregu lat kieruje badaniami z zakresu profilaktyki, terapii i rehabilitacji psychicznej. Laureat tegorocznej nagrody m. Łodzi jest koordynatorem badań nad metodami leczenia alkoholizmu. Ma w swoim dorobku 86 publikacji, których jest autorem lub współautorem. Część prac prof. Cwynara ukazała się w języku rosyjskim, bułgarskim, czeskim, angielskim i włoskim.

PROF. DR GRYZELDA MISSALA

Prof. dr Gryzelda Missala należy do grona wybitnych historyków łódzkich, jest współzałożycielką Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, członkiem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, Rady Naukowej Zakładu Historii Partii przy KC PZPR, Komitetu Nauk Historycznych PAN, Rady Naukowej Muzeum Ruchu Robotniczego w Łodzi, a także komisji koordynacji badań nad historią przemysłu na ziemiach polskich w okresie kapitalizmu.

Od początku swej pracy zawodowej (1925 rok) związana jest z Łodzią. Ma w swoim dorobku naukowym wiele cennych publikacji i artykułów z zakresu dziejów przemysłu włókienniczego i klasy robotniczej w okręgu łódzkim. Prowadziła także badania naukowe dotyczące Wielkiej Emigracji, spraw młodzieży i organizacji niepodległościowych w dobie Królestwa Kongresowego. Jest wybitnym badaczem dziejów kształtowania się stosunków kapitalistycznych i klasy robotniczej w łódzkim okręgu przemysłowym.

KRYSTYNA KONDRATIUK

Krystyna Kondratiuk jest dyrektorem Muzeum Historii Włókiennictwa. W przeszło 20-letniej pracy nad tworzeniem i rozwojem jedynej tego rodzaju w Polsce placówki muzealnej propagowała kulturę i sztukę polską, a w szczególności tkaninę artystyczną. Organizowała wystawy z tego zakresu zarówno w Muzeum Historii Włókiennictwa jak i w innych ośrodkach w kraju i za granicą. Jest autorką i konsultantką pięciu filmów o rozwoju tkaniny artystycznej w Polsce Ludowej, opracowała 50 katalogów prezentujących współczesną twórczość w zakresie tkaniny.

Dzięki inicjatywie, konsekwencji w działaniu i osobistemu zaangażowaniu mgr Krystyny Kondratiuk Muzeum Historii Włókiennictwa znalazło swoją siedzibę w gmachu „Białej Fabryki", stało się instytucją znaną w całym świecie i jedną z największych, najwszechstronniej prezentujących rozwój włókiennictwa.

JAN HUSZCZA

Powszechnie znany i ceniony poeta i pisarz w ciągu 40 lat swojej pracy pisarskiej opublikował kilkadziesiąt pozycji. Jest autorem licznych przekładów z literatury rosyjskiej i radzieckiej, zwłaszcza białoruskiej. Od 1945 roku związał się z Łodzią, uczestniczy w jej życiu literackim i kulturalnym.

Jan Huszcza swoją twórczością poetycką i satyryczną zajmuje znaczącą pozycję we współczesnym polskim piśmiennictwie, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż jego wiersze i proza reprezentowane są w ponad 30 antologiach polskich i zagranicznych. Debiutował tomem poezji pt. „Ballada o podróżnych" w 1938 roku, następnie wydał tom wierszy „Pamiętnik liryczny" (1945 r.). Swoje utwory publikował w czasopismach i gazetach całego kraju. Za tom wierszy pt. „Stara pijalnia" otrzymał nagrodę Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

Mieczysław Woźniakowski to znany w Łodzi działacz społeczno-kulturalny, pedagog i wychowawca. Od 45 lat rozwija działalność społeczną i oświatową. Jest przewodniczącym Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, członkiem Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, od lat zajmuje się zagadnieniami dydaktyki języka polskiego i literatury w Uniwersytecie Łódzkim. Jako nauczyciel i wychowawca położył duże zasługi w rozwoju łódzkiego szkolnictwa, w latach 1961—1966 pełnił funkcję kuratora okręgu szkolnego m. Łodzi.

Mieczysław Woźniakowski inicjował i organizował różnorodne poczynania w dziedzinie oświatowo-wychowawczej i upowszechniania kultury. Jest autorem licznych artykułów i publikacji, wydał dwie książki: „Iskry w podziemiu" oraz „Peregrynacje szkolne". Gorący patriota Łodzi, rzecznik jej tradycji i animator życia współczesnego wniósł poważny wkład w rozwój ukochanego miasta.

ZESPÓŁ KONSTRUKTORÓW I TECHNOLOGÓW TWÓRCÓW PRZĘDZARKI BEZWRZECIONOWEJ

Nagrodzony zespół konstruktorów przędzarki bezwrzecionowej przysporzył wielkiej sławy łódzkiej technice, osiągnął sukces na miarę światową. Przędzarka RF-1 osiąga najwyższą w świecie wydajność. Nowa metoda przędzenia wzbudziła szerokie zainteresowanie naukowców i przemysłowców świata. A oto członkowie zespołu:

Inż. J. Jabłkiewicz, dyrektor Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Maszyn Włókienniczych, J. Pacholski — inżynier mechanik, kierownik pracowni w COBR Maszyn Włókienniczych. Doc. dr R. Jóźwicki jest kierownikiem pracowni w Instytucie Włókiennictwa, T. Filipczak, technik-mechanik w COBR Maszyn Włókn., J. Łaski, technik-mechanik, starszy konstruktor w COBR, doc. dr inż. T. Jędryka, dyrektor Departamentu Rozwoju Techniki w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego, mgr inż. H. Kubica, adiunkt w Instytucie Włókiennictwa, doc. dr W. Ankudowicz, kierownik Zakładu w Instytucie Włókiennictwa.

BRYGADA PRACY SOCJALISTYCZNEJ W ŁZPB IM. OBROŃCÓW POKOJU

Brygada Pracy Socjalistycznej pod kierunkiem mistrza Jerzego Wilczyńskiego w ZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex" w składzie: Jerzy Wilczyński — mistrz, Janina Ludczak — prządka, Wacława Gadaj — prządka, Stefan Dziuba — brygadzista, Janina Chabrzyńska — brygadzistka, Jadwiga Janas — prządka, Irena Majczykowska — prządka, Helena Bartczak — prządka, Wiktoria Frątczak — prządka, Cecylia Kurzawa — prządka, Józefa Opas — prządka, Helena Jagieło — prządka, Stanisława Piotrowska — prządka, Irena Michalak — prządka. Zespół stanowi wzór zdyscyplinowania i sumienności pracy. Brygada w ostatnich 6 latach zdobyła 30-krotnie I miejsce we współzawodnictwie pracy.

* * *

Tegorocznym laureatom nagrody miasta Łodzi składamy najserdeczniejsze gratulacje oraz życzenia sukcesów w pracy zawodowej i życiu osobistym.

PRZYJACIELSKA WIZYTA PISARZY BIAŁORUSKICH

Na zaproszenie łódzkiego Oddziału ZLP w dniach 22-25 stycznia gościmy w Łodzi delegację Związku Pisarzy Białorusi. Przewodniczy jej MAKSYM TANK, wybitny poeta i tłumacz literatury polskiej, prezes Zw. Pisarzy Białorusi, przewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Białorusko-Polskiej. W skład delegacji wchodzą HENACZ KLAUKO znany poeta, HENACZ BURAUKIN, poeta, redaktor naczelny miesięcznika „Młodość". IWAN CZYGRYNAU poeta i MIKOŁA TKACZOU, dyrektor wydawnictwa literackiego w Mińsku.

Wizyta białoruskich przyjaciół jest przejawem utrzymywanej od lat, żywej i owocnej współpracy pisarzy łódzkich i białoruskich. Osobiste kontakty, przekłady literatury, publikacje w gazetach i czasopismach — pozwalają twórcom kultury lepiej się poznać, zrozumieć, zaprzyjaźnić: są manifestacją ideowo-politycznej jedności.

WITAMY SERDECZNIE BIAŁORUSKICH PISARZY, NASZYCH STARYCH I NOWYCH PRZYJACIÓŁ, ŻYCZYMY IM NAJLEPSZYCH WRAŻEŃ Z ŁODZI I ZIEMI ŁÓDZKIEJ.

Z okazji 30-lecia wyzwolenia Łodzi duża grupa twórców i działaczy kultury otrzymała wysokie odznaczenia państwowe. Wśród nich znaleźli się łódzcy literaci: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymała ZOFIA LORENTZ. WACŁAW BILIŃSKI, ANTONI KASPROWICZ, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI odznaczeni zostali Medalami 30-lecia PRL oraz BERNARD SZTAJNERT — Złotym Krzyżem Zasługi.

Odznaczonym pisarzom Zespół „Odgłosów" składa serdeczne gratulacje.

LISTY LISTY LISTY

Dziękując uprzejmie za opublikowanie w Nr 47 „Odgłosów" artykułu o mojej działalności pisarskiej, bardzo proszę o wydrukowanie poniższego sprostowania, dotyczącego wczesnych faktów podanego w tym artykule życiorysu:

„W 1910 r. Bolesław Dudziński i trzej jego koledzy, po ukończeniu szóstej klasy 7-klasowej Szkoły Handlowej w Łodzi, za wydawanie „opozycyjnej" gazetki uczniowskiej, otrzymali od władz szkoły tzw. consilium abeundi wraz z... listem polecającym do dyrekcji analogicznej szkoły średniej w Pabianicach, którą ukończyli w 1911 r., uzyskując świadectwo maturalne".

Dziękując z góry za uwzględnienie prośby niniejszej, łączę wyrazy poważania

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

„BEATODRAMA"

16 maja 1974 roku, w nr 20 „Odgłosów" opublikowaliśmy „Beatodramę" Andrzeja Makowieckiego. Autor swoje rozważania na społeczne tematy oparł na autentycznych wydarzeniach, kładąc przede wszystkim nacisk na społeczne uogólnienia.

Ponieważ publikacja ta wywołała pewne nieporozumienia, ponieważ doszukiwano się łódzkich prototypów opisywanych przypadków, czujemy się w obowiązku wyjaśnić, że Andrzej Makowiecki przy zbieraniu materiału do „Beatodramy" oparł się na źródłach pozałódzkich. Jakakolwiek zbieżność jest przypadkowa.

REDAKCJA

POZNAĆ SIĘ I ZROZUMIEĆ

„Neue Deutsche Literatur", organ Związku Pisarzy NRD, jest obok **„Sinn und Form"**, najpoważniejszym periodykiem literackim naszych przyjaciół za Odrą. Za wkład w popularyzację i rozwój współczesnej kultury miesięcznik ten otrzymał w roku 1972 jedno z najwyższych odznaczeń Niemieckiej Republiki Demokratycznej, srebrny Vaterländischer Verdienstorden. I chociaż nastawiony jest głównie na prezentację rodzimych zjawisk artystycznych, stało się już tradycją, że „Neue Deutsche Literatur" sporo uwagi poświęca także literaturze przyjaciół. Tak więc w grudniu 1973 roku ukazał się specjalny, radziecki zeszyt „NDL". Dwunasty numer „NDL" z ubiegłego roku poświęcony jest w całości literaturze polskiej.

W odredakcyjnym wstępie czytamy:

W lipcu tego roku Polska Rzeczpospolita Ludowa obchodziła 30-lecie swego powstania. Także pisarze Niemieckiej Republiki Demokratycznej, ich organizacja czują się ściśle związani z tym wydarzeniem, bo są w nim określone historyczne przesłanki dla braterskiego związku naszych literatów spod znaku pokoju i socjalizmu. Na trwałych podstawach socjalistycznego braterstwa, jakie zostało stworzone i jest systematycznie rozwijane dzięki polityce rządzących w naszych krajach partii marksistowsko-leninowskich, utrzymywane są przede wszystkim w ostatnich latach wielce owocne stosunki pomiędzy Związkiem Pisarzy Niemieckich i Związkiem Literatów Polskich. Pisarze, krytycy, naukowcy i publicyści dyskutują wspólnie coraz częściej o problemach twórczości. Kierownictwa pisarskich organizacji ugruntowały tradycje spotkań roboczych prezydiów zarządu głównego, na których omawiane są każdego roku ważkie zagadnienia współpracy i rzeczywistego zbratania. Przejawy tej braterskiej, socjalistycznej wspólnoty wpływają na pełne zaufania współdziałanie organizacji pisarskich krajów socjalistycznych".

Jak z tego wynika, chociaż impuls do polskiego zeszytu „NDL" dały niedawne obchody 30-lecia PRL, nie chodzi tu tylko o odfajkowanie rocznicy, ale długofalową politykę zbliżania kultur krajów socjalistycznych. Że nie są to tylko czcze słowa świadczy o tym najlepiej dział recenzyjny wspomnianego numeru, w którym omawia się wydane w ostatnim tylko sezonie książki autorów polskich przełożone w NRD na niemiecki. Tak więc Vera Engelke z dużą znajomością rzeczy recenzuje opracowaną przez Henryka Bereskę i Heinricha Olschowsky'ego antologię pod nazwą **„Polnische Lyrik aus fünf Jahrzehnten"** („Liryka polska z ostatniego pięćdziesięciolecia") wydaną przez Aufbau-Verlag. Obejmuje ona utwory 61 autorów poczynając od Staffa i Lesmiana, a na Stanisławie Barańczaku (ur. 1946) kończąc. Twórcy antologii powzięli ambitne zadanie ukazania najcenniejszych zjawisk poezji polskiej w latach 1918—1968, toteż na równych prawach znalazły się w niej wiersze poetów Skamandra, Awangardy Krakowskiej, wileńskich Żagarów aż po pokolenie najmłodsze. Szczególny nacisk położyli Bereska i Olschowsky na wybór tych utworów, które mówią o martyrologii narodu polskiego w czasie ostatniej wojny, stąd spory pakiet wierszy **Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Tadeusza Borowskiego i Tadeusza Różewicza.** Tak obszerna antologia wymagała całego zastępu tłumaczy z języka polskiego. Okazało się, że można ich znaleźć w NRD. Wiersze polskie przełożyli: **Henryk Bereska, Annemarie Bostroem, Heinz Czechowski, Jens Gerlach, Bernd Jentzsch, Günter Kunert, Kito Lorenc, Heinrich Olschowsky, Richard Pietrass, Martin Remane, Wilhelm Tkaczyk, Alfred E. Thoss, Paul Wiens, Christine Wolter oraz Karl Dedecius z Frankfurtu nad Menem,** zasłużony popularyzator poezji polskiej w RFN.

Dodajmy, że u nas już wcześniej, bo w roku 1969, ukazała się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego antologia poetów NRD pt. „Dopowiedzenie świtu". Byłoby wszakże interesujące, sądząc po zainteresowaniu naszym krajem za Odrą prześledzić, jak we współczesnej poezji NRD załamuje się tematyka polska. Sądzę, że zebrałaby się duża księga wierszy poświęconych narodowi Chopina i Mickiewicza. Ale to tylko na marginesie rozważań o polskim zeszycie „NDL".

Powróćmy więc do zasadniczego tematu. Gerhard Rothbauer omawia kolejną nowość na rynku księgarskim, dokonany przez Henryka Bereskę przekład wyboru opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza pt. **„Das Mädchen und die Tauben"** („Dziewczyna i gołębie"). Z kolei E. R. Greulich recenzuje niemiecki przekład „Bołdyna" Jerzego Putramenta, który ukazał się pt. **„Der General"** („General"). Tę interesującą powieść, która wzbudziła u nas żywe zainteresowanie, przetłumaczyła Charlotte Eckert. W NRD przełożono także tom szkiców Ryszarda Frelka **„Das erste Jahr der Zukunft: eine polnische Chronik"** („Pierwszy rok przyszłości: kronika polska"). Przełożył ją Kurt Kelm, a autorem omówienia tej książki na łamach „NDL" jest Werner Neubert. Dla pełniejszego udokumentowania obecności literatury polskiej w NRD wspomnijmy jeszcze, że u naszych sąsiadów wydano łącznie 500 tytułów polskich książek 137 autorów, co stawia ich pod względem dokonań translatorskich na trzecim miejscu po ZSRR i CSRS.

Dopiero w świetle tych danych widać wyraźnie, że grudniowy zeszyt „NDL" nie jest zjawiskiem izolowanym, że czytelnik NRD miał już niejedna okazję spotkania się z naszą literatura. Nic dziwnego, że redaktorzy „NDL" musieli zadbać w tych warunkach o szczególnie atrakcyjne zakomponowanie zeszytu polskiego. Pomieszczono w nim rozmowę Wernera Neuberta, naczelnego redaktora czasopisma, z Jarosławem Iwaszkiewiczem, prezesem Związku Literatów Polskich. Dotyczy ona wzajemnych kontaktów obu literatur i nosi tytuł stanowiący zarazem postulat: **„Kennenlernen und Verstehen"** („Poznawanie się i zrozumienie"). Jednocześnie „NDL" drukuje dwa opowiadania Iwaszkiewicza: „Ikara", o tematyce okupacyjnej" oraz „Wiewióreczkę". Ukazało się także opowiadanie Jana Koprowskiego „Podróż przynosząca radość".

Szczególnie wiele miejsca poświęcono poezji polskiej. Na łamach „NDL" ukazała się właściwie mini-antologia pt. „Moja ojczyzna", reprezentowana przez takich poetów jak **Aleksander Rymkiewicz, Jan Maria Gisges, Julian Przyboś, Jan Babicz, Mieczysław Jastrun, Krzysztof Gąsiorowski, Eugeniusz Wachowiak, Jan Goczoł, Jalu Kurek, Adam Ważyk, Stanisław Piętak, Bohdan Drozdowski, Jan Bolesław Ożóg, Leopold Lewin oraz Urszula Kozioł.** Wiersze te nie dają zapewne pełnego obrazu tendencji współczesnej poezji polskiej, ale są próbą wiele znaczącą i na pewno przyczynią się do wzrostu zainteresowania naszą literaturą; tym bardziej że jakość przekładów jest bardzo dobra. To samo można powiedzieć o garści fraszek nieżyjącego już **Stanisława Jerzego Leca,** które przełożył niestrudzony Henryk Bereska. Współczesna literatura polska reprezentowana jest, we wspomnianym zeszycie „NDL", również przez słuchowisko Haliny Auderskiej **„Wir wollen anders sein"** („Chcemy być inni"), także w tłumaczeniu Bereski. Jakby tego nie dość, publikuje się tam obszerny esej Witolda Nawrockiego pt. **„Die Literatur in den dreissig Jahren Volkspolens"** („Literatura w trzydziestoleciu Polski Ludowej") oraz wypowiedź Jerzego Putramenta **„Züge und Tendenzen unserer Literatur"** („Cechy i tendencje naszej literatury"). Część informacyjną zamyka artykuł Rudolfa Scholza o współpracy pisarzy Wrocławia i Drezna oraz zwięzłe noty o polskich czasopismach kulturalnych: „Literaturze", „Twórczości" i „Życiu Literackim".

Druga część zeszytu „NDL" poświęcona została tematyce polskiej we współczesnej literaturze NRD. Zwracają na siebie uwagę wiersze **Helmuta Preisslera, Wolfganga Joehlinga** (jeden z nich publikowaliśmy przed dwoma laty z rękopisu na łamach „Odgłosów"). **Reinharta Wiedenbuscha** oraz **Kurta Rudolfa Boettgera. Ruth Werner** publikuje interesujące opowiadanie o Wolnym Mieście Gdańsku, Hanns Cibulka zamieszcza fragment swej powieści „Objaśnienie miłości w K.". Natomiast Manfred Schütz publikuje retrospektywny reportaż z podróży po Polsce pt. „Polskie królestwo niebieskie". Wreszcie w numerze polskim zamieszczono pasjonujący esej Erharda Schernera o zamordowanym przez hitlerowców poecie rewolucyjnym Edwardzie Szymańskim.

Nie ulega także wątpliwości, że redaktorzy „Neue Deutsche Literatur" organizując materiały do polskiego zeszytu dobrze zrealizowali hasło „Poznać się i zrozumieć".

KONRAD FREJDLICH

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BIŃKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

CZAS TERAŹNIEJSZY — PO XVI PLENUM KC PZPR

Z dużym zainteresowaniem i wzruszeniem oglądałem zagraniczne filmy o Polsce, emitowane niedawno przez TVP w cyklu: „Polska w oczach świata" Prezentowane tam przez zagranicznych realizatorów uznanie dla naszego dorobku, wysiłku i tempa rozwoju kraju, konfrontacja z przeszłością, a tym samym i pokazania osiągnięć współczesności było miarą tych osiągnięć tym cenniejszych, że uznanych przez ludzi obcych, a wśród nich i takich, którzy nie zawsze wyznawali poglądy zgodne z naszymi. Nie raziły mnie nawet tu i ówdzie pokazane braki, niedociągnięcia i paradoksy. Była to dobra robota propagandowa TVP, tym lepsza, że zrealizowana cudzymi rękoma i przez pryzmat innego spojrzenia.

A my sami czy zawsze potrafimy właściwie docenić to, co robimy?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MOTYWACJE

I.

Bilansu ostatnich czterech lat dokonywano już wielokrotnie i to przy różnych okazjach. Nie ma więc potrzeby powracania do znanych już stwierdzeń, tym bardziej, że stałe powtarzanie tego samego dewaluuje pewne pojęcia i fakty. Ale — sądzę — warto byłoby posłużyć się danymi, jakie opracowało na podstawie **„Roczniczka statystycznego — 1974"** i opublikowało **„Życie Gospodarcze"**. Opracowanie to dotyczy wielkości spożycia w Polsce na przestrzeni lat 1951—1970 i w latach 1971—1973.

Jeśli więc w pięcioleciu **1951—1955** na spożycie wydano u nas **79,6 miliarda zł**, to już w następnym pięcioleciu — **88,7 mld zł.** Do 1971 roku wzrost spożycia dokonywał się w granicach **5 procent rocznie.** Natomiast w latach **1971—1973** średni roczny wzrost spożycia osiągnął już **9 procent.** I tak więc jeśli w latach **1961—1965** na spożycie wydaliśmy **92,3 mld. zł**, to w latach **1966—1970 —129,1 mld. zł**, a w latach **1971—1973 — 167,3 miliarda złotych.**

Przytoczone powyżej dane stanowią ilustrację ekonomicznych motywów ludzkiego działania. Pokazują one, że osiągnięty w ostatnich czterech latach wzrost wydajności pracy, przyrost produkcji, poprawa jakości wyrobów przemysłowych, poprawa organizacji pracy, wzrost inicjatyw i szybsze tempo rozwoju kraju miało swoje źródła w materialnych przesłankach. Są ilustracją prostej motywacji: **lepiej, pracujesz, lepiej zarabiasz, lepiej możesz żyć.** Przytoczone powyżej dane są też rezultatem polityki socjalnej partii, która znacznie przyczyniła się do wyzwalania społecznych i zawodowych inicjatyw.

Praktyka ostatnich lat pokazała, że motywacji ekonomicznych ludzkiego działania nie można lekceważyć. Jest rzeczą naturalną, że człowiek pracując, chce widzieć realnie wyniki swojej pracy, chce — jak to się popularnie mówi — wiedzieć, co on z tego ma. Ale byłoby zbytnim uproszczeniem, gdybyśmy ograniczali się jedynie do ekonomicznych motywów, gdybyśmy źródła postępu widzieli tylko w materialnym zainteresowaniu ludzi. I byłoby błędem, gdybyśmy tylko do takich motywów ograniczali się w uruchamianiu źródeł społecznego zainteresowania ludzi pracą.

Jest jeszcze **sfera motywacji ideologicznych, społecznych, patriotycznych** i tym sprawom poświęcono wiele uwagi na XVI plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego PZPR.

II.

„Szczególne znaczenie w polityce naszej partii i państwa — mówił na XVI Plenum KC PZPR Edward Gierek — **przywiązujemy i będziemy przywiązywać do konsekwentnej realizacji fundamentalnej zasady naszej ideologii i naszego ustroju — do zasady sprawiedliwości społecznej. Jest to dla nas sprawa najwyższej rangi".**

Czym jest sprawiedliwość społeczna?

Wyraża się ona zarówno w polityce ekonomicznej jak i społecznej. Z jednej strony jest to gwarancja minimum zarobku pozwalającego na zaspokajanie podstawowych potrzeb współczesnego człowieka. Jest to również stopniowe regulowanie rent, aby móc zapewnić ludziom spokojną starość. Z drugiej strony jest to uzależnienie dobrej sytuacji materialnej człowieka od jego wkładu pracy, od jego zaangażowania, wysiłku umysłowego, stopnia wykorzystania wiedzy i doświadczenia. **Jest to polityka stwarzania ludziom równych szans życiowych i uzależnienia stopnia wykorzystania tych szans od ich pracy, wiedzy i umiejętności.**

Sprawiedliwość społeczna wyraża się również troską partii o właściwe kształtowanie stosunków między ludźmi w procesach produkcyjnych, w życiu społecznym. W dobiegającej końca kampanii sprawozdawczo-wyborczej w partii wiele uwagi poświęcono właśnie tym sprawom, podkreślając zainteresowanie partii powszednimi sprawami ludzi, indywidualnym podejściem do wielu zagadnień, pomocy w rozwiązywaniu codziennych i sporadycznych kłopotów.

Kształtowanie sprawiedliwych społecznie stosunków nie jest ani rzeczą łatwą, ani prostą. W każdym środowisku, w każdym zespole, gdzie muszą współdziałać z sobą ludzie różnie ukształtowani, posiadający różne, nie zawsze najlepsze cechy charakteru, diametralnie różne czasem osobowości, dążenie do wytwarzania sprawiedliwych między nimi stosunków nastręcza nieraz wiele kłopotów. Potrzeba czasem wiele wysiłku, życiowej mądrości, aby w porę zapobiec konfliktom, aby w porę zawrócić ludzi z niewłaściwie obranej drogi, powstrzymać ich przed popełnieniem błędu. I nie zawsze to się udaje.

Jednakże występujące tu i ówdzie nieprawidłowości, niedomagania i błędy nie mogą i nie powinny przesłaniać samej zasady, dążenia do jej powszechnego wcielenia w życie. Dążenie do realizacji w praktyce zasad sprawiedliwości społecznej wynika bowiem z podstaw ustrojowych socjalizmu, ale odgrywa też ogromną rolę w wyzwalaniu społecznych inicjatyw, przyczynia się do właściwego samopoczucia jednostek i całych grup społecznych i zawodowych.

III.

Przywracając właściwe miejsce i właściwą rolę motywacjom ekonomicznym partia coraz więcej uwagi przywiązuje do motywacji ideologicznych, stojąc na gruncie ich jedności i ścisłego powiązania. W społeczeństwie naszym — w minionym trzydziestoleciu — dokonał się proces integracji narodowej. Ukształtowała się jedność narodu na płaszczyźnie wspólnej realizacji ogólnych celów, wyrażających się w jedności i nierozerwalności celów jednostki, społeczeństwa i państwa.

„Nie ma w działalności naszej partii — powiedział na XVI Plenum KC PZPR Edward Gierek — **obszarów obojętnych dla narodu. Wewnątrzpartyjne normy i mechanizmy działania, a także zasady i kryteria członkowstwa mają ogromny wpływ na kształtowanie i realizację polityki partii, na jej autorytet i więź ze społeczeństwem".**

Czasem nie doceniamy społecznego zaangażowania ludzi, nie potrafimy ostro dostrzec przemian, jakie dokonały się w sposobach myślenia. Czasem jeszcze próbujemy w czyimś dążeniu, w ujawnianiu inicjatywy doszukiwać się osobistego interesu, aspołecznej postawy. Pamiętając o powolności przemian dokonujących się w ludzkiej świadomości, niewłaściwie, z rezerwą odnosimy się do poczucia społecznej odpowiedzialności, do naturalnej chęci współgospodarzenia. A przecież ideologiczne oddziaływanie partii nie polega tylko na głoszeniu słusznych haseł politycznych i społecznych, a na ich codziennym wcielaniu w życie. Edward Gierek na XVI Plenum KC PZPR przypomniał, że zasada przyjęta na VI Zjeździe partii: **„partia kieruje, rząd rządzi"** — obowiązuje nadal i jest realizowana w praktyce. Niektóre instancje partyjne nie do końca jeszcze oduczyły się zastępowania administracji, co przeszkadza znacznie w wychowawczym działaniu wyrabiania nawyku odpowiedzialności za nałożone na ludzi obowiązki.

Pamiętam taki czas, kiedy z zazdrością patrzyliśmy na naszych sąsiadów z socjalistycznej wspólnoty, z niekorzyścią dla siebie porównując tempo dokonujących się tam przemian. Dziś jest inaczej. Dziś inni patrzą z podziwem na nasze wysiłki, a to budzi również u nas słuszny powód do dumy. Ta duma z narodowych osiągnięć jest też motywem ludzkiej pracy, pobudzającym do dalszego przyśpieszania. I myślę, że nie można o tym zapominać, że nawołując do poczucia odpowiedzialności za wszystko, co robimy, trzeba cenić każdy przejaw tej odpowiedzialności, mnożyć i rozszerzyć warunki tę odpowiedzialność kształtujące.

Potrzeba nam nowych wzorów życia. Potrzeba popularyzowania ludzi odważnych, zaangażowanych, gotowych do ryzyka w imię społecznych celów. Mamy wielu takich ludzi, ale mamy też tych, którzy kierują się średnią miarą, przeciętnością, chcą być z wszystkim i ze wszystkimi w zgodzie. Tego rodzaju postawy nie sprzyjają dalszemu przyśpieszaniu. A przecież nie możemy zatrzymać się w rozwoju, gdyż wypełniając ambitne zadania bieżącego roku, przygotowujemy podstawy pod nie mniej ambitne zadania następnego pięciolecia — lat 1976—1980.

Jedność celów teraźniejszych i przyszłych, umiejętność jednoczesnego myślenia o dniu obecnym i przyszłym czasie jest formą jedności ideologii i ekonomiki. To, co dziś robimy, dziś nam przynosi korzyści, ale też mamy świadomość, że musimy to robić z myślą o przyszłości, aby za lat kilka nie trzeba było znów doganiać innych, aby i poziom naszego życia, a także i poziom naszej techniki, nauki i kultury odpowiadał przyszłym potrzebom, wymaganiom rozwiniętego społeczeństwa z końca XX wieku. Tego rodzaju sposób traktowania zadań czasu współczesnego wymaga nowoczesności myślenia i działania, wymaga wyobraźni, umiejętności określania sobie przyszłych wzorców i kojarzenia ich ze współczesnością.

„Ideałem człowieka przyszłości — pisze w styczniowym numerze „Nowych Dróg" Tadeusz M Jaroszewski — **jest dla marksizmu człowiek uspołeczniony, zaangażowany zdyscyplinowany, rozważny, przyjmujący na siebie odpowiedzialność za losy wspólnoty, a zarazem człowiek o bogato rozwiniętej osobowości, racjonalnie oceniający warunki swego działania".**

Kształtowanie warunków dla rozwoju tych cech powinny określać nasze współczesne działanie.

IV.

Na niedawnej naradzie aktywu partyjnego i gospodarczego Łodzi I sekretarz KŁ PZPR — **Bolesław Koperski** mówił o Łodzi przyszłości, mieście nowoczesnej architektury, wygodnego układu przestrzennego, dogodnej komunikacji. To miasto, którego wizja tworzy się dopiero w pracowniach architektów, urbanistów i projektantów, realizujemy już przecież fragmentami w codziennej pracy. I dla nas również, obok motywacji ekonomicznych, obok dążenia do stałej poprawy warunków życia, występują też motywacje ideologiczne. Chcemy być dumni z miasta, które chlubi się bogatą tradycją rewolucyjną i które odgrywa niebagatelną rolę w ogólnokrajowej gospodarce. Nie chcemy patrzeć z zazdrością na inne miasta, patrzeć z zazdrością na tamtejsze tempo dokonywania przemian.

Dążenie do nowoczesności w przebudowie Łodzi, wymaga jednak nowoczesności myślenia. Nie można miasta, kształtowanego na miarę ostatnich lat XX wieku, budować metodami przestarzałymi, nie można uparcie trzymać się starych nawyków i przyzwyczajeń, starych metod rozwiązywania współczesnych spraw.

Według oceny łódzkiej instancji partyjnej dotychczasowe tempo realizacji programu modernizacji i rekonstrukcji miasta jest zadowalające. Ale istnieją też możliwości dalszego przyśpieszenia tego tempa. I myślę, że z możliwości tych należałoby skorzystać. Stawianie wyższych zadań wyzwala inicjatywy. Ludzie chcą bowiem czuć się dumni z tego, co robią i jak robią.

„Dzisiaj — mówił na wspomnianej naradzie członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR, Jan Szydlak — **partia jest bogatsza o doświadczenia w przewodzeniu klasie robotniczej. Posiada też bezcenny kapitał — zaufanie i poparcie całego społeczeństwa. Trzeba je przekuć w jak największy dorobek, z którym pójdziemy na VII Zjazd".**

MICHAŁ BOBRZYŃSKI I WSPÓŁCZESNOŚĆ

Nie ma zapewne w historiografii polskiej — mówię o „klasycznym" już dziś dziejopisarstwie, nie zaś o dziełach współczesnych i publicystycznych — nie ma powiadam drugiej książki, o której powiedziano by tyle słów krytycznych, tyle zdań gorzkich, co o „Dziejach Polski w zarysie" Michała Bobrzyńskiego. Pierwsze wydanie tej dziejowej syntezy — albowiem jest to synteza w pełnym tego słowa znaczeniu — które ukazało się w 1879 r. obudziło powódź polemik i recenzji. Ówczesnych czytelników drażniły poglądy autora, nieubłagana, sucha logika jego wywodów, a przede wszystkim okoliczność, że bez obsłonek wydobył on na światło dzienne te momenty z polskiej przeszłości, o których najchętniej zapomniano, grzechy polityczne i społeczne naszych przodków, te, które tak walnie przyczyniły się do katastrofy dawnej Rzeczypospolitej. Walerian Kalinka przedstawiciel tego samego, co autor „Dziejów Polski w zarysie" kierunku dziejopisarskiego i tej samej konserwatywnej, stańczykowskiej politycznej orientacji pomawiał M. Bobrzyńskiego o „sąd bismarckowski" nad ojczystymi dziejami. Co dopiero byłoby mówić o tym, jak oceniali tę syntezę przedstawiciele obozu demokratycznego! Głosy potępienia padały zewsząd. Podnoszono zarzuty najcięższe: powiadano nawet, iż polski historyk udzielał w swej książce aprobaty tym poglądom na dzieje Polski, które szerzyła propaganda zaborców. Taki sąd o społeczno-politycznym oddziaływaniu dzieła M. Bobrzyńskiego wydał wszak S. Żeromski w „Syzyfowych pracach" i nie tylko on jeden.

A jednak książka ta ostała się w naszym historycznym piśmiennictwie na trwałe, rozchodziła się w coraz to nowych, uzupełnianych wydaniach — po pierwszym w 1879 r. ukazała się w 1880—1881, w 1887—1888 roku, czwarte wydanie opublikowane już w Polsce niepodległej w latach 1920—1931 rozrosło się do trzech tomów. Później ogłoszono to dzieło raz jeszcze w Jerozolimie w 1944 r., obecnie zaś dostajemy do ręki pięknie wydane przez Państwowy Instytut Wydawniczy, w ramach serii Klasycy Historiografii Polskiej ostatnie, szóste już wydanie „Dziejów Polski w zarysie" (1974), przynoszące w odróżnieniu od poprzednich tekst nie ostatniego za życia autora, ale przeciwnie, pierwszego wydania syntezy, tego właśnie, które niegdyś, blisko przed stoma laty stanowiło tak kontrowersyjne wydarzenie.

„Wszyscy znamy tę książkę — pisał w 1948 r. wybitny nasz historyk Stefan Kieniewicz — **wszyscy stwierdzamy (z pewnym odcieniem wyższości), że jest ona tendencyjna i przestarzała. A jednak ciągle jeszcze wracamy do niej; i dziś po 70 latach niepokoi nas myśl autora; nawet zwalczając go, trwamy pod urokiem jego jędrnego stylu, odwagi i szerokości poglądów, potęgi syntetycznego wejrzenia. Indywidualność Bobrzyńskiego jeszcze dzisiaj wywiera swój wpływ na trzecie czy czwarte pokolenie historyków polskich".**

Dzieło krakowskiego historyka, który w najbliższej już przyszłości miał rozpocząć bujną karierę polityczną, podejmowało obrachunek z tymi sądami o polskiej przeszłości, które wówczas, przed stu laty, cieszyły się popularnością i uznaniem. Było ono odważnym, a jednocześnie dojrzałym wyzwaniem: skierowane przeciw romantycznej historiozofii narodowej i poglądom lelewelowskim stawiało sobie na celu oblanie Polaków przysłowiową „zimną wodą", rozbicie mitów o wyjątkowej doskonałości ich dziejów, poddanie pod rozwagę wydobytych z własnej polskiej przeszłości przesłanek i korzeni późniejszej katastrofy politycznej Polaków. Ale autorowi chodziło nie tylko o przeszłość: wprzęgał on historię, w rydwan politycznego programu, który był jego własnym i który M. Bobrzyński będzie niebawem sam realizował, jako galicyjsko-austriacki działacz państwowy a w przyszłości namiestnik Galicji, programu konserwatywno-monarchicznego i ugodowego zarazem. Czytając dziś tę książkę owa jakże naówczas aktualna warstwa polityczna dzieła uchodzi jakby naszej uwadze i trudno się temu dziwić, skoro zwietrzały już i odeszły do historii te jakże ważne dla ówczesnego pokolenia współczesne problemy. Ale przecież książka ta zyskiwała nieraz nową, bardziej współczesną aktualność.

Dzieło historyczne, w którym cały obraz polskiej przeszłości został podporządkowany problemowi przyczyn upadku dawnej Polski, dawno zostałoby oddane na przechowanie nieczytanej przez nikogo historiografii, gdyby nie fakt zbyt częstego, w naszych splątanych dziejach nowożytnych i najnowszych, odżywania problemu upadku.

„Klęska wrześniowa i to, co po niej nastąpiło, sprawiły — piszą wydawcy książki M. Bobrzyńskiego w 1974 r. **— że dawne, zdawałoby się wyjaśnione i nieaktualne problemy poczęły być na nowo dyskutowane. I właśnie w latach wojny i okupacji (...), a także w latach powojennych, kiedy nasza myśl historyczna i polityczna wielostronnie rozważała przyczyny klęski II Rzeczypospolitej dokonywał się nawrót zainteresowań czytelniczych do myśli Bobrzyńskiego o przyczynach katastrofy dawnego państwa polskiego. W Dziejach Polski w zarysie poszukiwano argumentacji, którą niejednokrotnie odnoszono per analogiam do czasów, w których krakowski uczony nie napisał już ani słowa".**

Niekiedy nawet aktualizowano koncepcje M. Bobrzyńskiego w sposób karykaturalny, wprzegając je do akcji publicystyczno-propagandowych, odwołując się przy tym do autorytetu historyka, którego poglądy zdawały się niektórym być bliskie... marksistowskiemu spojrzeniu na polski proces dziejowy. Była to operacja naciągana, a jedyne związki, jakie autora „Dziejów Polski w zarysie" mogły łączyć z marksizmem, to to, że był on zaciekłym przeciwnikiem socjalizmu i wedle swych niemałych przecież możliwości, jako działacz polityczny wysokiego szczebla, zwalczał go wszystkimi dostępnymi środkami. Ale czegóż się nie robi dla lepszego efektu?

Dlaczego wznawiać dziś stareńką, bo blisko stuletnią, historyczną syntezę, i to jeszcze napisaną przez autora o zdecydowanie konserwatywnym światopoglądzie? Jest jedną z tajemnic wielkiej twórczości — a M. Bobrzyński był historykiem naprawdę wielkim — że potrafi ona przetrwać swój czas i zachować swoją wartość, choć w odmiennych warunkach i kategoriach, również dla późniejszych pokoleń. I tak niechybnie jest z dziełem krakowskiego historyka — konserwatysty. Nie jest ono dziś, jak było niegdyś, kompetentnym, opartym o wyniki aktualnej historiografii obrazem polskiej przeszłości. Nauka postąpiła przez te blisko sto lat znacznie i niejedno z twierdzeń M. Bobrzyńskiego nie ostało się wobec jej ustaleń. Ale pozostała ogólna koncepcja i jej błyskotliwy wykład: nawet jeżeli się na nią nie godzimy, pozostajemy w kręgu jej oddziaływania.

Pomawiano M. Bobrzyńskiego o rozsiewanie historycznego pesymizmu, powiadano, że jego twarde zdania o tym, że przyczyny upadku dawnej Polski tkwiły przede wszystkim wśród samych Polaków i w samej Polsce, demobilizując społeczeństwo, są wodą na młyn zaborców. Historyk jednak rozumował wprost przeciwnie: jeżeli ukazywał, że w pierwszym rzędzie sami Polacy zgotowali sobie zgubę, to dlatego, aby im wskazać, co i jak winni są teraz naprawić, do czego się zwrócić, aby zapracować na powstanie warunków i możliwości dla odrodzenia się ich politycznej egzystencji. Rozumowanie M. Bobrzyńskiego miało być społecznym lekarstwem na historyczny hurraoptymizm, na sublimację i idealizację przeszłości Polski wykształconą przez Romantyzm. I nim też niewątpliwie było. I dzisiaj, kiedy odczytujemy tę książkę, z perspektywy nowych doświadczeń naszego narodu i ponownych sporów o przyczyny, chociaż innego już upadku, dzisiaj, kiedy nierzadko odzywają się jak niegdyś akcenty idealizacyjne w stosunku do przeszłości, choć nie jest to przeszłość ta sama, o której pisał krakowski historyk, dla zracjonalizowania własnego swego sądu, dla zobiektywizowania go, dobrze jest sięgnąć do dzieła klasycznego, jakim są „Dzieje Polski w zarysie". Bowiem widzenie dziejowego świata czy to tylko w kolorze czarnym, czy przeciwnie, w różowym, niezależnie od tego, czy sto lat temu czy dziś jest fałszywym oglądem przeszłości. A naszą historyczną świadomość winniśmy opierać przede wszystkim na sądach prawdziwych. I dlatego warto sięgnąć po „Dzieje Polski w zarysie". Nie po to, by zastąpiły nam one współczesny podręcznik historii Polski, bo tego dziś już uczynić nie mogą, ale po to, aby przemyśleć raz jeszcze największe historyczne dylematy naszej polskiej przeszłości. Zarówno te, o których M. Bobrzyński pisał, jak i tamte, o których nie mógł już rzec ani słowa.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Michał Bobrzyński „Dzieje Polski w zarysie", PIW, 1974.

KORESPONDENCJA z ZAGRANICY

Dalszy ciąg ze str. 1

Amerykańscy turyści fotografują wszystkie te cuda, krążąc po miastach i kurortach Libanu, aż wreszcie przychodzi moment, kiedy marzy im się jakaś odmiana. Wracają wtedy do gorącego Bejrutu i zapisują się na wycieczkę autokarową do Syrii.

W autokarze tym znalazłem się również ja oraz pewien polski dziennikarz z Wybrzeża. Bilet kosztował około dwudziestu dolarów, wizy zdobyliśmy w ostatniej chwili przy wydatnej pomocy bejruckiego agenta PLO, dyrektora Skowerskiego — człowieka o wielkim sercu, który wcześniej był naszym przewodnikiem po Bejrucie, a później zorganizował nam darmowy wypad do górzystych rejonów Libanu. Właśnie dzięki dyrektorowi mogliśmy zobaczyć ruiny Baalbeku, groty, pola haszyszu, polowanie na maleńkie, podobne do przepiórek ptaszki, dzikie szczyty na południu i północy, przycupnięte w dolinach wioski i wczasowiska.

Tuż za Bejrutem autokar do Damaszku zaczyna piąć się stromymi serpentynami w górę. Co jakiś czas mijamy niewielkie miasteczka, które wprawiają człowieka w osłupienie. Żadnych wąskich uliczek, pochylonych kamieniczek. Wszędzie stal, aluminium, marmury, wieżowce o wspaniałej architekturze, wille, które są naprawdę willami i bungalowy w stylu Franka Lloyd Wrighta. Im wyżej tym wystawniej i zimniej. Potwierdza się fama o klimacie libańskich gór. Mieszkają tu bogacze, uciekający przed morderczymi upałami wybrzeża, a także sezonowi przybysze z interioru — szejkowie z Arabii Saudyjskiej, bankierzy z Iraku, jubilerzy z Kuwejtu. O ile w luksusowej dzielnicy Bejrutu cena mieszkania (trzy łazienki, dwie kuchnie i od pięciu do siedmiu wyłożonych boazerią pomieszczeń) kształtuje się w granicach trzydziestu tysięcy funtów libańskich (ponad czternaście tysięcy dolarów), w górach trzeba płacić dwa razy tyle. Jest to swoisty rekord, jeśli się weźmie pod uwagę, że miesięczne zarobki robotników portowych nie przekraczają czterystu funtów, a zarobki wyższych urzędników — tysiąca pięciuset.

W godzinę później autokar zjeżdża w dolinę. Przed nami drugie pasmo gór: Antyliban, który rozciąga się już po stronie syryjskiej. Krajobraz ulega zmianie. Zrazu jest gorąco, duszno: poznikały gdzieś piękne miasteczka, jest za to trochę biednych osad i wiosek. W jednej z nich, niedaleko Anjaru, mamy dwudziestominutowy postój. Amerykanie piją colę na drewnianym tarasie sklepu, dziennikarz z Wybrzeża fotografuje wypalone słońcem plenery. Urodziwa Libanka, która nie chciała mu pozować — za każdym razem, kiedy składał się do zdjęcia, zakrywała twarz i uciekała z piskiem na zaplecze sklepu, wierząc, że sfotografowany muzułmanin na zawsze traci duszę — obdarowała go nagle torbą soczystych jabłek. W sąsiedztwie zatłoczonych luksusowymi samochodami szosy kobiety w regionalnych strojach (melaje lub szarawary) kopały ziemniaki, a fellah w ciężkim od potu turbanie prowadził skrajem rdzawego pola sochę wleczoną przez parę krów. Boczną drogą przejeżdżały traktory wyładowane burakami cukrowymi, w gaju cytrusowym odbywał się zbiór. Ziemia libańska jest żyzna, rodzi trzy razy w roku; niby nie ma gdzie wypasać bydła, ale owoce i warzywa plenią się bez przerwy. Nie zmienia to faktu, że właśnie tu, na odległej prowincji, można wreszcie zobaczyć nędzę: rozstawione na pagórkach, niby żywcem wyjęte z obozów palestyńskich namioty, w których wegetują najemnicy rolni, gliniane chałupki, w których roi się chłopskie potomstwo, ludzi o twarzach chmurnych, spalonych słońcem i pozbawionych właściwego Arabom samozadowolenia.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Ahlan Wasahlan my friends

Kierowca wzywa nas klaksonem w dalszą drogę. Zbliżamy się do pierwszego posterunku granicznego. Po obu stronach szosy rozciąga się teraz całkowite pustkowie. W dole, krętym wąwozem, sunie pociąg-zabawka, znikając co parę chwil w tunelach, które bronią tory przed lawiną. O ile samochód z Bejrutu do Damaszku jedzie dwie i pół godziny, kolej pokonuje tę samą drogę w trzynaście godzin, zatrzymując się raz po raz na małych, zagubionych stacyjkach. Ktoś wsiada, ktoś wysiada, taszcząc w sobie tylko wiadomym kierunku ogromne toboły. Amerykanie fotografują to przez szybę. Dziwni są ci Amerykanie. Przede mną siedzi małżeństwo z Virginii o wybitnie hinduskich rysach, obok mnie biały Murzyn: jasna twarz, ale wydatne usta i poskręcane w pierścionki włosy, za mną dwóch czterdziestoletnich panów, z których jeden, sympatyczny i rozmowny, nazywa się Wojciech Bzduła: od trzech pokoleń mieszkaniec Teksasu. Dziadkowie pochodzili z Podkarpacia, on również zna dwa słowa po polsku: „Dobra szynkie" i „Dobra kaszankie". Żałuję, że nie mam tych specjałów. Częstuję go papierosami „Caro" (very good indeed), a on rewanżuje mi się miętową pastylką do odświeżania samopoczucia i ust (very good too). Cały autokar, około trzydziestu osób, dyskutuje od dłuższego czasu nad szalejącą w Libanie drożyzną. Najczęściej powtarzającymi się zwrotami jest: Chryste Panie, jak drogo, zbyt drogo! Kiedy na granicy wtargnęło do autokaru kilku kalekich sprzedawców gumy do żucia, owoców, papierosów i coli, jedynym człowiekiem, który kupił z litości butelkę, był polski dziennikarz. Reszta oganiała się rękami, powtarzając bez przerwy: „That comes cudzoziemców szaleje w dalszym ciągu. Amerykanie mrużą domyślnie oczy. Arabski kierowca wręczył arabskiemu strażnikowi bakszysz. W Libanie wszystko załatwia się przez bakszysz. Jeśli chcesz pchnąć sprawę w byle jakim urzędzie, to musisz zacząć od tego, że dasz bakszysz woźnemu, ten zaprowadzi cię do szatniarza, który też weźmie bakszysz i zapozna cię z młodym urzędnikiem, i jak będziesz miał szczęście, sztafeta dobrej woli w pół godziny postawi cię przed biurkiem dyrektora, co w normalnym trybie trwałoby przynajmniej pół roku. Amerykanom, a także Polakom, praktyka ta nie jest obca. Ale dziwimy się, skąd u kierowcy taki gest. Parę funtów stracił, nic nie zyskał. Co to wszystko znaczy? Zagadka wyjaśnia się dopiero w drodze powrotnej. Zatrzymamy się znowu i zobaczymy tłum podenerwowanych ludzi. Kierowca znowu zbierze nasze paszporty, ale nim wysiądzie, żeby popertraktować trochę ze strażnikiem, przeprowadzi małą ankietę: kto jak długo ma zamiar przebywać jeszcze w Libanie? Ci, którzy powiedzą nieopatrznie: miesiąc, zapłacą pięć funtów (Jesus Christ!), ci, którzy przyznają się do tygodnia — tylko dwa (ażeby ci święty Michał!), a jak kto nie będzie miał dolarów, to niech płaci choćby rublami... i tak wszystkim wbije się do paszportów tę samą pieczątkę.

Na posterunku syryjskim, który jest kilka kilometrów dalej, również trwa szturm podenerwowanego tłumu. Jakaś kobieta unosi dziecko ponad głowami konkurencji, człowiek w białym burnusie potępia strażników w imię proroka. W ręku oczywiście, bakszysz, ale jak każdy chce dać bakszysz, to tak, jakby bakszyszu nie było... Czekamy, palimy, pocimy się

Ale nie wszystko przemawia na niekorzyść Syrii. Miasteczka i wioski wyglądają wprawdzie na siedliska wszelkich możliwych utrapień, ubrania ludzi budzą współczucie i grozę, natomiast mijane po drodze obiekty militarne i pilnujący ich albo maszerujący w zwartych kolumnach żołnierze zasługują na uznanie. W porównaniu z żołnierzem libańskim, mundur Syryjczyka jest schludny, nie wypchany na łokciach i kolanach, a lufa karabinu lśni. Ta sama schludność panuje w koszarach. Syria jest krajem w stanie wojny. Ludność cywilna nie zdaje sobie może z tego sprawy, albowiem Wzgórza Golan są daleko i nad Damaszkiem nie pokazują się izraelskie samoloty, no i większość mieszczan nie lubi myśleć o takich strasznych rzeczach, co zaś się tyczy chłopów — nie umieją czytać i pisać, i nie słuchają złych wieści przez radio, które na prowincji wciąż jest luksusem. Ludność cywilna żyje normalnie — kobiety pracują, mężczyźni częściej siedzą w kawiarniach, oddając się plotkom. Ale ci, co trafili do armii, mają świadomość straty ważnego terenu strategicznego, jakim są Wzgórza Golan, a także świadomość własnej siły. Wedle znawców — armia syryjska jest najbardziej rewolucyjna ze wszystkich armii arabskich, i nastroje te mają tendencje zwyżkowe.

Szosa do stolicy wije się dolinami pośród wysokich bloków skalnych, na których stoją tu i ówdzie drewniane domki. Przedmieścia Damaszku, to również skaliste wąwozy i drewniane domki o podniesionych, wspartych o bale, podłogach, spod których wypływają rwące strumyki, albo całe wodospady, rozpryskujące się kilkanaście metrów niżej o kamienne koryto rzeki. Rue Beirut wdziera się w trzewia Damaszku; mijamy szare, rozległe kompleksy meczetów, wypełnione ludzką magmą ulice i place. Amerykanie ożywiają się. Jest wreszcie trochę egzotyki — — wyszczerbione mury, mroczne załuki, no i przede wszystkim ludzie, którym obca jest europejska moda. Wiele kobiet nosi woale i kwefy, a każdy mężczyzna po trzydziestce ma na sobie jakiś tradycyjny szczegół — burnus, zawój, koraliki, które w meczecie drobi w palcach podczas modłów, a na ulicy w chwilach nudy. Szykowne samochody tasują się na jezdni z dwukołowymi rykszami, napędzanymi przez konia, osła, motocykl, rower albo ludzkie mięśnie. Na jednym z tych motorowych wózków stoi coś jakby samowar, tyle że zamiast kranu, z którego leci kipiatok, są tam dwie rury, z których wali czarny, śmierdzący dym. Z początku myślę, że to jakiś wredny kawał, bo kierowca „samowaru", chłopak około dwudziestki, zamiast omijać, wpycha się w ludzką ciżbę, okadzając bramy, stragany, witryny sklepów i w ogóle wszystko. Śmieje się przy tym jak anioł zagłady, więc Amerykanie pytają libańskiego szofera, kto to jest i za co tak srodze się mści.

— W porządku — mówi kierowca. — On pracuje na usługach wydziału sanitarnego i odkaża w ten sposób ulice.

— A to pomaga? — pytam.

— Pomaga nie pomaga, w każdym razie nie szkodzi.

Zatrzymujemy się przed hotelem, w którego salonach przygotowany jest dla nas spóźniony lunch. Wszyscy oczywiście lecą do łazienki. Panie na lewo, panowie na prawo. Ktoś myli się, uchylając nie tę zasłonę i zaraz cofa się przerażony, bo zobaczył rozkopane łóżko. Biały Murzyn po umyciu rąk rozejrzał się wkoło, czy jest dostateczna ilość widzów, i zamiast wytrzeć się w hotelowy ręcznik, sięgnął do kieszeni po chusteczkę. W chwilę później cisnął ją z obrzydzeniem do kosza, co miało znaczyć, że jest wielkim higienistą.

W drzwiach restauracji powitał nas syryjski przewodnik, który od tej chwili przejął nad wycieczką opiekę. Jego twarz gorzała serdecznością i sprytem. Była to twarz podstarzałego aktora farsowego, który mimo zakazów żony bez przerwy podbiera jej szminkę. Twarz wyszczerzyła się do nas połatanymi złotem zębami i był to zaprawdę grymas najszczerszej miłości.

Poklepał jednych, uścisnął drugich, i sadzając nas przy stolikach, nawijał jak trzech radiowych spikerów:

— Panowie i panie! Jedzcie i pijcie, nabierajcie sił, albowiem zbliża się godzina wielkiego poznania. Zobaczycie cuda, o jakich nie śniło się filozofom. Bo skąd niby mogło się śnić, skoro nie mieli pieniędzy, żeby tu przyjechać! (Amerykanie kwitują to salwą śmiechu, mile połechtani, że facet bierze ich za bogaczy). Jaki będzie program zwiedzania, to ja wam na razie nie powiem, gdyż ma to być niespodzianka — szczególnie dla pięknych pań (chichot). A teraz ustępuję miejsca wielce czcigodnemu panu (nazwisko), który przemówi, do was w imieniu dyrektora i kelnerów.

Zza zielonej kotary wysunął się człowiek o poważnym, zimnym obliczu. Nagle uśmiechnął się szyderczo i przykładając rękę do serca gestem, który był tylko parodią serdeczności, powiedział:

— Ahlan Wasahlan, my american friends. Ahlan Wasahlan!

LISTY DO REDAKCJI

„POJEDNANIE"

Szanowny Panie Redaktorze!

Opublikował Pan w swoim poczytnym piśmie kilka głosów z dyskusji o powieści Wiesława Jażdżyńskiego „Pojednanie". Znalazł się między nimi i mój głos — a raczej kwintesencja tego, co w czasie dyskusji mówiłem — oraz dwa głosy moich szanownych kolegów wyraźnie kwestionujących — wprost lub nie wprost — to co pozwoliłem sobie powiedzieć. Ponieważ inne obyczaje panują podczas kameralnej dyskusji w koleżeńskim gronie, a inne — w dyskusji prowadzonej na publicznym forum, mam nadzieję, że pozwoli mi Pan na kilka zdań repliki. Nie chciałbym w oczach czytelników „Odgłosów" uchodzić za człowieka, który bez uzasadnienia wypowiada takie czy inne sądy a wobec głosów sprzeciwu milczy bo nie może obronić swego stanowiska.

Mój znakomity kolega Andrzej Ostoja-Owsiany był łaskaw napisać na łamach Pańskiego pisma co następuje: „Nie zgadzam się z kol. Szustrem, który uważa, że końcowy rok wojny charakteryzował się osłabieniem ruchu partyzanckiego". Ja z kolei, pozwalam sobie nie zgadzać się z kol. Ostoją, że kiedykolwiek taką właśnie opinię wypowiadałem. Gorąco proszę kol. Ostoję, by zechciał sprawdzić, iż moja wypowiedź dotyczyła aktywności „ruchu partyzanckiego między Wisłą a Pilicą w ostatnich miesiącach 1944 roku". Nie mówiłem ani o „ostatnim roku wojny" ani też o ruchu partyzanckim w ogóle; oto dlaczego zaskoczyła mnie nieco wypowiedź kol. Ostoi. Co się zaś tyczy meritum sprawy to, oczywiście, lato i początek jesieni 1944 roku przyniosły kulminację ruchu partyzanckiego w Polsce, ale później przyszło wyraźne załamanie. Twierdzę tak nie tylko w oparciu o moje osobiste wspomnienia byłego żołnierza 25 pp AK, a przede wszystkim w ślad za konstatacjami historyków. Mała Encyklopedia Wojskowa tom 3 (MON 1971) stwierdza na str. 513: „Choć ruch oporu trwał aż do wyzwolenia — również na ziemiach wcielonych do Rzeszy — późną jesienią walki partyzanckie zaczęły wygasać (...) ze względu na duże nasycenie wojsk hitlerowskich w obszarze operacyjnym i ograniczoną efektywność działań w warunkach zimy". Cytuję ten fragment po to, by uzasadnić, że wypowiadanej podczas dyskusji tezy nie wysalem z palca.

Inny mój znakomity kolega, Tadeusz Chróścielewski, był uprzejmy zakwestionować inną z tez mojej wypowiedzi nie wskazując wyraźnie na moją osobę, Kol. Chróścielewski napisał: „...znającym stosunki na Kielecczyźnie w ostatnim okresie okupacji nietrudno jest stwierdzić, że realia książki nie są dowolnie wymyślone i na bakier z czasem historycznym (konkretnie odpowiadają one stosunkom i układowi sił na terenie Szczekocina z przyległościami)". Ponieważ to ja właśnie twierdziłem, że realia okupacyjne są słabą stroną „Pojednania" reprymenda kol. Chróścielewskiego bardzo mnie zawstydziła i czym prędzej udałem się po naukę do znawców zagadnienia. Przeczytałem uważnie: „Nad górną Wartą i Pilicą" Ryszarda Nazarewicza (MON 1964), „Partyzantka na Kielecczyźnie 1939—1945" Bogdana Hillebrandta (MON 1967), „Walki partyzanckie nad Nidą 1939—1945" Władysława Ważniewskiego (MON 1969) i z zakłopotaniem stwierdziłem, że żaden z tych autorów twierdzenia kol. Chróścielewskiego nie poparł. Co więcej każdy z nich akcentował, iż rejon Szczekocin (oczywiście „Szczekocin" a nie „Szczekocina") był w czasie okupacji — od lata 1943 roku — terenem szczególnie ostrych i krwawych wystąpień NSZ przeciwko oddziałom GL, BCh i AL. Każdy czytelnik „Pojednania" wie dobrze, że w powieści ten tragiczny rys okresu okupacji w ogóle nie znajduje odbicia; byłbym serdecznie zobowiązany kol. Chróścielewskiemu by zechciał przyznać, że jego teza, iż „realia książki... odpowiadają stosunkom i układowi sił na terenie Szczekocina" jest nieco „na bakier z czasem historycznym".

Kreśląc, Panie Redaktorze, tych kilka zdań mam pełną świadomość, że znaczna część moich opinii o „Pojednaniu" jest dyskusyjna i że nie wszystkie z nich zdołałbym dostatecznie uzasadnić. Sądzę jednak, iż i Pan stoi na stanowisku, że na temat faktów — podkreślam: faktów a nie ich interpretacji — dotyczących naszej niedawnej przecież historii dyskutować już nie pora. Trzeba je po prostu znać.

Dziękując za umieszczenie tej korespondencji na łamach „Odgłosów" pozostaję z poważaniem.

EDWARD SZUSTER

* * *

MASONERIA

Doceniam prywatne obsesje, ale nie lubię padać ich ofiarą. Dychotomia: świat i tajna policja, aczkolwiek niebanalna, jest — jak na mój gust — trochę przygnębiająca.

Oddając więc poprawiaczowi, co jego, prosiłbym o poinformowanie Czytelników, iż mój tytuł artykułu w numerze świątecznym miał brzmieć: Masoni, wielki świat i tajna policja.

Z poważaniem
WIESŁAW PUSZ
(Pabianice)

Od redakcji:

Spełniamy prośbę p. Wiesława Pusza, przypominając, że tytuł Jego pracy wydrukowanej w „Odgłosach" brzmiał: „Historia masonerii — świat i tajna policja". Jaka jest różnica między tym tytułem, a pierwotnym: „Masoni — wielki świat i tajna policja" — dalibóg nie wiemy.

WSTYDLIWA SPRAWA

Zamieszczony w nr 2 Odgłosów z 2.I.75 roku felieton „Wstydliwa sprawa" przedstawia w niewłaściwym świetle istotę i warunki studiów polonistycznych w UŁ. Uprzejmie przeto proszę o przyjęcie do wiadomości i sprostowanie najważniejszych choćby nieporozumień, jakie przynosi wspomniany felieton. Instytut Filologii Polskiej UŁ został powołany w roku 1970 w tym celu, aby prowadzone dawniej przez trzy katedry procesy kształcenia magistrów filologii polskiej skupić w obrębie jednej placówki i poddać je jednolitemu kierownictwu. Od tego czasu dzielenie tych zadań między IFP i Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu stało się niecelowe. IFP jest więc jedyną placówką prowadzącą i koordynującą kształcenie magistrów na kierunku filologii polskiej.

Użyty w felietonie zwrot o „likwidacji prac magisterskich z dziedziny teatru i filmu w Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ" nie odpowiada prawdzie, ponieważ kierunku studiów magisterskich z teatrologii i filmoznawstwa w UŁ dotychczas nie powołano, mimo że wniosek Prof. dr hab. Stefanii Skwarczyńskiej w tej sprawie Rada Wydziału Filologicznego UŁ jednogłośnie uchwaliła jeszcze 26 stycznia 1973 r. Nie jesteśmy kompetentni do udzielania odpowiedzi, dlaczego i kto nie doprowadził do powołania tych — jak się okazuje potrzebnych kierunków studiów w UŁ. Z zakresu teatrologii i filmologii nie przeprowadzono w UŁ dotychczas ani jednego magisterium.

Wszystkie magisteria były z filologii polskiej, z tym co najwyżej, że prace magisterskie prowadzone były przez poszczególnych pracowników Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu, a tematyka ich dotyczyła zazwyczaj związków literatury z teatrem czy filmem. Dalsze powierzanie prowadzenia prac magisterskich z filologii polskiej pracownikom Zakładów Teatrologii czy Filmoznawstwa przestało być celowe (konieczne) z chwilą, gdy obowiązujące obecnie, uchwalone 6.VI.1974 r. przez Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki „Plany studiów i programy nauczania przedmiotów kierunkowych w zakresie filologii polskiej" przewidziały wśród przedmiotów uzupełniających na kierunku filologii polskiej dla przyszłych pracowników upowszechniania kultury zajęcia z zakresu: bibliotekoznawstwa, lub pracy kulturalno-oświatowej, lub edytorstwa, lub teatrologii czy filmoznawstwa w ilości po 300 godzin dla każdej z tych dziedzin, czyli po 2 godziny wykładów i 2 godziny ćwiczeń przez dwa i pół roku, w ciągu których polonista może zdobyć wystarczającą ilość wiedzy także z zakresu teatrologii i filmoznawstwa. Przedmioty te jednak mogą uzupełniać wykształcenie polonisty, a nie powinny zastępować studiów w zakresie filologii polskiej, których zadaniem jest, jak naświetla program, zdobycie przez studenta „gruntownej wiedzy z zakresu literatury polskiej (na tle jej związków z literaturą powszechną), teorii literatury i nauki o języku polskim (na tle językoznawstwa ogólnego) oraz wykształcenie umiejętności samodzielnego posługiwania się nabytą wiedzą w rozwiązywaniu problemów literackich i językowych, z jakimi absolwenci zetkną się w przyszłej pracy zawodowej" (Program s. 3).

Zastępowanie przewidzianego programem seminarium literaturoznawczego czy językoznawczego przez seminarium prowadzone z uzupełniającego studia polonistyczne przedmiotu pomocniczego i pisanie pracy magisterskiej np. z bibliotekoznawstwa, z zagadnień kulturalno-oświatowych, z edytorstwa względnie na temat filmu, teatru, telewizji, radia itp. byłoby sprzeczne z obowiązującymi pro-

DOBRA PRACA - PEŁNY STÓŁ

JACEK INDELAK

DWA WYJŚCIA Z LABIRYNTU

I.

Teren fabryki, zajmującej powierzchnię kilku hektarów, jest nierówny. Różnica poziomów sięga wielu metrów. Nad fabryką górują dwie największe hale.

Z chrzęstem, pobrzękami, zgrzytem i terkotem gramoli się drogą pod górę ciągnik, wlokąc za sobą kilkanaście identycznych, poszczepianych jeden za drugim, siewników. Wyciąga je na górę i już stoją w długim rzędzie na brzegu jezdni.

Nie pierwsze i nie ostatnie maszyny, stojące w tym magazynie wyrobów gotowych, w jaki zmienił się fabryczny podwórzec. Każdy metr kwadratowy powierzchni, wolny od produkcyjnych zabudowań i komunikacyjnych traktów zamienia się tu systematycznie w składowisko gotowych do odbioru maszyn. Stoją w karnych szeregach rozłożyste siewniki zbożowe, przysadziste rozsiewacze nawozów czy zwaliste podajniki zielonki.

A rampa kolejowa pusta. Żeby wywieźć z fabryki tylko jednodniową produkcję, potrzeba pociągu złożonego z dwudziestu pięciu wagonów towarowych. Tygodniowe opóźnienia transportowe to pociąg do półtorej setki wagonów. Dalsze perturbacje i już krok do sprawdzenia się katastroficznych prognoz ekonomistów: samozadławienia się, autosparaliżowania produkcji na skutek nadprodukcji.

Czterdzieści tysięcy siewników zbożowych rocznie. Konnych i ciągnikowych. Do tego pięć tysięcy rozsiewaczy do nawozów i dwa tysiące precyzyjnych siewników jednoziarnkowych do buraków cukrowych. W ramach kooperacyjnych umów fabryka produkuje siedem i pół tysiąca wyrzutników bel słomy do prasy wysokiego stopnia zgniatania dla NRD-owskiego kombinatu „Fortschritt", trzy tysiące przenośników pochyłych do polskiego „Bizona", a także trzysta dziewięćdziesiąt podajników zielonek, które instalowane są w montowanych w kraju kombajnofabryczkach, produkujących paszę.

Wszystko to powstaje na kilku hektarach powierzchni, zatłoczonej, zagęszczonej wzdłuż i wszerz do granic, które już dawno postawiły pod znakiem zapytania pojęcie ostateczności. Hale fabryczne, które oglądać można z ulicy, to tylko front, fasada, marne dająca pojęcie o tym, co za sobą kryje.

A kryje — labirynt. Zaczyna się on w miejscu, w którym asfaltowa droga, opadająca spod bramy między hale, skręca za jedną z nich. Tu tłok i ścisk jeszcze większy. Wrażenie to potęguje widok, już niestety nie wielkoprzemysłowych hal fabrycznych, lecz mnogich zabudowań, składających się na trudny do ogarnięcia pierwszym rzutem oka architektoniczny nieład i chaos. Trudno się w nim połapać. Mury — ściany — konstrukcje żelazne. Stykające się jedne z drugimi, splątane i nawzajem przenikające. Połatane, poszłukowane, powiększone, przebudowane. Skomplikowany system nadbudówek i przybudówek, wyjść i wejść, drzwi i okien, ulic, przejść i uliczek.

Fabryka Maszyn Rolniczych „Agromet—Kraj" w Kutnie — to leciwa staruszka. Jej wiek emerytalny wystukało już życie przed ćwierćwieczem. Najstarsza w kraju. Założona w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku. Była we wczesnym dzieciństwie zaledwie skromną, istniejącą i — co ważne — pracującą po dziś dzień odlewnią. Rosła i dojrzewała powoli i mozolnie, przechodząc różne koleje losu i różne przygody. Przez krótki czas produkowano tutaj tokarki i maszyny do szycia. Pełną dojrzałość społeczną osiągnęła w pięćdziesiątym drugim roku, kiedy to przyjęła na siebie monoprodukcyjną specjalizację: siewniki zbożowe. W najbliższych też latach osiągnęła szczyt swojej dojrzałości fizycznej, którą ugruntowało wybudowanie dwóch, dość wtedy nowoczesnych i dużych, hal produkcyjnych. Właśnie tych — od frontu. Wszystko, co nastąpiło potem, było już tylko improwizacją, adaptacją, modernizacją, renowacją itd...

Biuro projektowe, które zaplanowało obecny kształt fabryki, określiło jej maksymalną zdolność produkcyjną na trzysta trzydzieści jeden milionów złotych w skali rocznej.

— Tymczasem już w tym roku — mówi dyrektor naczelny „Kraju", inż. Abdon Michalski — **przekroczymy o sto milionów własną zdolność produkcyjną, osiągając roczną wartość produkcji równą czterystu trzydziestu ośmiu milionom złotych. Plan natomiast na rok przyszły zakłada osiągnięcie pięciuset szesnastu milionów złotych wartości produkcji. Osiągnięcie tak znacznego i szybkiego wzrostu rozmiarów produkcji nie było i nie jest, rzecz jasna, sprawą łatwą. Przed dwoma laty, nie rezygnując z dwudziestoletniej specjalizacji w siewnikach zbożowych, znacznie rozszerzyliśmy asortyment produkcji, wprowadzając do niej przede wszystkim dwa własne rozwiązania konstrukcyjne: rozsiewacz do nawozów sztucznych oraz siewnik do buraka cukrowego. Oba te wyroby sprawdziły się w codziennej praktyce. Spotkały się z dużym uznaniem odbiorców, zapotrzebowanie na nie ciągle wzrasta. Dalsze zwiększenie rozmiarów produkcji i rozszerzenie jej zestawu wyrobów jest w naszych warunkach zadaniem niesłychanie trudnym. Nie mogliśmy bowiem i nie możemy sobie pozwolić na poważniejsze inwestycje, na większą i skuteczniejszą rozbudowę. Na tej powierzchni, w tych budynkach, które teraz znajdują się w naszym posiadaniu dusimy się, a możliwości rozwojowych — żadnych. Zakład zlokalizowany jest w centrum Kutna, stanowiąc — z czego zdajemy sobie sprawę — dużą uciążliwość dla mieszkańców miasta. Położenie to zamyka nasz zakład w sztywnych, niepodważalnych granicach. Nie mamy co marzyć o powiększeniu jego terenu o minimalną powierzchnię dodatkową pod rozbudowę.**

Chaos i bałagan rzeczywiście na wskroś pozorny. Wystarcza przechadzka instruktażowa po zakładzie, której trasę wytycza cykl produkcyjny, a w której fachowym przewodnictwem służy zastępca dyrektora — inż. **Jan Lewandowski**, aby całe to złudzenie rozsypało się do cna, ustępując miejsca uznaniu dla sensu i ładu, jaki w istocie rządzi pracą fabryki.

Najpierw odlewnia. Wiek muzealny. Stan techniczny równy zeru. Patrzeć tylko, jak się rozsypie. A zarazem sześć i pół tysiąca ton odlewów żeliwnych rocznie, zapewniających „Krajowi" nie tylko samowystarczalność, lecz i możliwość wspomagania odlewni pokrewnych zakładów.

Hala obróbki mechanicznej. Wytaczanie — cięcie — spawanie. Gotowe elementy z zatłoczonej hali wędrują mechanicznym transporterem na wydział montażowy. A tu — pod jedną ścianą ruchoma taśma montażowa o takcie wymuszonym. Składa się na niej siewniki zbożowe. Pod drugą ścianą zerwana posadzka i głęboki wykop.

— Robimy własnym sumptem i własnymi siłami — wyjaśnia dyr. J. Lewandowski — **drugą taśmę ruchomą. Tym razem do montażu rozsiewaczy nawozu i siewników buraków cukrowych.**

Obok — **pomieszczenia malarni.** Pełna automatyzacja: mycie, suszenie, farba podkładowa i lakier powierzchniowy. Każdy element gruntowany jest antykorozyjnym lakierem piecowym. A wszystko to obsługuje jeden operator.

Hala narzędziowa. Dach wsparty na konstrukcji stalowej wypełnionej przeszklonymi ścianami z pustaków.

— Była to przedtem tylko wiata — mówi dyr. J. Lewandowski. — **W ramach kolejnych zmian organizacyjnych, dążąc do uwolnienia pod produkcję dalszej powierzchni, pod wiatę, obudowaną i przerobioną — przenieśliśmy narzędzia.**

Spacer kończy się na rampie kolejowej, z której widać, jak na dłoni, betonową płytę, pełniącą rolę magazynu materiałów.

— Wszystkie te drobne, aczkolwiek istotne, przemiany i zmiany, jakie wprowadziliśmy i wprowadzamy — mówi dyr. A. Michalski — **są koniecznością. Tylko ich sprawne i szybkie przeprowadzenie zagwarantować może wykonanie nałożonych na nas zadań i obowiązków. A zadania te wzrastają ciągle. Zapotrzebowanie na produkowane przez fabrykę maszyny jest już dziś ogromne, a wzrośnie ono jeszcze bardziej i to w niedługim czasie. Wynika to wyraźnie chociażby z wytycznych dalszego rozwoju rolnictwa, przyjętych przez XV Plenum KC PZPR.**

II.

Nowa fabryka. Wieloletnie marzenie całej załogi bardzo dziś bliskie jest ziszczenia. Obaj dyrektorzy niezbyt jednak chętnie chcą o tym mówić. Powód? Ot, żeby nie zapeszyć służbowego szczęścia. Wprawdzie sprawa daleko zaawansowana, ale jeszcze to i owo wymaga uściślenia. Potrzeba kilku ostatecznych decyzji. Sprawa przecież ogromnej wagi. Więc terminy, moce przerobowe, nakłady, lokalizacja...

Tak jednak czy inaczej, przyszłość „Kraju" nie jest już bynajmniej mglista czy niejasna. Wiadomo: na pierwszy ogień pójdzie stara odlewnia, która — po rychłym już oddaniu do użytku odlewni na Sklęczkach pod Kutnem — będzie można wreszcie z całym spokojem rozwalić. Stary zakład jednak pozostanie, po uporządkowaniu i przeprowadzeniu zabiegów modernizacyjno-adaptacyjnych, przejmie na siebie wąską specjalizację: produkcję konnego siewnika zbożowego.

Nowy zaś zakład, wzniesiony na przedmieściu Kutna, będzie kilkakrotnie większy, skonstruowany wedle wymogów najnowszej „mody" technicznej. Pełna automatyzacja i mechanizacja, klimatyzacja i wentylacja. Jego modelowym wzorcem będą zakłady przemysłu motoryzacyjnego ze skomplikowanym systemem automatycznych taśmociągów i przenośników oraz innych urządzeń, wzmagających precyzję produkcji i eliminujących do niezbędnego minimum wysiłek ludzkich mięśni.

Fot. Archiwum

LISTY DO REDAKCJI

gramami i niecelowe, zwłaszcza gdy te seminaria miałyby być prowadzone przez osoby, które same nie prowadzą prac badawczych z filologii polskiej. Na prowadzonym w tych warunkach seminarium z zagadnień filmu, teatru, czy telewizji student nie nauczy się metod badawczych i nie nabędzie praktycznych umiejętności samodzielnego rozwiązywania problematyki związanej z literaturą polską czy językiem polskim, co przecież jest nieodzownym warunkiem zdobycia dyplomu magistra filologii polskiej.

prof. dr KAROL DEJNA
Zastępca dyrektora
Instytutu Filologii Polskiej UŁ

OD REDAKCJI: Z dużym zadowoleniem przyjęliśmy wyjaśnienie prof. dr Karola Dejny, będące odpowiedzią na felieton Widoka „Wstydliwa sprawa". Cieszymy się, że Autor listu staje w obronie programu i przepisów. Uważamy jednak, że program i przepisy zostały ustanowione dla ułatwienia ludziom życia. Skoro więc życie pokazuje, że potrzebni są specjaliści, znający się na filmie i teatrze (potrzebni są szczególnie w nowoczesnej szkole), to wypadałoby przepisy podporządkować życiu, a nie odwrotnie. I w tym miejscu rozminiemy się z autorem listu.

„KTO ZAWINIŁ"

Redakcja „Odgłosów" zamieściła 28. XI. 74 r. list Czytelnika Kazimierza Skibickiego. Autor listu opisuje szczegółowo jak w sierpniu zakupił czekoladę o nazwie „Kostka mocca" produkcji ZPC „22 Lipca", później reklamował w sklepie ponieważ czekoladka była wyschnięta, zdeformowana i utraciła połysk. Następnie autor listu zgłosił reklamacje do naszych zakładów. Udzieliliśmy odpowiedzi, która wywołała nowe refleksje, tym razem o szerszym zasięgu. Pan Skibicki głównie polemizuje z naszym twierdzeniem, że wyroby czekoladowe wymagają odpowiednich warunków przechowywania i twierdzi, że handel nie posiada takich warunków i dlatego proponuje nam zmienić technolgię produkcji, a od Polskiego Komitetu Normalizacyjnego domaga się zmiany warunków przechowywania. My w dalszym ciągu podtrzymujemy, argumenty zamieszczone w naszej odpowiedzi z 3.IX. 74 r. Możemy tylko pewne kwestie wyjaśnić i rozszerzyć.

Przepraszamy, że nie zrobiliśmy tego od razu, ale nie spodziewaliśmy się, że sprawa naszej czekoladki zainteresuje tak bardzo naszego klienta.

Wyroby czekoladowe są artykułem luksusowym i wymagają określonych warunków przechowywania. W skład czkolady wchodzi naturalny tłuszcz kakaowy, który nie jest substancją jednorodną lecz jest mieszaniną kilku związków tłuszczowych różniących się między sobą głównie temperaturą topnienia i krzepnięcia. Niektóre frakcje tłuszczu kakaowego występują w postaci płynnej już w dwudziestu kilku stopniach Celsjusza, inne natomiast topią się dopiero w 30—35 st. C. Z jednej strony jest to poważną zaletą ponieważ czekolada w ustach topi się stopniowo, dając nam odczucia smakowe. Z drugiej strony własności te stwarzają poważne problemy produkcyjne i magazynowe. Każde podniesienie temperatury poza określone maximum powoduje topienie się kolejnych frakcji tłuszczu, a następnie ochłodzenie powoduje krystalizowanie tłuszczu, ale już nie w postaci drobniutkich kryształków jakie powstają podczas procesu produkcji, ale w postaci dużych widocznych gołym okiem kryształów. W ten sposób powstaje tzw. „siwienie wyrobów". Teoretycznie można tego uniknąć przez chemiczne utwardzenie tłuszczu i zlikwidowanie frakcji bardziej płynnych, ale wówczas temperatura topnienia tłuszczów będzie wyższa niż temperatura ciała ludzkiego i czekolada nie będzie się w ustach rozpuszczała i będzie niestrawna dla organizmu. Pan Skibicki stwierdził, że „kostka" była wyschnięta i zdeformowana. Proces ten zachodzi w podwyższonych temperaturach i dotyczy głównie nadzień delikatnych zawierających w swoim składzie wodę i alkohol. Że woda i alkohol mogą częściowo odparować tego nie musimy chyba wyjaśniać.

Objawy, które opisał p. Skibicki wskazują, że czkolada musiała być narażona na poważne temperaturowe tortury, jeżeli już po 11 dniach była kompletnie wyschnięta, zmieniła smak i kształt. Takie objawy nie mogły powstać w procesie produkcji i w magazynach naszych zakładów, gdzie wyroby przebywają bardzo krótko. Zdarzają się wypadki niewłaściwego transportu. Mimo, że w umowie na transport zastrzegamy sobie, że w okresie letnim wyroby czekoladowe będą przewożone nocą to jednak spotykamy się z lekceważeniem tego problemu. Wyroby czekoladowe umieszczone pod plandeką samochodu wystawionego na działanie słońca muszą ulec zepsuciu. Innym problemem jest wystawianie wyrobów czekoladowych na nasłonecznionych wystawach. Wyrób wystawiony na wystawę nie nadaje się później do sprzedaży, co niestety jest często praktykowane. Pan Skibicki proponuje abyśmy zmienili technologię produkcji ponieważ handel jeszcze długo nie stworzy prawidłowych warunków sprzedaży.

Nasze przedsiębiorstwo stosuje obecnie jedną z najnowocześniejszych technologii, zakupiliśmy nowe urządzenia i mimo to nie jesteśmy w stanie wyprodukować czekolady, która nie byłaby wrażliwa na temperaturę. Tak więc musimy dbać o warunki przechowywania lub przestać produkować wyroby czekoladowe w okresie letnim. Niektóre znane firmy światowe ograniczają produkcję w okresie letnim nie chcąc narażać dobrej opinii swej firmy.

Czy naprawdę jest tak trudno stworzyć odpowiednie warunki transportu i sprzedaży? Pamiętamy że niewiele lat temu tylko niektóre sklepy nabiałowe i mięsne posiadały lady chłodnicze. Teraz urządzenie takie posiadają prawie wszystkie sklepy nawet wiejskie. Nikt nie kwestionuje, że mięso i nabiał trzeba przechowywać w odpowiednich warunkach, dlaczego więc od czekolady wymaga się, aby ją dostosować do warunków a nie odwrotnie. Aby znowu nas źle nie zrozumiano informujemy, że czekolady nie można przechowywać w lodówkach, bo wówczas po wyjęciu z zimnego otoczenia osiada na czekoladzie para wodna, która rozpuszcza cukier i po wyschnięciu czekolada pokryje się białym nalotem.

Czekolada nie jest artykułem pierwszej potrzeby i nie powinniśmy jej, przynajmniej w lecie, sprzedawać w każdej budce na rogu, a chyba już niedługo doczekamy się, że poważniejsze sklepy będą posiadały klimatyzację.

Dziwimy się, że redakcja zamieściła list bez komentarza, ponieważ z listu p. Skibickiego Czytelnicy mogą wyciągnąć wniosek, że jeżeli czekolada posiada wady, to winien jest wyłącznie producent i ewentualnie Polski Komitet Normalizacyjny, który ustalił warunki przechowywania.

inż. WŁ. RACZYŃSKI
(zastępca dyr. ktora do spraw produkcji)
mgr inż. H. CIOMPA
(zastępca głównego technologa).

A TO TEŻ JEST WARSZAWA

Jako przedwojenna warszawianka, pozwalam sobie zgłosić pewne sprostowanie do artykułu Pana, zamieszczonego w nr 51/52 „Odgłosów", a zatytułowanego „A to też jest Warszawa". Otóż wszystko w tym artykule jest zgodne z prawdą, z wyjątkiem jednego: dzisiejsza fabryka kosmetyków „Uroda" — to bynajmniej nie dawna fabryka Schichta, lecz fabryka Pulsa.

Fabryka Schichta znajdowała się chyba w Gdańsku i słynęła przede wszystkim z doskonałego mydła do prania (tzw. mydło z jeleniem). Natomiast fabryka Pulsa w Warszawie produkowała wspaniałe mydła toaletowe i wody kolońskie. Do dziś pamiętam ich delikatny i uroczy zapach!

Komunikując o tym Panu (gwoli prawdy!), pozwalam sobie przesłać koleżeńskie pozdrowienie.

IRENA LASOCIŃSKA
b. redaktor Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi

Przykro mi bardzo, ale dzisiejsza „Uroda" to przedwojenny „Schicht". Natomiast fabryka Pulsa znajdował się w Krakowie.
Za list i pozdrowienia bardzo dziękuję.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

LEKCJA LITERATURY

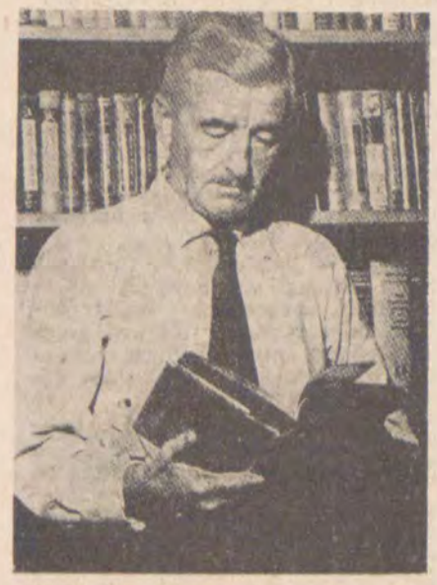

„Według mnie — powiedział w 1962 roku na wieść o śmierci Williama Faulknera Friedrich Dürrenmatt — umarł dzisiaj największy pisarz świata. (...) Nie był człowiekiem awangardy, był poza wszelką klasyfikacją. Jego pełne oddziaływanie na literaturę da się określić tylko w przyszłości". Warto pamiętać te słowa nawet wtedy, gdy przekonani jesteśmy, że należałoby raczej powiedzieć, iż umarł jeden z największych, jeden z kilku, czy może kilkunastu geniuszy. Nie jest to próba narzucania opinii o pisarzu. Świadomość jego geniuszu jest potrzebna zwłaszcza dla tych czytelników, którzy dopiero zaczynają poznawać jego ogromny i przedziwny świat powieści, by nie przeoczyć możliwości, wartości, które kryją się w jego niemal wszystkich tekstach.

Faulkner, podobnie jak Biblia, jak Szekspir, zaczyna zdradzać swoje tajemnice tylko wiernemu, wytrwałemu, wielokrotnie powracającemu do jego twórczości czytelnikowi. I podobnie, jak w przypadku Biblii i Szekspira, niemożliwe jest napisanie popularyzatorskiego eseju streszczającego w sposób jasny jego podstawowe idee.

„Oceniam pisarzy — mówił do studentów amerykańskich — według heroizmu i skali poniesionej klęski, a nie według sukcesu czy wartości dzieła... Wolfe poniósł klęskę największą, bo chciał w niewielu słowach zawrzeć dzieje ludzkiego serca... Chciał dzieje ludzkiego serca zmieścić na główce od szpilki i każdym zdaniem powiedzieć **wszystko** przed śmiercią".

Faulkner również chciał powiedzieć **wszystko.** Zamiar równie wielki, co niemożliwy do zrealizowania. Dlatego nie zaufał sobie jako pisarzowi. W stosunku do swoich bohaterów przyjął postawę podobną, jak bóg deistów wobec stworzonego przez niego świata, powołał go do istnienia nie mając później żadnego wpływu na bieg jego dziejów. Świat wymknął się spod jego władzy, żył swoim własnym życiem pozostawiając pisarzowi obowiązek opowiedzenia o nim, tajemniczym, rządzącym się własnymi prawami.

„Moi bohaterowie — mówił — są dla mnie całkowicie realni, całkowicie rzeczywiści... Zapominam, co robili, ale ich samych nie zapominam, wiem zawsze, że są, i kiedy kończę książkę, oni nie umierają, ale żyją dalej, popełniając nowe głupstwa, które prędzej czy później wykryję i opowiem".

Zacytowany właśnie fragment wypowiedzi Faulknera pozwala nam zrozumieć tajemnicę jego moralistyki, był bowiem moralistą, wielkim moralistą. Nie dowierzał ideom. Zbyt dobrze wiedział, że nawet najpiękniejsze są zdolne zrobić z człowieka ślepe i okrutne narzędzie własnych celów. Zadanie pisarstwa widział w pokazywaniu walki konkretnych jednostek z własną słabością, podłością, upadkiem. Właśnie konkretnych, moralność bowiem, jeżeli istnieje poza jednostką, zbyt łatwo staje się nieludzka, okrutna. Wiedział że nie jednostki ją stwarzają, że jest możliwa tylko wtedy, gdy człowiek styka się z innym człowiekiem, nawet wtedy, gdy dochodzi do walki między nimi, ale tylko nasze indywidualne decyzje i starania mogą utwierdzać jej istnienie. Podobnie i piękno, szlachetność naszego stosunku do świata, zwłaszcza świata przyrody zależą od naszego indywidualnego wtajemniczenia w jego wartości, od indywidualnego postępowania.

Owo skupienie uwagi na jednostce bynajmniej, jak można by może mniemać po tych rozważaniach, nie zbliża Faulknera do egzystencjalizmu. Popatrzymy uważnie na inną jego wypowiedź, która pozornie zaprzecza wszystkim dotychczasowym sformułowaniom.

„Najważniejszą rzeczą jest przenikliwość, tzn. ciekawienie się, zdumiewanie, podpatrywanie, dociekanie, dlaczego ten człowiek postąpił właśnie tak... Żaden pisarz nie chciałby, myślę, pełnić funkcji trybunału. Jeśliby zaczął sądzić istoty, które stworzył, bogowie cofnęliby plenipotencję, jaką mu dali... Nie jest rolą pisarza ulepszać kondycję ludzką. Jego interesują wszystkie ludzkie kondycje i żadnej nie sądzi. W tym odbija się ruch, życie. Drugą alternatywną jest nicość, śmierć".

Cóż to za moralista, zapytajmy, który nie chce ulepszać kondycji ludzkiej? Nie chce dawać recept, jak można być lepszym, szlachetniejszym? Nie tworzy utopii społeczeństwa dobrego, moralnego i szczęśliwego? Można by odpowiedzieć przypominając, iż nie byłoby Inkwizycji bez pięknych ideałów chrześcijaństwa. Można by dziękować losowi, iż pozwolił nam uniknąć życia na szczęśliwej wyspie Nipu, na którą zabłądził Mikołaj Doświadczyński.

Faulkner dobrze wie, że życie jest zbyt bogate, by dało się znaleźć jakiekolwiek najprostsze zalecenia moralne, które rygorystycznie przestrzegane nie prowadziłyby w pewnej chwili do zbrodni. Dlatego interesują go nie reguły postępowania, nie idee, nie kodeksy moralności, ale ludzie, konkretni ludzie.

„Pisarz stwarza dzieło, ażeby mówić o ludziach, o człowieku będącym w ustawicznej walce z własnym sercem i sercami innych. Człowiek w odwiecznej i wciąż na nowo wszczynanej walce — oto nasze dziedzictwo, oto przedmiot naszej uwagi, który, badany, jak gdyby był czymś, co jeszcze nigdy nie istniało, ukazujemy w jakimś dramatycznym momencie: szaleństwa istnienie. I to wszystko. Nasza rola: chwytać płynność będącą ludzkim życiem...".

Wobec dzieła Faulknera jesteśmy podobnie bezradni jak wobec życia. Próbując zrozumieć postępowania naszych przyjaciół myślimy wielokrotnie o tym, co widzieliśmy na własne oczy, dociekamy prawdy tego, co o nich usłyszeliśmy, domyślamy się tego, o czym nie mamy żadnych wiadomości. Zdajemy sobie sprawę z niepewności i braków naszej wiedzy. Wiemy dobrze, na jakich przesłankach jest oparta nasza ich ocena. Jednak nie możemy zrezygnować z prób rozumienia ich, nie możemy nie znajdować w ich losie jakiejś nauki, jakiejś wskazówki dla własnych decyzji. To, co wspólnie z nimi robimy, jest naszym wspólnym losem, jednakże jak słabo jest nasza wspólnota poświadczona wiedzą tylko bliską pewności. Czy poczucie odpowiedzialności nie każe nam w tej sytuacji przypomnieć słów: **„Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni".** Czy moralista z taką świadomością wszystkim innym nie powinien w tej chwili powiedzieć: „Lekarzu, ulecz wpierw siebie samego!".

Świat powieści Faulknera jawi się nam jako obcy wobec nas. I tak powinno być, nie powinniśmy w nim odnaleźć siebie. Siebie można odnajdywać tylko analizując właśnie siebie, środowisko, kulturę w której wzrośliśmy. Faulkner właśnie wskazuje na konieczność poszukiwania odpowiedzi na pytania, kim jestem?, jaki jest mój los? moje przeznaczenie?, co mam do zrobienia w swoim świecie, swoim życiem? Na te pytania nie można dawać odpowiedzi **arbitralnych.** Nie można **dowolnie** zaplanować swojego życia i działania.

FAULKNER

„Ten, kto odcięty jest od swoich początków, kto nie może się o nich dowiedzieć, kto nie wie, co doprowadziło do sytuacji, w której znajduje się obecnie, nie może być siebie świadom — pisał Michel Butor po lekturze Faulknera. — W pewien sposób jest zewnątrz siebie i jego postępowanie jawi się jako nieubłagany los".

Faulkner opowiedział historię hrabstwa Yoknapatawpha od czasu osiedlenia się na ziemiach południa Stanów Zjednoczonych aż po lata pięćdziesiąte naszego wieku, hrabstwa o obszarze 2400 mil kwadratowych zamieszkiwanego przez 6298 białych i 9313 Murzynów (według jego własnych obliczeń). Traktuje bohaterów i kraj swoich powieści i opowiadań jak istniejące rzeczywiście, jakby ten czy ów z czytelników miał o nich pewne wiadomości, znał ich i czytając powieść słuchał jeszcze jednego opowiadania o tych samych, znanych już przedtem sprawach. To jest bardzo ważne, stawia nas bowiem pisarz w takiej samej sytuacji, w jakiej znajdujemy się, gdy jeden z naszych przyjaciół opowiada nam o drugim. Pisarz nie może (zabieg to może nieco dziwny, zważywszy, iż wszystko jest wymyślone przez Faulknera) łgać, nie może liczyć na naszą niewiedzę, nie może narzucać nam własnego stosunku do opowiadanych wydarzeń, zmusza nas do samodzielnego myślenia. Zauważmy, iż w każdy jego utwór jest wkomponowanych mnóstwo złotych myśli, aforyzmów, jednak w ten sposób, iż każdy jest tak ściśle przypisany bohaterowi, że my, czytelnicy, jedynie na własne ryzyko możemy przyjąć jego prawdę. Zwykle zresztą ich nie zauważa się łącząc je z postacią bohatera.

Faulkner jest w stosunku do czytelnika bezwzględny i agresywny. Chce byśmy z mozołem studiowali dzieje hrabstwa Yoknapatawpha. Godne najwyższej uwagi jest tutaj prawie wszystko. Każda wiadomość o bohaterze wnosi nam bardzo ważne dla jego poznania elementy, a wiadomości tych musimy poszukiwać we wszystkich utworach Faulknera. W jednym bowiem jest głównym bohaterem, natomiast istotne dane o jego pochodzeniu, potomstwie, związkach z innymi są zanotowane w szeregu innych powieści, gdzie występują jako postać epizodyczna — lub nie występują wcale. W zasadzie nie ma w twórczości Faulknera narratora autorskiego — o swoim świecie opowiadają same postacie powieści. Jak więc opowiadają, o ile szczerze, co przemilczają, co zniekształcają? Czy przypadkowo akcja np. „Wściekłości i wrzasku" w trzech swoich częściach toczy się w Wielkim Tygodniu 1928 roku? Czy ma to jakieś symboliczne znaczenie? Gdzie przebiega granica między dosłownością a symbolicznością?

Michel Butor tak charakteryzował metodę pisarską Faulknera:

„Czytelnik powinien być zawsze wewnątrz, to znaczy powinien być traktowany, jakby sam przynależał do odkrywanej mu historii. Fakty, o ile to możliwe, powinny mu się ukazywać tak jak postaciom wewnątrz dzieła. Zawsze więc zostajemy rzuceni w sam środek jakiegoś toku; od pierwszych linii mówi się o wielu rzeczach, które jakoby znamy, a które z wolna, w trakcie lektury, staną się dla nas jasne. Autor zakłada, że pewne informacje podstawowe, które zdobywamy dopiero w obcowaniu z dziełem i tego wychodząc udziela nam stopniowo innych informacji, tak samo jak postaciom z opowiadań".

Tak właśnie jest w przypadku obydwóch tekstów, które mogą stać się przedmiotem analizy w szkole. W „Kiedy umieram" jakiś Dari (przecież niby wszyscy wiedzą, kto to) opowiada, że właśnie wracał z Klejnotem (oczywiście doskonale nam znanym), gdy właśnie Cash na chwilę przestał ciosać trumnę. W „Wielkim lesie" na dobrą wiarę dopiero na ostatnich stronach dowiadujemy się, kto był głównym bohaterem utworu. Faulkner niejako odwrócił kierunek naszej uwagi jako czytelników, zamienił ciekawość tego, co potem, na zainteresowanie tym, co przedtem. Interesuje nas najbardziej odpowiedź na pytanie, dlaczego kara, która spotkała bohaterów, była tak okrutna, tak bezwzględna, dlaczego była właśnie taka, a nie inna? W poszukiwaniu motywacji zawsze wracamy wstecz. Źródła uporu Bundrenów, przewożących z narażeniem życia zmarłą matkę, kryją się w ich dalekiej przeszłości. Tylko zrozumienie jej pomoże nam odpowiedzieć na pytanie o sens tej wyprawy: szaleństwo to, głupota, powołanie, wzniosłość, najbardziej podły egoizm? Jakże splątane są motywacje. Czy Addie życząc sobie pochowania jej po śmierci na cmentarzu w rodzinym Jefferson, chciała po prostu wrócić do kraju swego dzieciństwa, czy chciała choć tak późno uciec od udręk swojego dojrzałego życia, od miejsca najcięższego szamotania się z nim? Czy może chciała się zemścić — na kim? na tchórzliwym kochanku pastorze?, na ograniczonym mężu? A może chciała rodzinie pokazać absurdalność ich nijakiego życia nędznych farmerów, lichotę ich nawykowych przekonań o powinnościach człowieka? Może tylko niektóre motywy, może wszystkie razem. A może ten najważniejszy został przemilczany, może był niemożliwy do wypowiedzenia? Wszak monologująca Addie w niektórych momentach, nie mogąc znaleźć słów, pozostawia w zdaniu miejsca puste, czego bynajmniej autor nie zamierza wypełniać własnymi domysłami. Może te miejsca puste kryją odpowiedź na najważniejsze pytania? A może właśnie chodzi o to, byśmy doszli do przekonania, iż odpowiedź na te pytania możemy znaleźć tylko w sobie? I tylko w stosunku do własnego losu? Byśmy błądząc w tym lesie motywacji, wydarzeń, przekonań i relacji stracili odwagę sądzenia innych?

Nie dajmy się zwieść wydawcom polecającym „Wielki las" jako „pełną uroku i szczególnego ciepła" opowieść. Stary myśliwy, Wuj Ike, w ostatnich zdaniach zapowiada niemalże to, czym przestraszyli nas autorzy tzw. Raportu Rzymskiego, zagładę świata ludzkiego spowodowanego zniszczeniem środowiska naturalnego.

„To nic dziwnego, że las, który znałem, las wyniszczony nie krzyczy o odwet. Ci właśnie ludzie, którzy go zgładzili sami na sobie dokonają zemsty".

W znakomitej i prześmiesznej anegdocie o tym, jak Ratliff leczył czkawkę Hogganbecka pojawia się natomiast taka refleksja Ratliffa:

„...człowiek nawet nie wie, że zaczął igrać z jakimiś ciemnymi mocami, które dotąd siedziały cicho, i nigdy nie wiadomo, czy one mają ochotę pożartować, czy też wszystko obrócą przeciwko temu, co zaczął historię, tak jak to właśnie było ze mną".

Jednak, czy można te sądy przypisać samemu autorowi? Zapewne nie. Los, natura, drugi człowiek — to niewątpliwie najczęstsze tematy twórczości Faulknera. Gdybyśmy chcieli odczytać ogólny sens „Wielkiego lasu", zapewne można by odczytać z niego pochwałę przyjęcia własnego losu jako cząstki wielkiej natury. Mały Ike, wtajemniczony przez starego Indianina w sekrety puszczy, odkrywa w sobie zarazem pokorę i dumę, pokorę wobec wielkich praw życia, dumę z tego, iż je zrozumiał, iż znalazł w wielkiej całości swoje miejsce i godnie zaczął wypełniać swój los. Pierwszemu ubitemu przez siebie jeleniowi składa taką przysięgę, składając ją jednocześnie wszelkiemu żyjącemu stworzeniu:

„Ja cię zabiłem, więc swoim zachowaniem nie mogę ujmy przynosić twojemu rozstaniu z życiem. Odtąd już zawsze muszę postępować tak, by nie rzucać cienia na twą śmierć".

Ta rycerska godność myśliwego jednak jest już tylko przeszłością. Zdaje sobie z tego sprawę stary Wuj Ike, nie ma jej wśród bohaterów „Kiedy umieram". W świecie coraz lepiej opanowanym przez człowieka, w świecie zwyciężonej przyrody, uzyskanie takiej świadomości własnego ludzkiego losu jest coraz trudniejsze, coraz rzadsze. Bez niej natomiast życie ludzkie staje się niezrozumiałą udręką", jak powiada poeta. Ileż wspaniałych postaci ukazał Faulkner „w jakimś dramatycznym momencie szaleństwa istnienia"? Kto z nich ocalał? Kto zdołał ocalić przed bezsensem własny los? Faulkner, rozważając i opowiadając o sprawach największych — patrząc na dzieje swojego hrabstwa Yoknapatawpha nie potrafi używać wielkich słów. Opisawszy w „Wrzasku i wściekłości" upadek wielkiej rodziny Compsonów, o paru Murzynach z ich służby powiedział tylko tyle: „Ci przetrwali".

To tak niewiele, że trudno przy pomocy tego typu nadziei przeciwstawiać się brakowi nadziei.

**„Ludzie, dotknięci niezrozumiałą udręką,
Zrzucali suknie na placach, żeby sądu wzywała ich nagość.
Ale na próżno tęsknili do grozy, litości i gniewu,
Za mało uzasadnione
Były praca i odpoczynek
I twarz i włosy i biodra
I jakiekolwiek istnienie".**

Ale może gdyby słowo „ludzie" zamienić na słowa „jednostka ludzka", „ktoś"?

„Jednostka ludzka — potwierdził Faulkner studentom amerykańskim — jest niemal niczym, garstką prochu, niedługo zdoła się jeszcze utrzymać na ziemi, ale jej gatunek i jej marzenia przetrwają. Zawsze będzie ktoś robił to, co robili Bach i Szekspir, dopóki człowiek nie przestanie tworzyć".

JERZY PORADECKI

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Eugeniusz Iwanicki urodził się 18 września 1933 roku w Domrackiem w powiecie nieświeskim. W 1958 roku zadebiutował jako prozaik we wrocławskiej „Odrze". Idąc za radą, zawsze życzliwego młodym Tymoteusza Karpowicza, na pewien czas porzucił pisanie, by imając się najbardziej nieprawdopodobnych zawodów zdobyć doświadczenie życiowe, pomocne przy — rzetelnie pojmowanej — pracy pisarskiej.

EUGENIUSZ IWANICKI

Dopiero więc w 1969 roku opublikował nakładem Wydawnictwa Łódzkiego swoją pierwszą powieść „Zmowa obojętnych". Tematem jej jest bunt młodego człowieka wobec nieprzystosowalnych do nowych warunków starych konwenansów, narzuconych społeczności małego miasteczka przez drobnomieszczaństwo. Iwanicki każe swemu bohaterowi zerwać ze światem starych form, ale zerwanie to jest bolesne tak dla samego bohatera, jak i dla jego otoczenia. Pisarzowi nie chodziło tu o realistyczne oddanie małomiasteczkowej atmosfery, stworzona przez niego „wizja starego świata" jest — zgodnie z estetyką współczesnej prozy — zdeformowana i groteskowa. Powołani przez Iwanickiego do życia „państwo Dulscy" wywodzą się z rodowej arystokracji. Mają — przy swoim minimalistycznym stosunku do życia — wielkie nazwiska, wielkie pieniądze i całkowity brak hamulców moralnych.

Problemami natury etycznej zajmuje się Iwanicki i w swej drugiej książce, zbiorze opowiadań „Powódź w dolinie psów" (1970). Opowiada się tu za prawem człowieka do szczęścia, do miłości, opisuje tragiczną ludzką samotność. Nie boi się też tematów drastycznych, czego wyrazem jest choćby uwspółcześniony motyw dramatu Edypa (opowiadanie „Wyznanie").

W 1971 roku Wydawnictwo Łódzkie ogłosiło drugą powieść Iwanickiego „Powrót żurawi". Bohaterem jej jest repatriant ze Związku Radzieckiego i jego najbliżsi. Opisał autor nostalgię i późniejsze lata trudnej asymiliacji w nowych warunkach. Poruszył również, modny w ostatnich latach, problem niemożności porozumienia się ludzi bliskich sobie i nawet kochających się. Iwanicki darzy swego bohatera szczególną sympatią. We wstępie do książki napisał: „Jest to opowieść o CZŁOWIEKU, którego znałem, podziwiałem, darzyłem jedną z najbardziej skrytych miłości, lecz którego nie umiałem pojąć ani zrozumieć".

Bohaterami kolejnej powieści, „Dzień pierwszy i następny" (1972, Wyd. Łódzkie), są ludzie z marginesu wykolejeni przez życie zbyt ciężkie lub zbyt łatwe. Opowiada tu Iwanicki o dziewczynie, która wychodzi za mąż za człowieka niekochanego, acz bardzo bogatego, tylko dlatego, by przypisać mu ojcostwo swego dziecka. Ów niefortunny krok jest jednocześnie przyczyną dramatu. Wyzbyty bowiem zasad moralnych mąż morduje kochanka dziewczyny. Tak jak i w pierwszej swej powieści, stworzył tu Iwanicki groteskową i przytłaczającą przez swe wynaturzenie wizję małego miasteczka. Tak więc, mimo że bohaterowie utworu wywodzą się ze środowisk, w których tego rodzaju problemy rozstrzyga się zwykle za pomocą noża, mąż — bandyta strzela do kochanka swej żony z belgijskiej szóstki. Pochodząca z rodziny robotniczej bohaterka nosi dźwięczne i wyszukane imię Rosława itd.

Rok 1973 przynosi nową powieść Iwanickiego „Deszczowy sezon". Utwór ten został napisany w konwencji lirycznej rozmowy dwojga kochanków. Ona jest Mazurką, którą lata wojny zmusiły do wyjazdu do Niemiec i której powrót do ojczyzny i szybkie przystosowanie się do warunków w kraju możliwe są dzięki spotkaniu wielkiej miłości. Na kanwie tego wątku pisarz poruszył tu również problem trwałych zmian, jakie do psychiki części społeczeństwa polskiego wniosła z sobą wojna. Liryczne wyznania bohaterów Iwanicki próbował odbanalizować poprzez stworzenie postaci i sytuacji groteskowych. Tak więc, na przykład, „Pritulicha", prymitywna zbieraczka mięty, potrafi owe zioła nazwać w pięciu językach: „To jest, proszę pana młodego, mięta! Mentha piperita, inaczej menthe poivree albo Pfeffermünze, albo miata pierecznaja".

W swoich literackich dokonaniach próbował Iwanicki odpowiedzieć na wielkie zapytania epoki, w której żyje. Postawił swoich bohaterów w sytuacjach trudnych, ale koniecznych wyborów postawy życiowej. Sam autor tak pisał o swoich zainteresowaniach pisarskich we wstępie do jednej ze swych książek: „moją pasją jest penetracja cudzych postaw moralnych, które są ciągle jeszcze nie zbadaną dżunglą, wyrosłą na gruncie naszej cywilizacji".

Narrację prowadzi w sposób oszczędny, nie komentuje poczynań bohaterów, pozostawiając wnikliwemu czytelnikowi ocenę wartości etycznej ludzi, faktów i zjawisk. Szczególnie dobrze czuje się w narracji prowadzonej w pierwszej osobie. Ten rodzaj narracji już w samym założeniu najskuteczniej niweluje barierę dzielącą „opowiadacza" od odbiorcy. Tworzenie karykaturalnej wizji atmosfery małych miasteczek jest dziś w centrum zainteresowania młodych pisarzy. W swych poszukiwaniach i dokonaniach literackich zbliżony jest Iwanicki do autora „Niech cię odleci mara" — Waldemara Siemińskiego.

Dodajmy, że Eugeniusz Iwanicki nie ogranicza się wyłącznie do uprawiania beletrystyki. Dał się przecież poznać jako autor ciekawych esejów i reportaży, zajmuje się też krytyką literacką. Napisał także szereg tekstów do piosenek, a i satyrą się para.

MARYLA LEŚNIEWSKA

TEORIA LITERATURY

STEFANIA SKWARCZYŃSKA

WSPOMNIENIA HISTORIA NADZIEJE

Tak się złożyło, że Łódź, właśnie Łódź, może tym się pochlubić, iż jest obecnie — mocą swej powojennej historii i przedwojennej tradycji — stolicą dyscypliny naukowej o randze w naukach humanistycznych wyjątkowo wysokiej, a mianowicie teorii literatury. Uznana ona została na całym świecie, jak wiadomo, za naukę podstawową nie tylko dla wszelkiego typu badań literackich, ale nawet dla humanistyki, zwłaszcza nauk o sztukach i nauk o kulturze. Jako dyscyplina dla nich podstawowa stanowi ona naturalne podłoże generujące związane z nimi zagadnienia interdyscyplinarne, a zajmujące się literaturą, także więc językiem jako jej tworzywem, eksponuje — wraz z lingwistyką — najdoskonalszy model systemu komunikacji międzyludzkiej dla badań młodej semiologii, także więc *largo sensu* kulturoznawstwa. Zawdzięcza to teoria literatury temu, że jej materiałem „wyjściowym" jest literatura powszechna, ujęta, oczywiście, w kontekście historyczno-kulturowym, i że operuje dla swych teoretycznych uogólnień, źródła, jak wiemy, terminologii naukowej, metodyką komparatystyki. Ta specyfika materiałowa i metodyczna czyni z niej niewątpliwie dyscyplinę w jej uprawie szczególnie trudną, ale coraz wyraźniej konieczną w naszym współczesnym świecie, znamiennym nawiązywaniem kontaktów i zacieśnianiem więzów pomiędzy krajami różnorodnych kontynentów i różnych kręgów kulturowych.

Oczywiście, teoria literatury, jak jak każda nauka teoretyczna, może być także potraktowana pomocniczo — jako nauka stosowana. I w takiej roli występuje ona np. w ramach studiów polonistycznych czy romanistycznych, gdzie uczy operować pojęciami teoretyczno-literackimi na materiale li tylko jednej literatury narodowej. Ale wyłączne jej redukowanie do statusu nauki stosowanej równa się jej dekapitacji, jej likwidacji jako dyscypliny samoistnej i podstawowej. Jeśli u nas w Polsce przeważa sytuacja, iż Zakłady Teorii Literatury ulokowane są w Instytutach Filologii Polskiej, to chyba stąd wynika, że kadry specjalistów w dziedzinie teorii literatury są jeszcze za szczupłe, aby ta dyscyplina mogła uzyskać odpowiadającą swej rzeczywistości rangę Katedry czy Instytutu; ufajmy, że „doczepką" będzie tylko do czasu.,

Otóż wbrew takiemu przeważającemu u nas stanowi rzeczy w jednej tylko Łodzi sytuacja teorii literatury przedstawiała się i dotąd przedstawia się inaczej. Mowa tu o Uniwersytecie Łódzkim, gdzie od pierwszej chwili jego powstania, a więc lat temu trzydzieści, zaistniała Katedra Teorii Literatury. Najpierw była to „osobowa" Katedra dawnego typu, potem zespołowa Katedra Teorii Literatury, a potem — w miarę aktywizacji swej podstawowej funkcji naukowej, a zarazem troski o fachowość naukową wyłaniającej się problematyki interdyscyplinarnej — po dołączeniu do Zakładu Teorii Literatury dwóch innych Zakładów: Zakładu Wiedzy o Filmie i Zakładu Dramatu i Teatru otrzymała nazwę Katedry Teorii Literatury, Teatru i Filmu; wreszcie uzyskała rangę Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu; z tym, że Zakład filmoznawstwa wzbogacił się o wiedzę o TV

Nie jest rzeczą przypadku, że właśnie Łódź posiada jedyną o tej randze placówkę teorii literatury, sprzężoną z nauką o dramacie i teatrze oraz z nauką o filmie i TV — a otwartą strukturalnie na kreację z czasem placówek poświęconych sztukom innym. I tu przejdźmy do wspomnień i do historii.

Jeszcze przed wojną, w 1937 r., ja sama, łodzianka z serca, z wyboru, z miejsca pracy, uzyskałam w Uniwersytecie lwowskim habilitację w zakresie teorii literatury. Była to pierwsza w Polsce habilitacja z tej dziedziny; drugą z kolei była habilitacja w Poznaniu dr K. Troczyńskiego, nieodżałowanej ofiary hitleryzmu. Łódź, właśnie Łódź, powołała pierwsza, w 1939 r., na swoim Oddziale Wolnej Wszechnicy Katedrę, w której nazwie figurowała teoria literatury, i mnie na nią zaprosiła. Poprzednio już odbywały się wykłady z teorii literatury nie tylko na Wolnej Wszechnicy, ale także w Pedagogium. Spróbowaliśmy, my, łódzcy poloniści, dać tej dyscyplinie wyraz w druku w rozprawach i artykułach dotyczących dydaktyki na łamach założonego przez nas w 1937 r. rocznika „Prace Polonistyczne". Po wyzwoleniu, w Polsce Ludowej, nasz łódzki zreaktywizowany rocznik nadal — przynajmniej przez lat kilkanaście — ogłaszał — obok prac historyczno-literackich — prace teoretyczno-literackie; było to wykładnikiem aktywności naukowej łódzkiego ośrodka uniwersyteckiego teorii literatury.

Ale zaraz po wojnie powstało nie gdzie indziej jak w Łodzi czasopismo — dotąd nie docenione — poświęcone zagadnieniom teoretyczno-literackim. Założycielem jego i współredaktorem (przy zmieniających się innych członkach redakcji) był zast. profesora dr Juliusz Saloni. Dwumiesięcznik ten miał być w intencji założyciela kontynuacją przedwojennego „Życia Literackiego", stąd nieco „fantazyjne" dzieje jego tytułu (Zagadnienia Literackie dawniej Życie Literackie) i numeracji roczników. Czasopismo wychodziło przez dwa i pół roku (1946, 1947, do połowy 1948). Zdołało ono zgromadzić artykuły znakomitych uczonych starszego pokolenia (m. in. J. Kleiner, I. Ingarden, S. Szuman, Z. Szweykowski, A. Boleski, F. Araszkiewicz), średniego pokolenia (K. Zawodziński, S. Adamczewski, S. Skwarczyńska, L. Łopatyńska, A. Hutnikiewicz) i młodego pokolenia (m in. S. Żółkiewski K. Budzyk, E. Sawrymowicz, J. Kulczycka-Saloni, J. Trzynadlowski). W sprawach języka ltieratury nie brakło głosu językoznawców (Z. Stieber, Z. Klemensiewicz); znalazły się również dwa przekłady z prac tzw. rosyjskiej szkoły formalnej (B. Tomaszewski, W Żirmunski). Równocześnie łódzki tygodnik „Kuźnica" nie szczędził miejsca dla artykułów z zakresu teorii literatury i metodologii badań literackich w duchu filozofii marksowskiej.

Rozkwit jednak łódzkiej teorii literatury i jej promieniowanie na skalę międzynarodową rozpoczął się w 1957 r. W roku 1958 ukazał się — nakładem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, a więc i przy poparciu Polskiej Akademii Nauk — Tom I półrocznika o trójjęzycznym tytule: „Zagadnienia Rodzajów Literackich — Woprosy literaturnych żanrow — Les Problèmes des Genres Littéraires", Tom I czasopisma, którego zeszyt 1 Tomu XVIII znajduje się obecnie w druku. Czasopismo to, które podbiło opinię naukową na całym świecie, stało się niewątpliwie jako inicjatywa naukowa i jej realizacja wydawnicza chlubą Łodzi, bo nie tylko uniwersyteckiej placówki teorii literatury (redaktorzy: S. Skwarczyńska, W. Ostrowski, dyrektor Instytutu Filologii Angielskiej J. Trzynadlowski, kierownik Zakładu Teorii Literatury Uniwersytetu Wrocławskiego, pierwszy — w roku 1946 — doktor łódzkiej Katedry Teorii Literatury). Nasze czasopismo publikuje rozprawy w kilku językach obcych z polskimi streszczeniami: ich autorzy rekrutują się z 19 krajów, z trzech kontynentów. Zagranica przyznaje, że zasługą naszego czasopisma jest reaktywizacja naukowa w planie międzynarodowym zaniedbanego poprzednio działu teorii literatury, jakim jest genologia — w jej powiązaniach z poetyką i metodologią badań literackich. Pod inspiracją i na wzór naszego czasopisma powstało w świecie kilka innych, jak jawnie nawiązujące do naszego czasopismo amerykańskie „Genre".

Tak więc można powiedzieć, że Łódź stała się swoistą stolicą teorii literatury. Obecnie szłoby o to, aby tę dyscyplinę nadal rozwijać i nią promieniować, aby ją zaszczepiać w jej rzeczywistym charakterze, a nie tylko jako naukę stosowaną, młodzieży uniwersyteckiej, tej przede wszystkim, którą czeka zawód pracownika kultury, zawód który współcześnie wymaga nie tylko orientacji w literaturze polskiej, ale i światowej, a także np. orientacji w zasadach adaptacji literatury dla teatru czy filmu oraz rozumienia współdziałania tych i innych sztuk w całokształcie kultury.

A teraz — nadzieje. Jesteśmy obecnie w okresie reorganizacji studiów uniwersyteckich w duchu wielkich idei Edukacji Narodowej, w duchu postępu. Ufamy, że nasze Władze zechcą instytuować w Uniwersytecie Łódzkim kierunek studiów powierzony Instytutowi Teorii Literatury, Teatru i Filmu — kierunek w zakresie nauk o kulturze; że w jego ramach znajdą się oparte o wspólny pień i wzajemnie powiązane problemami granicznymi trzy specjalizacje, te które naukowo reprezentują trzy Zakłady wchodzące w skład Instytutu, a więc: teoria literatury, nauka o dramacie i teatrze, nauka o filmie i TV że wśród tych specjalizacji teoria literatury zajmie miejsce odpowiadające jej charakterowi dyscypliny podstawowej, generującej problemy interdyscyplinarne, nauki a w społecznej praktyce organizacji kultury nieodzownej, bo także integrującej różnorodne kierunki działań.

PLASTYKA

Autor J. Wiktorowski
Fot. J. Kubik

Z okazji 30-lecia wyzwolenia Łodzi wydane zostały przez łódzki oddział Krajowej Agencji Wydawniczej plakaty okolicznościowe. Druk wykonały Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch". Autorami plakatów są łódzcy graficy: Ryszard Kuba Grzybowski i Paweł Udorowiecki. Plakaty kolportuje „Ruch", cena jednego egzemplarza 10 zł. Plakat Grzybowskiego przedstawia sylwetkę pomnika w Radogoszczu w czerwieni, umieszczoną na granatowym tle. Oszczędny, ale bardzo ekspresyjny plakat Udorowieckiego operuje tylko bielą i czerwienią.

• • •

W Salonie Sztuki Współczesnej na Piotrkowskiej czynna jest bardzo interesująca wystawa plakatów znanej spółki autorskiej Balicki — Łabędzki. Ekspozycja gromadzi plakaty wyłącznie o tematyce kulturalnej. Pokaz plakatów Balickiego-Łabędzkiego śmiało można uznać za zdarzenie artystyczne.

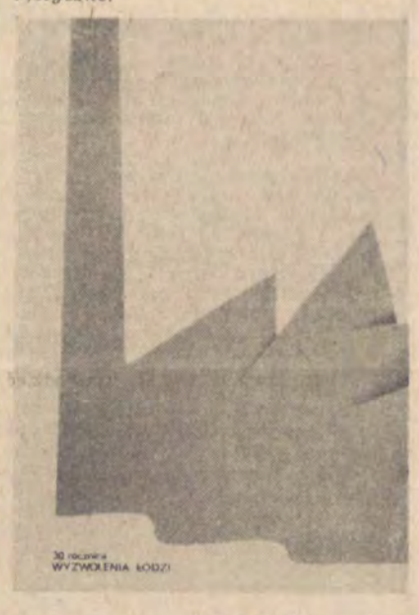

Autor P. Udorowiecki
Fot. J. Kubik

TELEWIZJA

PROCES PASAŻERKI

Spektakl telewizyjny „Procesy" autorstwa Danuty Brzosko-Mędryk i Wacława Florkowskiego przynosi oryginalną wersję tematu oświęcimskiego. Jest to wszakże oryginalność przez autorów nie zamierzona, gdyż jest własnością splotu faktów, które to przedstawienie stworzyły i ich dalszego ciągu rozegranego w rzeczywistości późniejszej. Zagłębianie się w ten labirynt zdarzeń prowadzący od przeszłości w teraźniejszość i nieznaną przyszłość jest niebywale trudne, bowiem jego punkt wyjścia był dostępny doświadczeniu tylko niektórych. Przerażająca wymowa faktów przez nich opisanych nakazuje innym milczenie. Dyskusja na temat ich interpretacji najstraszliwszego przeżycia ludzkości grozi grubym nietaktem. Ale milczenie nie kształtuje moralnych wartości, może natomiast niespostrzeżenie przerodzić się w obojętność i zapomnienie.

Wypowiedź o „Procesach" nie może przemilczeć najistotniejszych dylematów moralnej oceny obozowego świata w polskiej literaturze i filmie. Podjęcie tego wielokrotnie komentowanego problemu jest tutaj tym ciekawsze, że w „Procesach" przedstawia się on niezwykle wyraziście. Etyczne oceny są w tym widowisku wyjawione wprost, ponieważ one to właśnie wprawiają w ruch świat przedstawiony na sali sądowej. Sądowa konwencja spektaklu doskonale sprzyja otwartym manifestacjom moralnym. Ich założenia zaś, ogólne motywacje kodeksu leżącego na sędziowskim pulpicie pozostają w cieniu, są jednak na tyle wyraźnie, że z łatwością dają się odtworzyć. Ich pobieżna rekonstrukcja musi odwołać się do określonej tradycji w polskiej literaturze martyrologicznej, tradycji przejętej nieco później przez film, by teraz trafić do telewizji.

Ten wątek moralistyki obozowej, o którym myślę, prowadzi przez twórczość Seweryny Szmaglewskiej („Dymy nad Birkenau"), Zofii Kossak-Szczuckiej („Z otchłani"), Zofii Nałkowskiej („Medaliony") czy Tadeusza Holuja („Koniec naszego świata") — a także Wandy Jakubowskiej („Ostatni etap" i „Koniec naszego świata"). Autorzy ci zakreślają granice oddzielające od normalnego świata obszar grozy i zwyrodnienia, gdzie zostały zawieszone normy moralne obowiązujące na zewnątrz. Konstrukcja tej rzeczywistości jest manichejska: demoniczne zło jest przypisane oprawcom, natomiast wartości ludzkie są udziałem katowanych. Moralna granica dobra i zła, która przebiega pomiędzy ofiarą i katem, jest niezachwiana. Świat jest opowiadany przez ofiarę. Jej punkt widzenia opiera się na moralnym doświadczeniu spoza obozu, zawiera się w jednostkowej psychologii, apeluje do emocji i zmusza do protestu w imię odwiecznych ideałów europejskiej kultury. Jest słuszny, ale odwołuje się do etycznych wyobrażeń, które w obozowym piekle nie wytrzymały próby.

Dowiadujemy się o tym z drugiego nurtu twórczości obozowej, w którym obok Tadeusza Borowskiego nazwisk jest znacznie mniej, gdyż konkluzje stanowiące jego ideologiczne sedno wymagały ogromnej odwagi umysłowej. Borowski był pisarzem, który koncentracyjny kataklizm przeżył i przemyślał do najskrajniejszych konsekwencji. W jego perspektywie człowiek zostaje odarty z wszelkich humanistycznych złudzeń, które dotychczas formowały jego ludzką integralność. Zachowanie człowieka w obozie w obliczu nieustannego zagrożenia śmiercią zostaje sprowadzone do czysto biologicznych odruchów. Centralną i wyłączną kategorią świata Borowskiego jest zło. Ale zło nie ma tutaj źródeł w psychopatologii konkretnych jednostek — jest postawą wymuszaną przez system, którego człowiek jest częścią funkcjonalną. Apokalipsa u Borowskiego nie jest demoniczna, lecz zwyczajna, po prostu ludzka, opowiadana lakonicznie i beznamiętnie. Groza i rozpacz czai się u Borowskiego w przestrzeni pomiędzy przedstawionymi faktami a relacją narratora, „Między jednym a drugim kornerem za moimi plecami zagazowano trzy tysiące ludzi".

W ten sposób temat obozowy staje się krytycznym etaptem historiozofii, gdzie panuje totalna negacja dotychczasowych wzorów i wartości kulturowych. Tutaj moralistyka traci jakikolwiek sens, bowiem samo pojęcie moralności przestało istnieć. Hitlerowski totalitaryzm jest logicznym produktem dotychczasowego toku cywilizacji ludzkiej, w której stopniowo wyobcowany i urzeczowiony człowiek stracił wreszcie elementarną autonomię.

Intelektualne doświadczenie Borowskiego zapisane w cyklu opowiadań obozowych zyskało nielicznych kontynuatorów. Tym trybem myślenia jest zarażona poezja Różewicza, rozwijają go także pisarze, którzy obozu nie przeżyli: Bogdan Wojdowski w „Wakacjach Hioba" i Janusz Krasiński w „Wózku". Do tego samego pokolenia należał także reżyser filmowy Andrzej Munk, który w niedokończonej „Pasażerce" pokazał Oświęcim w duchu Borowskiego.

Fabuła „Pasażerki" w zaskakujący sposób splata się z historią przedstawioną w „Procesach". Obraz Munka był zbudowany z retrospekcji obozowych, z wewnętrznego monologu SS-manki Lizy, która kilkanaście lat po wojnie na pokładzie transatlantyku wraca wraz z mężem ze Stanów Zjednoczonych do Europy i tu, przy zejściu na ląd, spotyka jedną ze swoich obozowych ofiar, Martę.

Realizację „Pasażerki" przerwała — jak wiadomo — tragiczna śmierć reżysera, który zdążył zrealizować część obozową swego filmu i zostawił fragmentaryczne materiały zdjęciowe części współczesnej. W ukończonym przez przyjaciół Zmarłego filmie zdjęcia współczesne stanowią serię nieruchomych fotogramów komentowanych spoza kadru i trudno właściwie wyczytać z tego zabiegu narracyjnego fabularne intencje reżysera. Pewna sytuacja międzyludzka zostaje w „Pasażerce" zaledwie naszkicowana, służy jako impuls do wywołania ponurej przeszłości. I oto „Procesy" nieoczekiwanie podpowiadają hipotetyczny ciąg dalszy filmu Munka.

Mogło się bowiem zdarzyć i tak, że Marta identyfikuje Lizę jako zbrodniarkę wojenną i przyjeżdża do USA, aby uczestniczyć w procesie o ekstradycję. W ten sposób wszakże skomplikowane stosunki psychologiczne pomiędzy Martą a Lizą tracą swój finezyjny wymiar. Przenoszą się na żądane sensacji forum publiczne i nabierają charakteru oficjalnych deklaracji przypieczętowanych literą prawa. Tak wygląda pierwsza różnica w obu fabułach. Pozostałe wypływają z niej na prawach konsekwencji. W ćwierć wieku po „epoce pieców" świat udaje, że wrócił do formy ustalonej przez dekalog. Nihilistyczne konstatacje Borowskiego straciły już swoją użyteczność, są bowiem nieprzekładalne — choćby za cenę hipokryzji — na świat, który pragnie być normalny. Ale rzeczywistość sprzeciwia się wysiłkom moralizatorów: adwokat jest nadmiernie agresywny, gwarancją porządku jest jedynie czujne oko policjanta, a samo życie dopisuje całej aferze epilog, o którym czytamy w gazetach:

„— Zebraliśmy materiał przeciwko 90 osobom podejrzanym o zbrodnie wojenne — mówi b. główny prokurator nowojorskiego Biura do Spraw Imigracji i Naturalizacji (INS) Vincent Schiano. Ale kiedy poprosiliśmy Waszyngton o emigracyjne dokumenty tych osób, polecono nam przesłać do Waszyngtonu komplet zgromadzonych danych...

Prokurator Schiano wykonał to polecenie, ale gdy usiłował kontynuować swoją działalność — otrzymał dymisję".

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

OKO NA GOSPODARKĘ

KIM BĘDZIESZ DYREKTORZE?

Na to pytanie — wbrew pozorom — nie tak znowu łatwo udzielić precyzyjnej odpowiedzi. Dlaczego? Przecież w Słowniku Wyrazów Obcych, na którejś z jego stron, można znaleźć takie wyjaśnienie przy haśle — d y r e k t o r: **„Osoba stojąca na czele i kierująca pracą danej instytucji, przedsiębiorstwa, zakładu"**. W tym samym SWO czytamy tym razem obok słowa d y r e k c j a: **„Kierownictwo, zarząd instytucji, przedsiębiorstwa, zakładu, na którego czele stoi dyrektor..."** i dalej, jako uzupełnienie: **„Kierowanie, zarządzanie, dyrygowanie"**.

Jeśli pójdziemy śladem definicji zawartej w Słowniku Wyrazów Obcych, to dyrektorem jest i w naszych warunkach osoba kierująca, zarządzająca, w tym miejscu pozwolę sobie dodać — kierująca organizmem gospodarczym. A więc nie chodzi bynajmniej tylko o zarządzanie, „sterowanie" procesami produkcyjnymi, techniką, lecz c a ł y m bardzo skomplikowanym i rozbudowanym organizmem, którego funkcjonowanie zależy w co najmniej równym stopniu od sprawności parku maszynowego, jak i wyboru najodpowiedniejszych powiązań, organizacji pracy, ba — nawet umiejętnego rozstawienia specjalistów, wykorzystania indywidualnych ambicji i zdolności personelu, kształtowania właściwych „stosunków międzyludzkich".

Toż to więcej zadań, którym może, a raczej powinien podołać ekonomista, psycholog, a przede wszystkim odpowiednio przygotowany fachowo o r g a n i z a t o r niż...

Niż kto?

Oczywiście mógłbym się tutaj odwołać do nigdzie nie zapisanego, ale tradycyjnego prawa publicysty, które upoważnia go do przerysowywania pewnych zjawisk, jeśli ma to jakieś ogólniejsze uzasadnienie i znaczenie. W tym jednak przypadku jest to zupełnie zbyteczne. Nie ja bowiem pierwszy wskazuję na pewne zjawiska od dawna cechujące naszą politykę kadrową szczególnie właśnie w przemyśle. „Amerykę" już dawno odkryto. Tyle, że ciągle nie wyciągamy z tego faktu odpowiednich wniosków.

Tak więc tylko dla przypomnienia powtórzę rezultaty ustaleń, które dostarczył krajowi przemysł. Bo co się okazuje: można dziś śmiało zaryzykować zakład, że na 100 przebadanych fabryk przynajmniej w 90, jeśli nie więcej, dyrektorem jest człowiek legitymujący się wykształceniem technicznym, z reguły jest to inżynier.

W tym miejscu wypada mi wrócić do pojęcia d y r e k t o r a, z którym ściśle związane jest kierowanie, organizowanie, administrowanie, a więc olbrzymie obszary działalności finansowej i prawnej, gospodarowania siłami ludzkimi, materiałami, setkami milionów złotych, no i także — oczywiście — maszynami, ale zaryzykuję: wcale nie w ściśle inżynierskim tego słowa znaczeniu. Nie jestem tak zupełnie pewny czy dyrektor nowoczesnego przedsiębiorstwa musi się znać na budowie i pracy każdej maszyny, jaka pracuje w zarządzanym przez niego przedsiębiorstwie. Natomiast skłonny jestem twierdzić, iż musi on doskonale wiedzieć, czym jest ów mechanizm w c a ł o k s z t a ł c i e procesów ekonomiczno-wytwórczych, którymi on kieruje zmierzając do uzyskania określonych rezultatów, właśnie — e k o n o m i c z n y c h.

W takim ujęciu d y r e k t o r jawi się nam nie tyle, a właściwie — na pewno nie jako specjalista od techniki, lecz jako o r g a n i z a t o r.

Pozwolę sobie powtórzyć: „Amerykę" już dawno odkryto i zrobił to nie tylko Servan-Schreiber — wskazując w swej głośnej książce na zaniedbania, na zacofanie w tej właśnie dziedzinie przemysłu francuskiego, lecz na to samo wskazywali specjaliści radzieccy, nasi sąsiedzi w krajach socjalistycznych na zachodzie i południu. Ba, nie tylko teoretycznie opracowali ten problem, lecz podjęli pierwsze, ale od razu zdecydowane kroki mające na celu wypełnić ową „lukę organizacyjną". Przykład? W ZSRR powołano do życia Instytut Gospodarki Narodowej, a jak stwierdził jego rektor — prof. dr W. G. Szorin (na łamach „Ekonomiczeskiej Gaziety").

„Instytut ten został utworzony dla doskonalenia pracowników kadrowych gospodarki narodowej, drogą uzupełniania ich wiedzy w dziedzinie zarządzania, organizacji produkcji, metod ekonomicznych i stosowania informatyki w planowaniu. Nauka o zarządzaniu stała się dla czynników kierowniczych pierwszorzędną".

A jeśli już mowa o praktycznych krokach podjętych nie tylko w ZSRR ale zostańmy przy tym przykładzie, to dodajmy jeszcze, że przy pięciu uczelniach ekonomicznych istniejących w Moskwie, Charkowie, Swierdłowsku, Leningradzie i Kijowie utworzono **„wydziały podnoszenia kwalifikacji w dziedzinie organizacji produkcji"**. Kształcą się w nich dyrektorzy nie mogący się wykazać odpowiednimi umiejętnościami w dziedzinie trudnej sztuki zarządzania, która przez wielu utożsamiona jest z o r g a n i z o w a n i e m.

Nie chciałbym być źle zrozumiany: bynajmniej nie odmawiam inżynierom prawa do... dyrektorowania. Chodziło tylko o to, że w miarę rozwijania, unowocześniania naszej gospodarki, a szczególnie przemysłu — polityka kadrowa nie może się opierać o dziewiętnastowieczny i trącący myszką model, gdyż bowiem wszystko — to byłoby za proste — nie tylko technika decyduje. A dodajmy już w charakterze uwagi marginesowej: absolwenci naszych wyższych uczelni technicznych wynoszą raczej dosyć mizerne umiejętności i wiadomości o mechanizmach rządzących gospodarką i gospodarowaniem, nie mówiąc już o takich dziedzinach, jak np. prawo administracyjne, nowoczesne metody organizacji pracy i produkcji.

I wreszcie kilka raczej retorycznych już chyba pytań:

Czy dyrektorem musi być zawsze inżynier?

Czy inżynier — powiedzmy mechanik — kiedy staje się dyrektorem, wykorzystuje w pełni swoje kwalifikacje?

Czy na pewno mamy w Polsce za dużo inżynierów, byśmy ich „na siłę" zmieniali w administratorów?

I wreszcie inna sprawa.

Całkiem niedawno miałem możliwość zapoznać się z niezwykle ciekawym dokumentem. Wprawdzie w jego tytule figuruje niezbyt zachęcające oschłe słowo s p r a w o z d a n i e, ale jeśli już przekroczy się tę wstępną barierę urzędowo-statystycznej oficjalności, rzecz robi się frapująca.

Ów dokument, albo jak chcą jego autorzy — sprawozdanie, to rezultat pracy specjalnej grupy roboczej, powołanej do przeanalizowania trudności występujących w prawidłowym funkcjonowaniu przedsiębiorstw przemysłu bawełnianego. Dodajmy w tym miejscu: w funkcjonowaniu bardzo dużych jednostek przemysłowych, takich jak ZPB im. Obrońców Pokoju, ZPB im. Juliana Marchlewskiego i ZPB im. Feliksa Dzierżyńskiego. W soczewce grupy badawczej znalazła się więc łódzka „bawełna", ale z całą pewnością byłoby dużym uproszczeniem, a raczej zmniejszeniem wagi wspomnianego na wstępie dokumentu, sprowadzać jego wymowę tylko i wyłącznie do problemów, jakie występują i z którymi boryka się w swoim działaniu ta branża przemysłu lekkiego. Zresztą czy tylko l e k k i e g o?

Zrobiono fotografię dnia pracy dyrektorów wymienionych trzech łódzkich zakładów przemysłu bawełnianego. A teraz pytanie: co pokazuje nam w ten sposób sporządzona „klisza" dnia pracy kierowników bardzo dużych organizmów przemysłowych?

Nie będziemy się tutaj wdawali w szczegółowe ustalenia, ograniczmy się do wskaźników procentowych, które powstały drogą skrupulatnej obserwacji trzech kolejno po sobie następujących „dyrektorskich" dni. Otóż:

- **na wizytację oddziałów produkcyjnych dyrektorzy badanych zakładów przeznaczyli 25 proc. swojego czasu, albo raczej „zajęć";**
- **spotkania dyrekcji pochłaniały 5 proc. nominalnego czasu;**
- **dalsze 8 proc. zabierała praca z działami zarządzania przedsiębiorstwa;**
- **spotkania z przedstawicielami czynników społecznych — 16 procent;**
- **przeglądanie i podpisywanie korespondencji — następne 8 proc.;**
- **sprawy ochrony zakładu — 2 procent;**
- **przyjmowanie od pracowników skarg i wniosków — 3 proc.;**
- **Konferencje i narady wewnętrzne — 9 proc.;**
- **Podobne konferencje i narady, tyle że poza przedsiębiorstwem — 23 procent.**

Tutaj, dla ścisłości i pełnego obrazu, trzeba jeszcze pewne rzeczy wyjaśnić. Otóż wprawdzie użyłem określenia „nominalny czas pracy", to w ani jednym przypadku dyrektorskie zajęcia nie schodziły poniżej 10 godzin na dzień, a w samych badaniach z konieczności machnięto ręką na krótkotrwałe telefoniczne interwencje czy nawet wizyty pracowników danego zakładu bądź osób spoza kręgu jego bezpośredniej załogi.

Tyle „raport" grupy roboczej w odniesieniu do problemu wykorzystania czasu pracy dyrektorów, choć chyba należałoby powiedzieć — kierownictw organizmów gospodarczych, przemysłowych. My natomiast chcielibyśmy jeszcze parę kwestii „dopowiedzieć", może poddać pod rozwagę, choćby w charakterze postawionego w tym miejscu znaku zapytania.

Otóż, chyba nadal istnieje problem przywiązania nadmiernej wagi rozmaitym i zwoływanym przez różne instytucje, rozbudowanym personalnie naradom i konferencjom, gdzie bardzo często nawet bardzo ważki problem omawia się, dyskutuje, ale nie zawsze dochodzi do konkretnych postanowień, a i odpowiedzialność zaczyna się rozmywać choćby z racji wieloosobowego a raczej „wieloczynnikowego" składu tychże narad. Natomiast znacznie gorzej jest z operatywną działalnością. Ileż to — niestety — słusznych decyzji utonęło w taki sposób. Może, gdyby udało się nam i tę barierę konferencyjną przeskoczyć, kierownicy jednostek gospodarczych mieliby więcej czasu na operacyjną, ekonomiczną działalność w swoich przedsiębiorstwach, a także na ów bezpośredni i tak potrzebny wręcz niezbędny kontakt ze swoimi załogami.

KRZYSZTOF POGORZELEC

FILM

„ZIEMIA OBIECANA" NA EKRANIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Andrzej Wajda zrealizował jednakże film, który nie poszedł ani tropem inspiracji zawartej w literackim oryginale, ani w historyczno-literackiej ocenie Juliana Krzyżanowskiego. Filmowa „Ziemia obiecana" straciła rysy reportażu i szerokiego epickiego wymiaru powieści Władysława Reymonta. Ten jednakże fakt pozostaje najwymowniejszym dowodem wspomnianej wyżej ciągłości kultury. Filmowa „Ziemia obiecana" wyrastając z pierwowzoru, musiała stać się inna nie tylko przez porównanie odrębności tworzywowej obu dzieł, o inności tej zdecydowała inna historyczna i estetyczna perspektywa spojrzenia filmowego twórcy zarówno na dzieje miasta jak i samą powieść Reymonta, którą mógł Wajda zobaczyć w szerszym kontekście doświadczeń, możliwości i dokonań sztuki XX wieku, której mógł nadać inny w swej stylistyce, filmowy kształt niżeli ten, który określił literacki pierwowzór.

Fot. Włodzimierz Parys

Pierwszym wiadomościom o tym, że Andrzej Wajda podjął się realizacji „Ziemi obiecanej" towarzyszyło zdziwienie. Temat i kształ powieści Reymonta zdawał się być daleki dotychczasowym zainteresowaniom tego reżysera. Później przyszła refleksja tłumacząca ten wybór, dziś możemy obejrzeć film refleksję tę potwierdzający. Wybory literackie oraz ich filmowe interpretacje i przekształcenia układają się w twórczości Wajdy w ciąg bardzo czytelny. Andrzej Wajda okazał się bowiem kontynuatorem polskiej tradycji literackiej, ściślej mówiąc, tradycji romantycznej. Był jednakże kontynuatorem dynamicznym, bo tak tylko odwołanie do tradycji widzieć można. Nadawał jej wymiar współczesny, gdyż służyła mu w dyskusjach historiozoficznych i w podejmowaniu dylematów jego epoki. Na filmach Andrzeja Wajdy tradycja romantyczna zaważyła najsilniej, widzieć ją jednak należy również poprzez jej ciągłość w sztuce polskiej czasów poromantycznych. W swych obrachunkach z historią narodową nosicielami idei czynił Wajda swych bohaterów, których rodowód jest romantyczny w tym sensie, w jakim postawy heroicznej wymagała od nich historia. I tak jak romantycy, ale i tak jak Żeromski i Wyspiański, a potem twórcy mu współcześni, poddawał swych bohaterów ocenie, przy ich pomocy zaś próbował zrozumieć przeszłość i współczesność. Subiektywny, niezwykle emocjonalny stosunek wobec bohaterów i podjętych spraw kierował Wajdą w stronę poszukiwań środków ekspresji niezwykle wyrazistych, bliskich poetyce romantycznej, ale także i modernistycznej. Próby interpretacji rzeczywistości historycznych, pełnych wewnętrznego tragizmu i antynomii, kreacja bohaterów, których życie było splotem niezwykłych i dramatycznie spotęgowanych zdarzeń, prowadziło Wajdę do konieczności odnajdywania ostrych, ekspresyjnych, symbolicznych i metaforycznych środków wyrazu, do żywiołowego bogactwa filmowych obrazów.

W sferze tych zagadnień i takich ich artystycznych konkretyzacji sytuuje się dziś „Ziemia obiecana", film, który wyrósł z pierwowzoru na pozór dalekiego poszukiwaniom i wypowiedziom dotychczasowym. „Ziemia obiecana" dopełnia niejako obraz dziejów narodu, historii narodowych spraw i postaw, będących tematem fascynującym tego reżysera nieomal w całej jego dotychczasowej twórczości. W szlacheckich i chłopskich, później inteligenckich losach tropił Andrzej Wajda prawdę o narodowej historii i narodowych sprawach. Ale w historii tej był nurt, który dotąd nie stał się przedmiotem penetracji, a ten właśnie nurt zmienił bieg narodowych dziejów. Dojście do „Ziemi obiecanej" nie jest więc przypadkiem. Filmowa interpretacja powieści Reymonta dokonana przez Andrzeja Wajdę zamyka się w trzech niejako sferach: w odnalezieniu i konkretyzacji wspomnianego nurtu, kreacji bohaterów i w wyborze określonej poetyki filmowego dzieła.

Wierność wobec pierwowzoru dotyczy w filmie Wajdy próby uchwycenia tego samego momentu dziejów Łodzi — ziemi obiecanej i ludzi do niej ciągnących, owych niezwykłych zjawisk życia zbiorowego i jednostkowego, które rodziły się w relacji z niezwykle gwałtownie rozwijającym się przemysłem. Jest to moment naporu żywiołu niemieckiego i żydowskiego tworzącego wielki, włókienniczy przemysł, błyskawicznego, wobec historii innych miast, powstawania Łodzi i zapewne dlatego tak uderzających kontrastów społecznych. Jest to moment rodzenia się klasy robotniczej w jej kształcie początkowym, pozbawionym jeszcze zbiorowej świadomości klasowej, jednak tak jak u Reymonta, tak i w filmie Wajdy ujawnione zostały pierwsze manifestacje poczucia krzywdy jednostkowej i zbiorowej, pierwsze próby jednostkowego i zbiorowego protestu przeciw bezprawiu kapitalistycznego żywiołu. Ten moment historyczny uchwycił Reymont w swej powieści. Jego obraz znalazł się też w filmie Wajdy, którego epilog jedynie stał się zapowiedzią tego, co Reymont, pisząc „Ziemię obiecaną" w 1899 roku, jeszcze nie przewidział. Jakkolwiek dyskusja z Wajdą, że epilog ów potraktowany jako wizja Karola Borowieckiego, powołany jest do ekranowego życia niejako wbrew logice motywacji subiektywnej, wydaje się bezcelowy. Tłumaczy go i wyjaśnia logika historii. Do takiego manewru przyzwyczaił nas już zresztą Wajda, adaptując „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego, w którym też zapowiadał zdarzenia, które dopiero nastąpią.

Sądzę, że ogromnym sukcesem zespołu realizatorskiego „Ziemi obiecanej" jest wydobycie tego, co w realiach i klimacie Łodzi końca XIX wieku stanowi o jej niepowtarzalnej specyfice. Dotyczy to obrazu miasta, określonego charakterem jego przemysłowej specjalności, obrazem egzystencji ludzi, którzy tę specyfikę tworzyli. Nie jest to obraz, wobec którego stosować można kategorię realizmu z jego epickim wymiarem. Wszystko w filmowej „Ziemi obiecanej" jest spotęgowane, przetworzone wyborem przede wszystkim poetyki ekspresjonistycznej, jako adekwatnej wobec tematu i epoki próby uchwycenia ich fenomenu i zamknięcia w obrazowe znaki — symbole. Dotyczy to postaci bohaterów, zdarzeń, których są sprawcami i uczestnikami oraz obrazu miasta, w którym to wszystko się dzieje.

Fot. Włodzimierz Parys

Wśród Reymontowskich bohaterów znalazł Wajda materiał doskonały do portretów postaci, które w jego filmie zachowując charakterystyczność stały się znakami-symbolami. Dotyczy to w głównej mierze owej niezwykłej galerii typów „Lodzermenschów", których intensywność istnienia została ostro przecięta równie gwałtownym istnieniem i rozwojem sił, które u schyłku XIX wieku stanowiły jeszcze w tym mieście ich wielką szansę. Większa indywidualizacja postaci dotyczy trójki głównych bohaterów, reprezentujących owe trzy żywioły, które w powstającej przemysłowej Łodzi spotkały się i dla których miasto to było ową wielką, nową szansą. Siła niezwykłego talentu Wojciecha Pszoniaka sprawiła, że postać Moryca zdominowała pozostałych partnerów, choć intencje reżysera szły w kierunku skoncentrowania uwagi na postaci Karola Borowieckiego, obdarowanego w filmie nieco innymi rysami aniżeli w powieści.

Utajona w utworze Reymonta swoista demoniczność obrazu miasta i dziejących się w nim rzeczy splotła się z pewnym sentymentalizmem, dotyczy to m. in. wątku Borowieckiego. Andrzej Wajda przejął „demoniczną" inspirację Reymonta, doprowadził zresztą do jej spotęgowania, lecz odrzucił wszelki sentymentalizm. Podejrzewam przy tym, że postać Karola Borowieckiego była dla Andrzeja Wajdy głównym łącznikiem między jego filmami poprzednimi a „Ziemią obiecaną". Borowiecki w świat „Lodzermenschów" wnosił swą polską, szlachecką proweniencję za nim stała tradycja, będąca przedmiotem dotychczasowych fascynacji reżysera. Toteż Wajda, ostrzej niż uczynił to Reymont rysuje swego bohatera, śledzi jego działanie i jego szansę w tym świecie nowym i obcym wobec tamtej tradycji. Dzieje Karola Borowieckiego są w filmowej „Ziemi obiecanej" mocniejszą niż w pierwowzorze analizą owej szansy, umiejętności przystosowania się i aktywności w odmiennych warunkach życia społecznego i ekonomicznego, które były zwykłą prawidłowością przeobrażeń społecznych europejskich, a które na ziemiach polskich w określonych okolicznościach politycznych i społecznych dokonywały się przy niezwykle silnym udziale żywiołów obcych. Usilne starania Karola Borowieckiego, idące w kierunku zerwania z tradycją szlachecką były brutalne i okrutne w warunkach, które określiła epoka i jej twór jakim była Łódź, ale były próbą udziału szlacheckiego syna w owym wyścigu ku nowemu.

To, n o w e było jednocześnie groźne, niszczące i demoralizujące. Andrzej Wajda dla wyrażenia tych cech szukał więc adekwatnej stylistyki. Mistrzów miał znakomitych. Epoka „Ziemi obiecanej" dla wypowiedzenia swych niepokojów stworzyła prądy i style znamienne. Naturalizm, symbolizm i ekspresjonizm stał się więc inspiracją dla twórcy, który obraz tamtej epoki pragnął odmalować środkami sobie dostępnymi. Tworzywo filmowe i właściwe sztuce kina środki wyrazu sprawiły, że „Ziemia obiecana" Andrzeja Wajdy jawi się jako dzieło, którego cechą jest nadmiar, właśnie nadmiar efektów naturalistycznych, symbolicznych i ekspresjonistycznych. Ten piekielny konglomerat stylów i im właściwych środków ekspresji, spotęgowanych obrazowym charakterem filmowego dzieła byłby nie do przyjęcia, gdyby nie temat i idea, której służy. Gdyby nie wielki paradoks owego tematu, gdyby nie to, że film Andrzeja Wajdy obrazuje moment, w którym to, co rodzi się — jest już zgangrenowane, w którym nowe — jest już dekadenckie. Dekadencja powstającej Łodzi końca XIX wieku musiała więc w filmie Wajdy uzyskać też swój kształt groteskowy, warunkował go świat „perkalikowych milionerów" i wszystkich kandydatów na nich.

„Ziemię obiecaną" Andrzeja Wajdy i jego znakomitego zespołu oceniam wysoko. Tym bardziej więc, muszę zgłosić swój żal o to, że Wajda nie uniknął w pewnych partiach swego filmu wtórności, że pogłosy sztuki wielkich filmowych mistrzów dekadencji odbijają się w jego filmie zbyt wyraziście. Mówię to dlatego, że Andrzeja Wajdę uważam, o czym była mowa wyżej, za dynamicznego kontynuatora kulturowych tradycji.

EWA NURCZYŃSKA

„ZIEMIA OBIECANA"

Dalszy ciąg ze str. 1

roku w osobnej edycji książkowej. Jest więc przede wszystkim okazja, aby tę najwcześniej zapomnianą powieść wydobyć z przepaści zapomnienia, gdzie zaginęła na lat przeszło osiemdziesiąt, a autorce **„Wśród kąkolu"** przywrócić należne jej prawo do miana pierwszego epika fabrycznej Łodzi i odkrywcy tego tematu w polskiej prozie, z którego długo i nieprawnie korzystał dotąd Kosiakiewicz.

Obie powieści zasługują na uwagę z tego przede wszystkim względu, że były pierwszymi szkicami portretowymi nowego, niezwykłego miasta — gwałtownie i żywiołowo rosnącej metropolii przemysłowej, typowego w istocie przykładu dziewiętnastowiecznego kapitalizmu, ale jedynego w swoim rodzaju fenomenu w ówczesnych warunkach polskich, długo otaczanego swoistą „zmową milczenia". Dla warszawskich pozytywistów był to problem drażliwy i trudny w interpretacji, głównie z uwagi na skomplikowaną strukturę narodowościową miasta, toteż chętnie go omijano. Dopiero w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku Łódź — dalej burzliwie rosnąca i coraz ostrzej ujawniająca drastyczne kontrasty społeczne, zyskała dla swych spraw szerszy rezonans w ogólnokrajowej prasie.

W ślad za zainteresowaniem publicystyki szła krytyka literacka, która w fenomenie tym zaczynała dostrzegać „smaczny dla powieściopisarzy kąsek" i coraz częściej wyrażać zdziwienie, że to:

Fot. Archiwum

„ze wszech miar, nieledwie po amerykańsku odrębne i oryginalne, a powstałe nagle, jak grzyb po deszczu, rojowisko ludzkie (...) nie zajęło sobą dotychczas beletrystów naszych, w tym stopniu jak na to zasługuje, ani też nie wydało rodzimego talentu".

Usprawiedliwiając zresztą natychmiast z tego ostatniego zarzutu tym, że:

„łatwo to daje się tłumaczyć młodziutkim wiekiem miasta i gorączkową mieszkańców jego w innych kierunkach działalnością, przejawiającą w sobie wszelką fizyczną i umysłową energię. Ale czemuż postronni — dodawano — nie kuszą się o pochwycenie obrazu tej galopady przemysłu, tak bardzo jeszcze charakterystycznej i swojej własnej, a która przecie jak szybko powstała, tak i rychło grozi zmodernizowania się w szablon przeciętny".

Domagano się więc dla miasta epika, który utrwaliłby odchodzące już w przeszłość i obrastające legendą lata jego pionierskich zmagań. Znacznie jednak bardziej niż owa przeszłość interesowała i niepokoiła współczesnych jego teraźniejszość, również podlegająca procesowi mityzacji.

Wcześniej jednakże niż warszawska krytyka dostrzegł odrębność i znaczenie łódzkich problemów, godnych podjęcia przez literaturę, Henryk Elzenberg, osiadły w Łodzi warszawski adwokat, były aktywny uczestnik pozytywistycznego ruchu młodej prasy i gorący miłośnik literatury, od lat zaprzyjaźniony z Elizą Orzeszkową, który założył tu i jako redaktor prowadził pierwsze polskie pismo codzienne — **„Dziennik Łódzki"**. On to najgoręcej namawiał swoją znakomitą przyjaciółkę do podjęcia łódzkiej tematyki, próbując zainteresować ją początkowo tematyką miejscowych Żydów, a później także — co jest pierwszą tego rodzaju inicjatywą — problemami życia fabrycznych robotników, przesyłając jej w listach konspekty tematów do „pysznych nowelek". Zajęta społeczną działalnością i problemami własnego pisarstwa Orzeszkowa, znająca Łódź tylko z obszernych relacji Elzenberga, nie podjęła w swojej twórczości łódzkiej tematyki, choć nie odmówiła redaktorowi współpracy z jego pismem.

Tematykę tę podjąć miała inna zaprzyjaźniona z Elzenbergiem pisarka, znana nam już Waleria Marrené, ceniona wówczas autorka kilkudziesięciu nowel i powieści, oraz setek artykułów i szkiców o literaturze i sztuce. W tym właśnie charakterze od wielu już lat współpracowała z „Dziennikiem Łódzkim", zamieszczając na jego łamach „Kroniki warszawskie" (Listy z Warszawy), stanowiące przegląd aktualnych wydarzeń życia literackiego i artystycznego stolicy.

Rola inspiratorska Elzenberga w powstaniu pierwszej powieści o Łodzi wydaje się więc bezsporna, choć **„Wśród kąkolu"** miało okazać się utworem niezupełnie zgodnym z postawą i przekonaniami redaktora „Dziennika", uzależnionego od dotacji niemieckich przemysłowców, co skłaniało go do **„życia w zgodzie z możnymi tego świata"** (słowa Elzenberga z listu do Orzeszkowej), a których Marrené najostrzej zaatakowała w swojej powieści.

Do napisania książki o Łodzi pisarka przygotowała się starannie, odwiedzając kilkakrotnie fabryczne miasto, o czym każdorazowo komunikował już od 1887 roku „Dziennik Łódzki" (który zarzuci jej później powierzchowność obserwacji), zawiadamiając m.in., że miała okazję **„zwiedzić większe zakłady fabryczne dość szczegółowo, dzięki uprzejmości właścicieli"**, co w tym czasie było rzadkim ewenementem, ponieważ **„matecznik puszczy fabrycznej** — jak stwierdzali współcześni publicyści — **wnętrze swoje skrupulatnie zamykał przed okiem obserwatora, dając jedynie możność domyślać się i przeczuwać"** („Łódź — miasto i ludzie").

Śledziła ponadto z uwagą to wszystko co na temat przemysłowego miasta miała do powiedzenia warszawska prasa postępowa (przede wszystkim „Głos" i „Prawda"), która coraz częściej i odważniej zaczynała pisać o rodzących się na jego gruncie konfliktach społecznych i wymagających uregulowania stosunkach między fabrykantami a robotnikami, rosnącym wyzysku i upośledzeniu proletariatu. Stołeczni publicyści skłonni jednak byli patrzeć na te problemy głównie poprzez pryzmat „niemieckiego problemu", poświęcając najwięcej uwagi sprawie postępującej germanizacji Łodzi i stosunkom polsko-niemieckim w fabrycznym mieście. Nie należały więc do rzadkości ataki na bierną postawę polskiej części społeczeństwa łódzkiego, w tym także „Dziennika Łódzkiego", często oskarżanego o **„łudzenie się mrzonkami o asymilacji zamożnej ludności niemieckiej"**.

Stanowisko warszawskiej publicystyki wobec łódzkich problemów stać się miało dla Marrené głównym kluczem interpretacyjnym spraw przedstawionych w jej powieści, której naczelnym problemem uczyniła sprawę zgermanizowania przemysłowego miasta przez niemieckich fabrykantów, poświęcając jej najwięcej uwagi i krytycznego komentarza. Z walki o spolszczenie Łodzi uczyniła naczelną ideę **„Wśród kąkolu"**, obarczając nią głównego bohatera swojej powieści — doktora Jana Krzesławskiego, którego kreowała wedle najidealniejszego wzorca pozytywnego bohatera, jaki wypracowała pozytywistyczna beletrystyka i publicystyka rojąca się od „wziętych z życia" przykładów bezwzględnego, ponadosobistego poświęcenia nadrzędnej idei.

Jan Krzesławski, trzydziestoletni lekarz — jedna z bliższych antycypacji w pozytywistycznej prozie najsławniejszego lekarza-społecznika polskiej literatury, doktora Judyma Stefana Żeromskiego — jest naczelną postacią **„Wśród kąkolu"**, którą autorka wyposażyła we wszelkie wzniosłe i nieskazitelne cechy charakteru, idee społecznika i patrioty. Jest więc on nie tylko świetnym i pełnym poświęcenia lekarzem, ale także szlachetnym, odważnym i energicznym człowiekiem, żarliwym i konsekwentnym obrońcą spraw polskich w zniemczonym mieście. Na jego barki włożyła Marrené cały ciężar głównych tez i idei swojej powieści, jego też sprawy uczyniła główną osią konstrukcyjną utworu. Z jego zatem przyczyny i często jego oczyma oglądamy ówczesną Łódź, poznajemy tuteiszą atmosferę i stosunki, poszczególne środowiska i grupy społeczne, gdzie jawi się nieodmiennie zawsze jako niezłomny obrońca sprawiedliwości i polskości. On też przede wszystkim uzasadnia tytuł powieści, którego wykładnią jest sens popularnego powiedzenia, że nawet wśród chwastów kąkolu znaleźć można pełne kłosy zboża. Ciężar więc, jakim obarczyła swojego bohatera autorka, był dostatecznie duży, aby Jan Krzesławski mógł wydać się czymś innym niż tylko konstrukcją czysto literacką, nierealną i wyabstrahowaną z życia kreacją idealnego bohatera pozytywnego, w tym też zasadniczo różniącą się od doktora Judyma.

Abstrakcyjności tej nabiera „łódzki Judym" zwłaszcza w zestawieniu z tłem swoich działań — pulsującą dramatycznymi konfliktami rzeczywistością fabrycznego miasta, którą przedstawiła w drobiazgowych opisach sytuacji i obrazów. Stąd też sporządzony przez nią inwentarz opisowo-rejestracyjny Łodzi lat osiemdziesiątych jest stosunkowo bogaty. Zaprezentowała w nim zróżnicowane społecznie i narodowo łódzkie społeczeństwo, pokazując je w swoiście „reprezentacyjnych grupach" postaci połączonych wspólną sytuacją społeczną, rzadziej wspólnymi dążeniami.

Tak jest tylko w przypadku łódzkich Niemców, których solidarność narodową podkreśliła dobitnie, przeciwstawiając jej dezintegrację i słabość polskiej społeczności. Do tych dwóch żywiołów: polskiego i niemieckiego, ograniczyła w zasadzie swoją prezentację łódzkiego społeczeństwa, pokazując oba w pewnym zróżnicowaniu społecznym. Tak więc obok niemieckich fabrykantów pojawia się w jej powieści także ich nadzorczy personel fabryczny, a obok polskiej inteligencji również robotnicy oraz pracujące w fabrykach kobiety i dzieci, migawkowo też ludzie społecznego marginesu. Najszerzej rozbudowała Marrené epizody niemieckie, pokazując łódzkich fabrykantów także w ich życiu rodzinnym i towarzyskim, w zasobnych domach i snobistycznie urządzonych pałacach.

W szerszym kontekście, aczkolwiek już nie tak rozbudowanym, przedstawiła także również polską rodzinę inteligencką i robotniczą. Wprowadziła po raz pierwszy do wnętrza nowoczesnej fabryki włókienniczej i „domów familijnych" łódzkich robotników, oraz na wiele lat przed Reymontem do salonów niemieckiej burżuazji, której nie szczędziła cech karykaturalnych, pokazując jej dorobkiewiczowskie snobizmy, a także do miejscowych restauracji i szynków.

Na tym tle spróbowała Marrené przedstawić nurtujące przemysłową metropolię konflikty, udzielając najwięcej uwagi sprawom zgermanizowania miasta, ale znalazła również miejsce i powód (za sprawą Krzesławskiego, który leczył bezinteresownie robotników fabrycznych), aby pokazać nędzę i wyzysk proletariatu, przede wszystkim jednak sytuację pracujących w fabrykach dzieci, co przedstawiła ze współczuciem postępowej pozytywistki.

Ma więc do dziś **„Wśród kąkolu"** spore walory poznawcze, mimo oczywistych uproszczeń i schematyzmu zastosowanego w niej, a przestarzałego już w czasie powstawania utworu, modelu pozytywistycznej powieści z tezą. Toteż ilustruje ona bardziej niż wyjaśnia przyczyny nurtujących wówczas miasto konfliktów.

HELENA KARWACKA

PRZEDREYMONTOWSKIE POWIEŚCI O ŁODZI

II

Jak przyjęli łodzianie tę pierwszą o ich mieście powieść? Niestety, niewiele o tym wiemy, nie było bowiem zwyczaju recenzowania utworów publikowanych w odcinkach, czekało się zwykle na wydanie książkowe, a tego łódzka powieść Marrené nie doczekała się nigdy. Z okruchów zawartych w felietonach tygodniowych „Dziennika Łódzkiego" uwag sądzić jednak można, że niechętnie i krytycznie.

Polska inteligencja w Łodzi poczuła się dotknięta już samym tytułem powieści, nazywając go wielce dla łodzian uprzejmym. Pisarce zarzucono powierzchowność obserwacji i nieznajomość „łódzkich stosunków", widząc jej jedną i „niezaprzeczalną" zasługę tylko w tym:

„że pierwsza próbuje zaczerpnąć z nowego źródła, nietkniętego przez nikogo dotąd, a niezmiernie obfitego — materiału do powieści społecznej. Niechby inni — pisano — poszli w jej ślady, ale nie według jej tworzyli recepty, która brzmi jak następuje: bierze się pierwszą lepszą fabułę powieściową, teatrem której może być tak dobrze Łódź, jak Kalisz, Lublin, Częstochowa lub jaki inny ludniejszy nieco przemysłowy punkt kraju, rozwija się

Łódzka inteligencja nie była więc zachwycona tym pierwszym portretem literackim swojego miasta — dalej czekano na swojego Zolę.

Nie został nim następny portrecista przemysłowej metropolii — Wincenty Kosiakiewicz, który cztery lata po opublikowaniu **„Wśród kąkolu"** podjął się napisania nowej łódzkiej powieści. Zamówiła ją u młodego wówczas pisarza redakcja **„Gazety Polskiej"**, która po zamknięciu „Dziennika Łódzkiego" bardzo liczyła na pozyskanie miejscowych czytelników, temat ten zresztą — jak wspomniano — interesował już szerszy krąg czytelniczy.

O wyborze Kosiakiewicza na jej autora, oprócz łączącej go stałej współpracy z „Gazetą Polską" na łamach której zadebiutował błyskotliwie budzącymi zainteresowanie nowelkami, zadecydował zapewne fakt, że znał już Łódź ze swoich reporterskich wypraw, a przed laty przedstawił się na tutejszej scenie jako autor żartobliwej jednoaktówki, Biboszowski. Jego dorobek pisarski przed napisaniem **„Bawełny"**, jak na młody wiek autora, był zdumiewająco obfity i liczył kilkadziesiąt opowiadań i nowel oraz kilka powieści. Ta pospieszna produkcja literacka została kontrowersyjnie oceniona przez współczesnych, jedni byli w nim skłonni widzieć dalej ciekawie zapowiadający się talent, inni raczej już zmarnowany. Nawyk zbyt szybkiego i łatwego pisania miał się odbić także na błyskawicznie niemal napisanej **„Bawełnie"**, nie poprzedzonej zresztą głębszymi studiami powierzchownie dotąd tylko poznanego miasta. Napisał ją, jak się zdaje, w krótkiej przerwie między jego częstymi wówczas pobytami za granicą i od początku 1894 roku zaczął publikować w odcinkach „Gazety Polskiej", pod koniec tego roku ukazała się już w wydaniu książkowym na półkach księgarskich.

Fot. Archiwum

III

Bohaterem swojej powieści „z życia łódzkiego", (takim podtytułem opatrzone były odcinki publikowane w „Gazecie", z którego w wydaniu książkowym zrezygnował) uczynił Kosiakiewicz, jak Marrené, typową postać literatury tych lat — „wysadzonego z siodła" szlachcica, który zdobywszy fachowe wykształcenie utrzymuje się już z pracy rąk własnych. Tak więc Julian Rumiński, wokół którego ogniskuje się cała, wątła zresztą, akcja powieści, jest z wykształcenia chemikiem, jak później bohater **„Ziemi obiecanej"** Władysława Reymonta — Karol Borowiecki, i na tym potrzebnym w przemysłowym mieście zawodzie opiera całą swoją „łódzką karierę".

Rumiński różnił się dość istotnie od swego powieściowego poprzednika na łódzkim gruncie, Jana Krzesławskiego, którego do Łodzi przywiodła określona misja społeczna, on zaś chciał tu tylko — po roztrwonieniu resztek rodzinnej schedy — znaleźć podstawy utrzymania. Toteż z biegiem lat zamienia się w zwyczajnego groszoroba, nie ogarniętego nawet, jak Borowiecki, pasją zdobycia majątku, który w nagrodę za jego uczciwość sam niejako wchodzi mu w ręce. W tym zawarł Kosiakiewicz główną tezę swojej powieści. Sformułował ją trafnie recenzent **„Ateneum"**:

„Tendencja powieści jest arcymoralna, cnota bezwzględna otrzymuje tu sowitą nagrodę w postaci pięknej dziewczyny i grubych pieniędzy, występek zaś ponosi surową karę: traci mniej więcej tyleż".

Uosobieniem owego występku był w „Bawełnie" wspólnik Rumińskiego, z którym zawiązuje spółkę, Antoni Stein — przykład pozbawionego wszelkich moralnych skrupułów lodzermenscha, byłego kantorowicza, który drogą ciemnych interesów dorobił się „kapitaliku". Dzieje owej spółki, jej wzrost i upadek, stanowią oś konstrukcyjną utworu, którego nieprawdopodobne zakończenie — zrujnowanemu Rumińskiemu podaje pomocną dłoń największy łódzki magnat Krotman (pod tym nazwiskiem wprowadził autor do „Bawełny" łódzkiego fabrykanta Grohmana) — budziło już wątpliwości współczesnych. Nie bez powodu więc zarzucano mu „skłonność do łatwizny", ogólników i spłyceń.

Także to, co stanowiło dotąd mocną stronę pisarstwa Kosiakiewicza i zyskało mu miano „zolowskiego pisarza", a mianowicie umiejętność przeprowadzania środowiskowej analizy, wierność drobiazgowym nieraz realiom, nie znalazło potwierdzenia w „Bawełnie". Pisana w wyraźnym pośpiechu powieść dotykała zaledwie skomplikowanego układu łódzkich „stosunków przemysłowych i handlowych", powierzchownie i płytko odnotowywała pewne przemiany obyczajowe zachodzące w obrębie wielkiej aglomeracji przemysłowej. Toteż przedstawiony przez pisarza „obraz świata przemysłowego" był powierzchowny i schematyczny, nadto ubogi w realia, pojawiające się skąpo w ilustracyjnych opisach. W stosunku do **„Wśród kąkolu"**, powieści prezentującej znacznie szerszy krąg obserwacji, był to w pisarskiej sztuce portretowania nowego miasta wyraźny regres.

Rozczarowanie powieścią było powszechne.

„Historia wzrostu Łodzi — pisał jeden z recenzentów — **wewnętrzne jej stosunki towarzyskie i handlowo-przemysłowe (o robotnikach ani wzmianki!) znane są naszemu czytelnikowi inteligentnemu w zakresie znacznie szerszym niż ten, jakim je tło powieści p. Kosiakiewicza przedstawia, może się jednak znajdą jeszcze tacy, których zaciekawią niektóre sceny z życia drobnych macherów łódzkich".** Wzbudził także wątpliwości krytyków „ów Krotman — to uosobienie prawości, szczerości, szlachetności i wspaniałomyślności, a nawet przyjaźni dla Polaków. Ponieważ jednak, jak widać, do duszy »księcia« łatwo było zajrzeć niż do stolicy przemysłu, to o kolosalnych zakładach przemysłowych, o maszynerii całej jego fabrykacji, o wszystkich instytucjach dla robotników przy zakładach — nie dowiadujemy się nic a nic w powieści".

Krytycznie ocenił „Bawełnę" także Władysław Reymont, który — podobnie jak i zainteresowane Łodzią środowisko warszawskie — nie uznał, aby jej napisanie w czymkolwiek przeszkodziło ponownemu podjęciu tego fascynującego tematu. **„Bawełna"** stała się dla niego nawet pewną miarą równania w dół w tym zakresie, podejmując bowiem w 1896 roku pracę nad **„Ziemią obiecaną"**, **„z entuzjazmem prawie i wielką sumiennością"**, komunikował w liście Janowi Lorentowiczowi, że trud ten „**nie starczy na usprawiedliwienie, jeśli stworzę coś w rodzaju »Bawełny«**". W nim też Łódź znaleźć miała swojego wielkiego epika.

AVE MARYJA

Dzwon katedralny wzywa na Ave.
Z ciasnych zaułków z lewa i z prawa
Cisną się mniszki w ciasnych habitach,
Ciągną żałosnym cieniem okryte.
Stara i młoda twarz mnie omija —
Ave, Maryja...

Może bym odszedł stąd jak najszybciej,
Gdybym nie ujrzał pośród tych mniszek
Jednej, co miała chyba nie więcej,
Niż siedemnaście wiosen dziewczęcych;
Twarz czarnookiej smutek spowija —
Ave, Maryja...

Pod jej surową żałobną szatą
Kibić wysmukłą odgadnąć łatwo,
Nóżki, co mogłyby w karnawale
Olśnić i podbić niejedną salę.
Pierś jej wysoka i śnieżna szyja —
Ave, Maryja...

Patrzy nabożnie na krzyż ofiarny,
A ja się modlę do brwi jej czarnych:
Czyż nie żal tobie — szepczę te słowa —
Życia, urody takiej marnować?
Tańcem byś mogła serca podbijać —
Ave, Maryja...

Pewnie truciznę wypić ci dali,
Ręce różańcem ciasno spętali.
Zerwij te więzy, nie bój się, śmiało!
Pola w krąg szumią, zboże dojrzało.
Mogłabyś sierpem pył z kłosów wzbijać —
Ave, Maryja...

Rychło by miłość przyszła do ciebie,
Świt byś witała z lubym na niebie,
A potem wkrótce, tak jak u wszystkich,
Dziecię kwilące w cieple kołyski
Smukłe twe ręce jęły przewijać —
Ave, Maryja...

Być może, szepcząc swoją modlitwę
Mógłbym zwyciężyć, wygrać tę bitwę.
Lecz ją wezwano: z ciężkim westchnieniem
Mniszka odeszła pod to sklepienie,
Gdzie w mrocznej celi życie jej mija —
Ave Maryja!...

Przełożył:
Igor Sikirycki

1957

Woń taką wydziela żywica,
Że od niej aż w głowie się kręci,
Zielony żar trawy nasyca,
Kukułki się drą bez pamięci.

Gdy idziesz, spuszczone masz oczy —
I właśnie tak jest najlepiej,
Bo jeśli w nie spojrzę, to zauroczysz,
A światło ich mnie oślepi.

Jak więc w wieczornej siności
Błąkać się nam po tym borze,
Gdy każde drzewo — Drzewem Wiadomości
Dobra i Zła stać się może?!

Przełożył:
Jan Huszcza

1966

Od sękatych żerdzi płotu,
Z których koguty
Zmartwychwstanie obwieszczają,
Od smug dymu,
Co niedoścignionymi snami
Snuje się nad chatą ojcowską,

Do stadka brzóz,
Otulonych cygańskimi chustami
Listopada,
Brzóz, które zawsze pokazują drogę:

Do dalekiego ogniska,
Przy którym się grzeją pieśni i myśli,

Do twoich rąk,
Co z mojej twarzy
Ocierają zmęczenie i pot

Ciągną się linie
Moich horyzontów.

Przełożył:
Maciej Józef Kononowicz

24.III.1970

OWIDIUSZOWI

A poeta, wygnaniec, z głodu i ze smutku,
W dobrach Radziwiłłowskich umarł
w Dawidgródku...
Syrokomla — „Owidiusz na Polesiu"

Wraz z wiatrami, chmurami,
Ptakami,
Wiele nawłóczyłem się po świecie.
Zajechałem i do Twojej ojczyzny.
Tam wśród gruzów Kapitolu
I Forum Romanum,
Na zwaliskach Wiecznego Miasta
Znajdowałem odłamki
Twoich dźwięcznych heksametrów.
Tylko że gdzie Twój grób —
Tego nie wiedzą
Ani fale krętego Dunaju,
Które odbijały cień wygnańca,
Ani krzywe zaułki Konstancji,
Gdzie karmiłeś gołębie,
Ani nawet potomkowie Sarmatów,
Którym kilka pieśni poświęciłeś
Złożonych w ich mowie i za to
Obdarzyli Cię
Niedźwiedzią skórą,
Także łukiem
I dziewczyną–branką.
Przecież to właśnie ona
Namówiła Cię, abyś się przeniósł
Na północ do naszego kraju,
Kędy Prypeć nie zna swoich brzegów,
A puszcze obwołują się
Centurią turzych rogów.
Pałająca to ziemia od rozkwitłych tęcz
I rozkwitłych na niebie gwiazd.
Nie trap się,
Żeś zawędrował do ziemi Światowida.
Wprawdzie daleko stąd od ojczyzny Twojej
Lecz i daleko do drużby nieszczerej,
Do blagi, donosów
I imperatorskiej łaski,
Która na pstrym koniu jeździ,
Tu razem z Tobą
Była ostatnia pieśń
I cisza.
Za którą zaczyna się
Wieczność.

Przełożył:
Tadeusz Chróścielewski

29.VI.1970

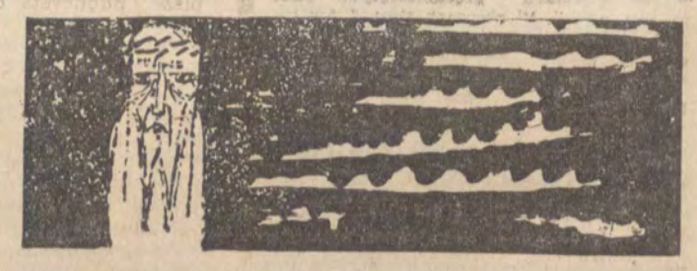

PAMIĘTNIK LIRYCZNY MAKSYMA TANKA

Wybór wierszy Maksima Tanka, dokonany przez Igora Sikiryckiego, wskazuje wyraźnie, że nadrzędnym celem autora wyboru i tłumaczy stała się gorąca troska o zachowanie znaczenia i poetyckich treści tłumaczonych utworów, mimo że zawsze uwarunkowane są regułami i prawami, którymi rządzi się język przyswajający sobie obcy mu utwór. Układ chronologiczny zamieszczonych wierszy, jak i całe opracowanie tomu wraz z przedmową I. Sikiryckiego tworzy niezwykły pamiętnik liryczny tego znakomitego białoruskiego autora. Daje możność prześledzenia ewolucji radzieckiego poety, drogę jego rozwoju. Dlatego autor wyboru mało komentuje twórczość Tanka, uważając, że najważniejsza jest sama poezja, gdyż prawdę o poecie poznać można tylko poprzez jego wiersze.

Spotkanie z poezją Maksima Tanka przejmuje tłumacza taką samą rozterką i niepokojem, jak własny zamysł twórczy, który jeszcze nie oblekł się w słowa. Maksim Tank stworzył w języku białoruskim poezję, jakiej nie stworzył nikt poza nim. Bogactwo treści obrazu poetyckiego Tank osiąga nie tylko poprzez odejście od tradycyjnych, starych sposobów wersyfikacji. Jego poezja jest emocjonalna i obrazowa, a przecież mimo to precyzyjnie lakoniczna. Maksim Tank lubi przetwarzać ludowe idiomaty-aforyzmy, które wykrystalizowały się w tyglu narodowej historii, języka i kultury. Ciąg skojarzeń wyobrażeniowych poety jest organicznie zrośnięty z głębokim podtekstem utworów, wyrastających z ludowych białoruskich tradycji kształtujących to, co nazywamy duszą narodu. Ojczysta Białoruś wkracza swobodnie i samoistnie do wierszy Maksima Tanka. W tych wierszach obecne jest marzenie i rzeczywistość, sen i jawa, to, co jest i to, co powinno nadejść i spełnić się. Czytelnik polski znajdzie w jego wierszach oryginalne widzenie świata odbiegającego od tego, co dotychczas prezentowane było z poezji białoruskiej.

Prawdziwie nowatorska poezja zawsze przyciąga obcojęzycznego odbiorcę, gdyż rozwija jego wyobraźnię i wszechstronnie wzbogaca go. Tym należy wyjaśnić zainteresowanie polskich tłumaczy wierszami Maksima Tanka. Tłumacze i wydawca prezentują nie tylko osobiste sympatie dla talentu poety, lecz i głęboką wiedzę o tradycjach literacko-historycznych tej poezji, o narodowej psychice poety, o cechach jego poetyckiego świata i języka.

Współpraca literacka i kontakty pisarzy w naszych czasach rozwijają się bardzo intensywnie, nie można więc pozostawić sztuki przekładu poza nawiasem badań krytycznych. Przekład jest samodzielną dziedziną literatury, a tymczasem w periodykach literackich znajdujemy wiele rozpraw o obcych literaturach i bardzo mało lub nic o sztuce przekładu, mniej lub więcej zdawkowe ogólniki w recenzjach książek obcych autorów niczego tu nie załatwiają. Prawdziwych artystów — interpretatorów obcej poezji nigdzie nie ma zbyt wielu. Nie dostrzega się ich za nazwiskiem autora. Lecz to ich nazywają „krwiodawcami", gdyż oddają obcej poezji nie tylko swój czas i wysiłek. Tłumaczowi potrzebny jest wszechstronny talent poetycki, zdolność przetworzenia całej materii obrazowo-językowej oryginału i umiejętne odejście od jego struktury, aby z kolei nie powstało inne dzieło, które trudno byłoby nazwać przekładem.

Nie ulotniły się jednak z polskiego Maksima Tanka charakterystyczne dla białoruskiego poety odrębności metaforyczno-asocjatywnego myślenia. Problem przekazania narodowego i ludowego żywiołu językowego w tłumaczeniach z jego poezji nie jest jednak potraktowany z uproszczeniem. Nie ma pośpiesznych, nieprzemyślanych rzeczy w przekładach z Maksima Tanka. Tłumaczom najczęściej udaje się uwypuklić to, co w oryginale należy do osiągnięć autora i jest istotne dla jego stylu, chociaż rzadko kiedy tłumaczony obraz, słowo, rytm znajduje adekwatną postać w innym języku. W każdym utworze poetyckim Maksima Tanka powiedziane jest o wiele więcej, niż znaczą słowa i wyrazy, z których się dany utwór składa. Dla tłumacza ważne jest zarówno jedno jak i drugie, właśnie dlatego, że w jednym języku dane słowo wywołuje zupełnie inne asocjacje niż w drugim. Każdy język posiada własną hierarchię słów. Język polski kryje w sobie niewyczerpane bogactwa możliwości przekładowych, gdyż jest wrażliwy na wszelkie nowe zjawiska w poezji. Jednak są trudności nie do pokonania. Jeśli fleksje w języku polskim są krótsze niż w białoruskim, a zatem krótsze są wyrazy, nie znaczy to jeszcze, że tłumaczom daje to szansę bardziej zwartego, dynamicznego brzmienia białoruskiego wiersza po polsku. Wiele wyrazów daje się przetłumaczyć tylko opisowo. Tłumaczom Maksima Tanka też nie wszędzie udało się przetransformować je na równoznaczne zwroty — jeśli chodzi o treści emocjonalne i znaczeniowe nie wywołują one u odbiorcy takich samych skojarzeń, jak oryginalny wiersz Maksima Tanka. Łączenie potocznej frazeologii z wierszem odbywa się u Tanka nie kosztem banalizacji myśli poetyckiej, zwężenia widzenia poetyckiego. Maksim Tank asymiluje wyrażenia pospolite, lecz nie zniża się do pospolitego myślenia. Zadziwiające swą spontanicznością wiersze poety nie są próbą jakiegoś maskowania się pod ludowość lub pod nowatorstwo, lecz świadomym wzbogaceniem własnego poetyckiego widzenia, przetwarzaniem go pod wpływem historii i czasu. Jest to w białoruskiej poezji zjawisko dalekie od ludowości Janki Kupały.

Każdy z tłumaczy sięga po te wiersze Tanka, które bliskie mu są z ducha i stylu, które odpowiadają jego własnej koncepcji przekładu. Igor Sikirycki posiada zadziwiającą umiejętność przetworzenia rytmiczno-muzycznego żywiołu oryginału. W naturze jego przekładu, w równej mierze co i w naturze twórczości oryginalnej tego poety, zawarta jest specyficzna właściwość odpowiadania uczuciem, myślą, muzyką — poezją na poezję. Muzyka, uczucia, myśli, które wywołuje u niego oryginał, Sikirycki wkłada w swój przekład, przetwarza w przekładzie cudze współbrzmienia i skojarzenia w język własnej kultury poetyckiej. Znana tankowska „Ave Maryja" znalazła w przekładzie Igora Sikiryckiego niemal muzykalną doskonałość oryginału. Cały sekret polega na tym, że Sikirycki słyszy muzykę wiersza i ona to pomaga mu pokonać opór cudzego języka, pomaga mu odtworzyć aż do najdrobniejszych szczegółów, wyrażających się w rytmicznych i psychologicznych niuansach, ledwie zauważalne odcienie słowa wyznaczone treścią obcojęzycznej poezji.

Tadeuszowi Chróścielewskiemu, Maciejowi J. Kononowiczowi, Janowi Huszczy, Jerzemu Pleśniarowiczowi także zawsze udaje się zachować coś swoistego, specyficznego z narodowej odrębności Maksima Tanka, a mimo to ich przekłady brzmią po polsku swobodnie i naturalnie.

WASYL KOCZNOW

Maksim Tank „Wiersze wybrane". Wybrał i wstępem opatrzył Igor Sikirycki. Wydawnictwo Łódzkie. Łódź 1974, cena 30 zł.

U PRZYJACIÓŁ

Adaptacja dzieł literackich ma w filmie radzieckim długoletnią tradycję. Do listy ekranizowanych książek doszła ostatnio głośna powieść dokumentalna Aleksandra Czakowskiego „Blokada". Film opowiadający o 900 dniach oblężenia Leningradu reżyserował Michaił Jerszow. W jednej z głównych ról wystąpi popularny również u nas aktor Jurij Sołomin.

Z kolei na Białorusi reżyser Borys Stiepanow realizuje film wg powieści Wasyla Bykowa „Wilcza sfora". Przypomnijmy, że w poprzednich latach nakręcono już dwa filmy wg powieści Bykowa „Trzecia rakieta" i „Alpejska ballada".

• • •

W miesięczniku „Żurnalist" W. Pieriewiedieńcew podaje interesujące dane statystyczne na temat kadry pracowników naukowych w ZSRR. Przytoczone liczby nie wymagają specjalnego komentarza. W roku 1940 było w ZSRR ok. 96 tys. pracowników nauki, w 1950 — 162 tys., w 1960 — 354 tys., a w roku 1974 ponad milion sto tysięcy. W tym samym czasie nakłady na naukę wzrosły z 300 mln rubli (0,8 proc. dochodu narodowego) do ponad 15 mld (4 proc.). W 1975 r. armia radziecka posiadała pracowników nauki z najwyższymi kwalifikacjami tj. doktorów nauk — ok. 30 tys. osób, kandydatów nauk — ponad 288 tys., tytuły członków Akademii Nauk posiadały 275 osoby, a członków — korespondentów 459. Kobiety stanowią wśród personelu naukowego 40 proc. Największa liczba pracowników naukowych skupiona jest w dziedzinie nauk technicznych (485 tys.) matematyczno-fizycznych (106 tys.) ekonomicznych (70 tys.) i medycznych (50 tys.).

• • •

W związku z przygotowaniami do jubileuszu Szołochowa pisma radzieckie informują szeroko o recepcji jego dzieł w kraju rad i na świecie. Od 1969 r. tj. od czasu ukazania się pierwszego tomu opowiadań, utwory Szołochowa ukazały się w łącznym nakładzie ponad 53 mln egzemplarzy. Wejście pisarza na rynek światowy rozpoczęło się w r. 1929 od publikacji przez komunistyczne wydawnictwo „Literatur und Politik" w Berlinie — „Cichego Donu". W początkach lat trzydziestych dzieła Szołochowa wydawano w Sztokholmie, Madrycie, Pradze, Amsterdamie, Tokio, Szanghaju, Londynie, Nowym Jorku, Warszawie. Od roku 1933 rozgłos na całym świecie zdobywa „Zaorany ugor" podobnie jak w latach pięćdziesiątych „Los człowieka". W zbiorach Bibl. Literatury Obcej w Moskwie zgromadzono egzemplarze książek Szołochowa wydane w 47 krajach, w 45 językach. Nie jest zbiór pełny, bo część edycji zagranicznych zaginęła w czasie wojny.

• • •

W Hawanie od 16 lat istnieje „Casa de Las Americas" — Dom Ameryki — placówka mająca duże zasługi w dziedzinie zbliżenia kulturalnego narodów Ameryki Łacińskiej. Instytucja ta zajmuje się głównie działalnością wydawniczą, wydaje książki, biuletyny czasopisma z zakresu literatury, teatru, muzyki i sztuk pięknych. Nie jest jednak tylko wydawnictwem, gdyż prowadzi wymianę kulturalną z zagranicą, organizuje konkursy literackie. Działa tutaj biblioteka licząca ponad 67 tys. tomów oraz wydawnictwo płytowe specjalizujące się w muzyce latynoamerykańskiej.

• • •

Leningradzki Ermitaż jest jednym z największych muzeów na świecie. W ub. r. gości przeszło 4 miliony zwiedzających, wśród nich wielu turystów zagranicznych. Międzynarodowe kontakty Ermitażu rozwijają się z każdym rokiem poprzez wymianę eksponatów z innymi placówkami muzealnymi. Dla przykładu: wystawę „Skarby Tutenchamona" w ub. roku zwiedziło przeszło 850 tys. osób. Obecnie zwiedzający mogą zapoznać się z zabytkami starożytnej Tracji, udostępnione przez muzea bułgarskie, obrazami mistrzów angielskich z XVIII—XIX wieku oraz płótnami niemieckich realistów. Dzięki wymianie zbiory Ermitażu z kolei oglądano w Finlandii NRD, Szwajcarii, W. Brytanii, Francji.

W roku bieżącym planuje się dalsze rozszerzenie wymiany. Ermitaż oczekuje około stu płócien największych mistrzów malarstwa z różnych epok, jak Veronese, Tycjan, El Greco, Coubert, Rembrandt, Delacroix, Manet. Ermitaż planuje wysłać do Nowego Jorku wielką wystawę przedstawiającą dawną kulturę narodów, zamieszkujących dziś Zw. Radziecki. Wśród eksponatów będzie wiele unikalnych przedmiotów odnalezionych przez ekspedycje archeologiczne, część z nich przechowywanych jest w warunkach wiecznej zmarzliny.

• • •

W styczniu rozpoczyna artystyczne tournee po Polsce leningradzki Teatr Miniatur, znany powszechnie jako „Teatr Rajkina. Zobaczą go widzowie Poznania, Wrocławia Katowic i Warszawy. Szkoda, że nie Łodzi! (a.b.)

RFN — KONIEC MITU O GEHLENIE

Długie lata gen. Reinhard Gehlen był postacią nieomal legendarną. Nasunięta na oczy czapka, ciemne okulary, podniesiony kołnierz płaszcza... Tak, mniej więcej, wyobrażał sobie przeciętny obywatel RFN szefa zachodnioniemieckiej federalnej służby wywiadowczej (BND). Dopiero w ostatnich tygodniach grudnia ub. roku prysnął mit o Gehlenie. Zaczęły wychodzić na jaw skandaliczne szczegóły pracy gehlenowskiej służby informacyjnej.

A szczegóły są takie: agenci Gehlena zdobywali tajne informacje nie tylko za granicą; siecią wywiadu była także omotana Republika Federalna, a przy zbieraniu informacji o obywatelach RFN uciekano się do najbardziej wątpliwych metod.

Podczas II wojny światowej Gehlen był szefem wywiadu w wydziale „Armii Wschodu", w Sztabie Generalnym Wojsk Lądowych Wehrmachtu. W 1945 roku, po upadku III Rzeszy, przedostał się Gehlen do Amerykanów, którzy, w momencie rozpoczynającej się „zimnej wojny", dostrzegli duże korzyści w wykorzystaniu wywiadowczej sieci Gehlena, stworzonej w okresie istnienia Wehrmachtu i utrzymywanej w pełnej „gotowości bojowej". Początkowo oficerów, którzy przeszli specjalne przygotowanie Abwehry oraz byłych nazistów z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy zamierzano użyć tylko do zbierania informacji wywiadowczych w krajach wschodnioeuropejskich. Jednakże Gehlen, dzięki środkom szczodrze udzielanym przez Amerykanów, a przede wszystkim przez Centralną Agencję Wywiadowczą (CIA), już po upływie kilku lat stworzył rozgałęziony aparat wywiadowczy zdolny do prowadzenia aktywnej działalności nie tylko poza granicami RFN lecz także wewnątrz kraju.

Wywiad wewnątrz kraju, jak okazało się obecnie, obejmował cztery sfery działania: założenie szczegółowych kartotek personalnych działaczy politycznych i społecznych RFN, inwigilację przywódców i członków Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), werbowanie dziennikarzy do pracy wywiadowczej wewnątrz kraju oraz ciemne machinacje handlu bronią i związane z tym wielkie operacje finansowe. Horst Emke — pisze publicysta centralnego organu SPD „Vorwärts" — kierujący Urzędem kanclerza Federalnego i odpowiedzialny za pracę BND, słusznie uważa tę całą działalność za bezprawną. Broniąc się Gehlen przytacza teraz argument, iż kartoteki personalne obywateli RFN były tylko „produktem ubocznym" wywiadu zagranicznego. Jednakże dokumenty, które gen. Wessel — następca Gehlena od 1968 roku na stanowisku szefa BND — zbadał osobiście, zawierają dane świadczące o celowo ukierunkowanej inwigilacji obywateli Republiki Federalnej.

Porządki jeszcze do niedawna panujące w Pullach — siedzibie centrali zachodnioniemieckiego wywiadu wojskowego — świadczą, że od BND można oczekiwać każdej niespodzianki. Na przykład z polecenia Horsta Emke bezprawnie zgromadzone kartoteki zniszczono w obecności samego gen. Wessela. Tak uważano dotychczas. Jednakże ostatnie wydarzenia nasuwają co do tego duże wątpliwości. Oto całkiem niedawno znaleziona kartoteka, obejmująca trzysta nazwisk, była sfotografowana na mikrofilmach. Wyrywkowa kontrola wykazała, że przynajmniej część kartotek przechowuje się nadal tyle tylko że nie w Pullach, lecz w filiach BND.

Czy istnieją inne jeszcze tajne dokumenty, nie znane centrali BND? Na ten temat można tylko snuć domysły. W każdym razie gen. Wessel tego nie wyklucza. Nikt też nie odważyłby się twierdzić, że w Pullach wiedzą o wszystkich filiach BND. O istnieniu jednej gen. Wessel dowiedział się, na przykład, całkiem niedawno i to przypadkiem: zmarł agent, a właściciel domu zażądał od BND za zaległy czynsz. Dzięki temu dowiedziano się o miejscu pracy agenta....

Wiele ciemnych machinacji dokonali ludzie Gehlena, gwałcąc obowiązujące prawo. Ale dopiero teraz znalazł się powód do wszczęcia dochodzenia w sprawie kryminalnej: ujawnione fakty bezprawnego szpiegowania przywódców SPD. Dowodzą tego dokumenty wykryte w jednej z monachijskich filii BND. Kierował nią niejaki Friedrich Leubenfeld, pseudonim „Wrona". Istnieją podstawy, by przypuszczać, że pod jego kierownictwem pracował agent o nazwisku Berwald, który w następstwie swej „działalności" musiał odejść z SPD. Przez długie lata Berwald był działaczem tej partii, a na jakiś czas przed opuszczeniem jej szeregów — nawet szefem tzw. Biura Wschodniego. On to właśnie przekazywał do agend wywiadu wewnętrznego BND informacje o posiedzeniach prezydium partii, o spotkaniach z przedstawicielami partii socjaldemokratycznych innych krajów, a także o tajnych decyzjach partii. Dowody tej działalności można przedstawić w każdej chwili. Szczegółowe sprawozdania pisał Berwald i po usunięciu Gehlena, nie szły one jednak do centrali, lecz z monachijskiej filii BND trafiały do rąk politycznych przeciwników socjaldemokratów.

Z niektórymi, szczególnie ważnymi informatorami Gehlen utrzymywał kontakty osobiste. To on właśnie zwerbował do pracy w wywiadzie wewnętrznym wielu dziennikarzy. Wymagano od nich informacji o charakterze tajnym, tyczących się zarówno działaczy politycznych, jak i politycznych tendencji Wśród agentów Gehlena znajdowali się redaktorzy gazet, znani komentatorzy radiowi i telewizyjni.

Większość informatorów rekrutowała się z obozu konserwatystów i prawicowej prasy. Ich usługi opłacano bardzo hojnie: przeciętne miesięczne uposażenie wynosiło 15 tys. marek. „Oddziałem specjalnym", jak w żargonie BND nazywano to unikalne źródło informacji, kierował osobiście Gehlen lub jego najbardziej zaufani współpracownicy. Jednym z nich — jak podaje „Der Spiegel" — był niejaki Günther Heising, „specjalizujący" się w werbowaniu agentów wywiadu z kręgu ludzi związanych ze środkami masowej informacji. Jego działalność mogłaby być treścią osobnego artykułu.

Dziennikarze zatrudnieni w reakcyjnym prasowym koncernie Springera i odpowiedzialni za tematykę wewnątrzpolityczną, jak również ich pomocnicy, wykorzystywali swoje powiązania z BND do prowadzenia kampanii politycznych, wymierzonych przeciwko wschodniej polityce rządu RFN oraz przeciwko koalicji socjaldemokratów i wolnych demokratów (FDP). Przewodniczący parlamentarnej frakcji SPD, Herbert Wehner, słusznie nazywa te kampanie spiskiem — pisze publicysta cytowanego już organu SPD. Realizowano je bowiem zupełnie jawnie przy współpracy niektórych wpływowych działaczy Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej i Chrześcijańsko-Społecznej (CDU—CSU). W tym towarzystwie znalazł również swoje miejsce wspomniany już współpracownik BND — Berwald. Ludzie ci — pisze publicysta „Vorwärts" — przygotowują nowe, propagandowe „pochody krzyżowe".

Ale to jeszcze nie wszystko. Od niektórych dziennikarzy — współpracowników BND wiodą ślady do nielegalnego handlu bronią, w który jest zamieszana BND. Jedną ze znanych firm handlujących bronią przy poparciu BND była firma „Mereks" w Boyel. Jej właściciel, były SS-man Gerhard Mertins, w okresie władzy CDU-CSU dokonywał wielomilionowych transakcji, sprzecznych z prawem o eksporcie broni. Mertinsa zgubiła chciwość. Żądny zysków poszedł na machinacje podatkowe, które przyniosły mu około półtora miliona marek i ... proces sądowy. Czujność inspekcji podatkowej ujawniła afery „Mereksu". Nawiasem mówiąc, jednym z najbliższych przyjaciół i pomocników Mertinsa był Heinz Wielein, niegdyś pracownik gazety „Bayern Kurier" — tuby Straussa, a obecnie zatrudniony w koncernie prasowym Springera w Bonn.

W najbliższym czasie odbędzie się w Bonn i w Koblencji proces sądowy w sprawie nielegalnego handlu bronią. Wtedy społeczeństwo RFN dowie się o nowych faktach tej afery i o nazwiskach jej bohaterów. Broniąc się oskarżeni twierdzą, iż działali z aprobatą BND Natomiast zwierzchnie władze służby wywiadowczej utrzymują, że działały pod „osłoną polityczną" rządu chrześcijańskich demokratów, będących w owym czasie u steru władzy. Jednakże prof. Karl Carstens, obecny przewodniczący frakcji CDU—CSU w Bundestagu, który w okresie rządów kanclerza Erharda kierował aparatem BND, oświadczył, że nic mu o tym nie wiadomo.

Szczególnie zastanawiającą i tajemniczą rolę odegrała w BND w sprawach związanych z dostawami broni dla Bundeswehry. Na posiedzeniach komisji śledczej, odbywających się przy drzwiach zamkniętych, padło nazwisko: Hentges.

Od 1958 roku do 1960 kierował on filią BND we Frankfurcie nad Menem. Z osobistego polecenia Gehlena poznano go z niejakim Friedrichem Groskopfem, znanym przedstawicielem kół przemysłowych, który urządził go w biurze francuskiej firmy elektronicznej „Radio—Air" we Frankfurcie nad Menem Roger Hentges, Belgijczyk z pochodzenia, płynnie mówił po francusku, co ułatwiało kontakty z francuskimi „adresatami". Inna rzecz, że nie mógł on osobiście odwiedzić Francji, gdzie został zaocznie skazany na karę śmierci jako zbrodniarz wojenny. Hentges pracownik Abwehry, jeszcze przed wojną, „wyróżnił się" we Francji szczególną „aktywnością" podczas okupacji hitlerowskiej przyczyniając się do śmierci wielu bojowników francuskiego ruchu oporu. Groskopf, nowy szef Hentgesa, także był człowiekiem Canarisa i przez długie lata kierował jednym z wydziałów Abwehry.

Podczas śledztwa Hentges nie ujawnił na razie nazwisk osób zamieszanych w aferę dostaw broni dla Bundeswehry. Powiedział, że obszerne zeznania złoży tylko na rozprawie sądowej. Wyraźnie boi się ujawnienia niektórych szczegółów, bowiem szereg osób zamieszanych w tę aferę odeszło z tego świata w bardzo zagadkowych okolicznościach. Roger Hentges boi się o własne życie...

JERZY CZECH

■ PIERWSZA NA KUBIE I PIERWSZA W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ
■ DWIE ROCZNICE
■ UMOCNIENIE LEWICY W DANII

Wieloletnie przyjacielskie stosunki polsko-kubańskie umocniły się i otrzymały nowy impuls w wyniku wizyty na wyspie Edwarda Gierka. Rozmowy w Hawanie, jak wiemy z komunikatu, dotyczyły aktualnego stanu i perspektyw rozwoju wzajemnych stosunków państwowych i partyjnych oraz głównych problemów sytuacji międzynarodowej. Podpisana na zakończenie wizyty wspólna deklaracja, a także porozumienie między Komitetami Centralnymi obu partii wnoszą do naszych kontaktów nowe elementy, rozszerzają je, a tym samym pozwalają obu krajom jeszcze skuteczniej walczyć o wspólne ideały.

Wizyta Edwarda Gierka pierwsza na tak wysokim szczeblu w krajach Ameryki Łacińskiej jest zarazem jak gdyby otwierającą dla nas nowy sezon polityczny. Przypada ona też na okres szczególnie ważny dla Kuby — przygotowań do pierwszego zjazdu partii oraz przygotowań do zmiany konstytucji. **Oba te, wysokiej rangi wydarzenia w życiu wewnętrznym wyspy są potwierdzeniem drogi, jaką przebyła Kuba od pamiętnego Nowego Roku 1959,** kiedy to zwycięsko zakończona została walka o obalenie reżimu Batisty.

Dzieje nowej Kuby bynajmniej nie były spokojne. Ustanowienie rewolucyjnej władzy u boku czołowego mocarstwa kapitalistycznego spędzało sen z powiek politykom USA. Wymyślili więc blokadę, sądząc, że odcięta od gospodarczych kontaktów Kuba szybko załamie się. **Wytrzymała nie tylko to uderzenie, odparła również militarną interwencję.** Przede wszystkim jednak, korzystając z pomocy krajów socjalistycznych, konsekwentnie, krok po kroku, umacniała nowy ustrój.

Kiedy dziś konfrontuje się cele blokady z jej skutkami — nieodparcie nasuwa się wniosek, że to nie Kuba znalazła się w izolacji, lecz inicjatorzy tego przedsięwzięcia. Właśnie Wenezuela, jako 11 państwo latynoamerykańskie, nawiązała stosunki dyplomatyczne z wyspą. A przypomnijmy (pisaliśmy o tym szczegółowiej), że ostatnia sesja Organizacji Państw Amerykańskich w Quito nie odwołała środków represyjnych, bo wniosek w tej sprawie nie uzyskał wymaganej bezwzględnej większości głosów. Mimo to, a może na przekór decyzji, liczba państw, które chcą znormalizować i umacniać swe stosunki z Kubą stale wzrasta. Dzieje się tak dlatego, że **Kuba dała przykład,** co można osiągnąć w ciągu niewielu lat, jak głęboko zmienić życie mieszkańców. Narody południowo-amerykańskie same doświadczające wiekowego zacofania gospodarczego swych krajów, potrafią to docenić. Stąd rosnący autorytet Kuby.

Rozmowy polsko-kubańskie odnotowane zostały z uwagą w wielu krajach. W komentarzach podkreśla się ich znaczenie dla rozwoju dwustronnych stosunków krajów, które dzieli wprawdzie ok. 11 tys. km, ale są sobie bardzo bliskie.

Z nie mniejszym zainteresowaniem spotkała się krótka wizyta I sekretarza KC PZPR w Lizbonie, pierwsza przywódcy kraju socjalistycznego od przewrotu w Portugalii. I tutaj rozmowy objęły problematykę międzynarodową oraz perspektywy dwustronnej współpracy Zmiany jakie dokonały się przed 9 miesiącami w Portugalii, w jej życiu politycznym i społecznym, otwierają możliwości współdziałania tego kraju ze wspólnotą socjalistyczną. Stąd komunikat o rozmowach zapowiada nawiązanie ściślejszych kontaktów w wielu dziedzinach.

* * *

Dawno już na tym miejscu nie pisaliśmy **o sytuacji na Półwyspie Indochińskim.** Powrót do tego tematu w przeglądzie wydarzeń uzasadniają doniesienia agencyjne. W Kambodży trwa ofensywa sił wyzwoleńczych, a w Wietnamie Południowym oddziały reżimowe Thieu prowadzą „akcje pacyfikacyjne". Ich celem jest zagrabienie jak najrozleglejszych terenów. Bazy amerykańskie na Okinawie postawione zostały w stan gotowości bojowej. Wszystko to razem zaostrza sytuację.

23 stycznia mijają dwa lata od podpisania układu paryskiego na temat Wietnamu. Postęp, jaki w tym czasie osiągnięto, nie jest zadowalający. Tym gorzej, że **sajgoński reżim wprowadza swoimi bombardowaniami nowe komplikacje.**

* * *

Przenieśmy się teraz na inny kontynent, aby znów nawiązać do pewnej rocznicy. Za kilkanaści dni upłynie **rok od zapoczątkowania procesu przemian w Etiopii,** których celem było wysadzenie z tronu Hajle Sellasje. Przypuszczano wówczas, że jest to równoznaczne ze zmianą struktur społecznych i gospodarczych kraju. Nic takiego się nie stało — na czele państwa nie ma już cesarza, który wsławił się najdłuższym pozostawaniem na tronie, ale nie ma też koncepcji dalszych zmian. Zapowiedź przeprowadzenia reformy rolnej przedstawiona została tak mgławicowo, że nie można jej uznać za zapowiedź czegoś nowego. Rada wojskowa, mająca w swym ręku ster władzy, działa ostrożnie i na zwolnionych obrotach. W rezultacie trudno udzielić odpowiedzi na pytanie: **ku czemu zmierza Etiopia?** Czy w kierunku któregoś z wariantów socjalizmu afrykańskiego, czy też może w kierunku kapitalistycznego modelu rozwoju? Dziś jeszcze te dwie ewentualności muszą być zaopatrzone w pytajnik.

* * *

Z wydarzeń europejskich zwróćmy uwagę czytelników na **wybory w Danii.** Przyniosły one **dalsze przesunięcie na lewo,** umacniając zmiany sprzed roku. Zwiększyła liczbę mandatów w Folketingu Komunistyczna Partia Danii, po raz pierwszy zasiądą w parlamencie przedstawiciele lewicowych socjalistów, partii blisko współpracującej z komunistami. Rządząca dotąd partia Venstre nie powiększyła swej pozycji tak znacznie, aby jasne już było, kto będzie kierował życiem Danii. Jeśli powstanie mniejszościowy rząd — sytuacja może być niepewna. Inaczej mówiąc — **przedterminowe rozpisanie wyborów — nie przyniosło wyjaśnienia,** na które oczekiwały koła dotąd pozostające u władzy.

W. SŁAWSKI

LITERATURA BRUKOWA

ESEJ i ANTOLOGIA

Książka Janusza Dunina jest rewelacją w dwojakim sensie. Dla przeciętnego czytelnika jest to przegląd literatury brukowej i tandetnej — swoiste zderzenie wyobrażeń i mitów na ten temat z historyczną rzeczywistością. Starsi dzięki tej książce przypomną sobie młodzieńcze lektury, młodsi zobaczą, jak naprawdę wyglądała owa mityczna już literatura „notorycznie zbędna".

Z drugiej strony jest to rewelacja historyczno-literacka. Mało kto bowiem zajmował się dotąd tym nurtem polskiej literatury. Powszechnie uznana za szkodliwą, głupią i grafomańską nie dostępowała zbyt często zaszczytu oceny i klasyfikacji dokonywanych w majestacie nauki.

Te wszystkie komiksy, powieści zeszytowe, senniki, ulotne wierszyki i piosenki były zazwyczaj w powszechnej, oficjalnej pogardzie. I równie powszechnie po tę literaturę sięgano. Tyle, że już mniej oficjalnie, a raczej w domowym zaciszu, dyskretnie i wstydliwie.

A wstydzić się owej literatury nie trzeba. Jak każdy zapis literacki, czy quasi-literacki, była przecież dokumentem określonej epoki, była wynikiem zapotrzebowań czytelniczych. I — co tu kryć — właśnie ta literatura brukowa jest najklasyczniejszym przykładem kultury masowej. Rzec właściwie można, że kultura masowa swoją prehistorią sięga właśnie do tych zgromadzonych i opisanych przez Janusza Dunina tekstów.

A zaczęło się to dawno, bowiem, jak twierdzi Dunin, w początkach wieku XIX. Piśmiennictwo masowe lub, jak wówczas mówiono, „dla maluczkich" nie było zresztą zjawiskiem jednorodnym. Dzieli je autor „Papierowego bandyty" na tzw. „płody pożytku" i „płody skandalu".

Pierwsze pełne są moralistyki, przyświecały im bardzo szczytne cele, a na przełomie wieku XIX i XX wiele owych „książeczek ludowych" wyszło spod piór nie najgorszych — Anczyca, Dygasińskiego, Mokrzyckiej. Z doświadczeń literatury dla ludu korzystała też propaganda socjalistyczna na początku wieku XX.

Drugi nurt, czyli „płody skandalu", nie cieszył się poparciem oświeconych kręgów, ale na brak odbiorców również nie narzekał. Królowały w tym nurcie różnego rodzaju opowiastki o cudach i zbrodniach, sensacyjne powieści zeszytowe itp.

I tak to się zaczęło. Tak się zaczęła literatura masowa przed ponad stu laty i na upartego pewne podstawowe prawidłowości w tym nurcie uchwytne są także i w latach siedemdziesiątych. Jakaż bowiem jest różnica (poza stylistyką i realiami) między romansami pani Hedwig Courts-Mahlerowej a romansami pani Francoise Sagan?

Janusz Dunin napisał książkę rewelacyjną i przygotował ją niezwykle chytrze. Obok tekstu o dużych walorach historyczno-literackich zaopatrzył swojego „Papierowego bandytę" w potężny zestaw tekstów oryginalnych ilustrujących niejako tezy eseju. W ten sposób w jednym woluminie mamy i rozprawę naukową i małą antologię literatury brukowej.

Niestety sprawę pokpiła drukarnia. Książka, która mogła stać się okazem poligraficznego kunsztu — pokazuje wszystkie braki naszej poligrafii. Prawie żadnej kliszy nie potrafiono zreprodukować czysto — a już zupełnie osobnym skandalem jest jedyna barwna reprodukcja zeszytu „Szerloka Holmesa — słynnego ajenta śledczego".

Wróćmy jednak do meritum. Janusz Dunin twierdzi — i trudno się z nim nie zgodzić, że w połowie XIX wieku tandetne wydawnictwa spełniły wyraźnie pozytywną rolę. Były często pierwszą lekturą docierającą do masowego czytelnika, przełamywały obojętność wobec drukowanego słowa, uczyły nawyku czytania. Na terenach i w środowiskach zagrożonych wynarodowieniem (Śląsk, Mazury, emigracja w Ameryce) były często jedynym polskim słowem drukowanym. Żeby tylko poprzestać na przykładzie z łódzkiego rynku — szmirowate i półpornograficzne „Wolne Żarty" były czytane wśród emigracji zarobkowej na obczyźnie, ambitne — „Meteor" czy „Wymiary" — niestety nie. I co by nie mówić o tym, to przecież jakże często język polski przetrwał tam właśnie dzięki szmirowatym pisemkom.

Potem oczywiście funkcje tej literatury stawały się coraz bardziej wsteczne, ale jakąś pozytywną rolę spełniła i ona. Dlatego też — postuluje Janusz Dunin — wydawnictwa tandetne winny znaleźć się na kartach historii kultury.

JERZY WILMAŃSKI

Wszystkie fragmenty literatury brukowej pochodzą z książki Janusza Dunina „Papierowy bandyta", Wyd. Łódzkie, 1974, cena 100 zł.

NOWY SYNTETYCZNY

sennik arabski, egipski i chaldejski z planetami. Objaśniający różne sny zgodnie z ich oryginalnymi w dziełach opracowanych podług ksiąg najznakomitszych astrologów, wróżbitów i wykł. snów z najdawniejszych czasów a drukowanych m.in. w Wadowicach, Łodzi, Żninie, Lwowie, Chicago w Warszawie i na Nalewkach.

A.

ARAK PIĆ — zarobek na bydle.
ARTYSTA — uciechy rozmaite.
ATLETA — znieważone uczucie.

B.

BIBLIOTEKA — kończ prędko interes.
BLAZNA WIDZIEĆ — wysokie dostojeństwa otrzymać.
BUTELKA — wesołość.

C.

CIOTKA — zwady familijne
CUDZOŁOŻYĆ — zn. niebezpieczeństwo ognia.
CYTRYNĘ JEŚĆ — cierpienie moralne.

D.

DOIĆ KROWĘ — odziedziczysz wielki majątek po dalekiej krewnej.
DOSTAĆ W TWARZ — wielki honor.
DRAMĘ TEATRALNĄ WIDZIEĆ — być oszukanym.

E.

EGZAMIN — będziesz w wielkich kłopotach.
ELEMENTARZ — dostąpisz wielkich godności.
ENCYKLOPEDIA — trudności i zagmatwana sytuacja.
FOKA — intrygantka bruździ ci w interesach.
FORNAL — kłopot z krnąbrnym człowiekiem.

G. H.

GACIE — kłótnia z żoną.
GARNITUR PRZYMIERZAĆ — zrujnujesz się.
GŁUCHYM BYĆ — kariera.
GNÓJ WIDZIEĆ — pieniądze.
GRÓB KOPAĆ — dobre ożenienie.

I. J.

IMBRYK Z KAWĄ — hańba w domu.
IMPORTOWE TOWARY — wyzyski oszustów.

JABŁOŃ — rozkosz.
JĘZYK DUŻY MIEĆ — zdrowie.

K.

KARAFKA Z WODĄ — nudy.
KAT — smutne zajście i przykre wrażenie.
KĄKOL — pasożyty w domu.

L. Ł.

LALKA — nic dobrego.
LEŻEĆ — dobra wiadomość.
LIPA — korzystny interes zrobisz.
ŁYDKI CHUDE — straty.
ŁYSYM BYĆ — szyderstwo.

M.

MALARZ — sympatyczna znajomość.
MOCZARY — niepewna droga.
MUSZTARDA — zła wróżba, wyjąwszy dla doktorów.

N.

NAPARSTEK — kobieta skrycie kochająca.
NAWÓZ — korzyści z gospodarstwa.
NIAŃKĘ WIDZIEĆ — zabawa wkrótce.

O.

OBRĄCZKA ŚLUBNA — dostać się do kozy.
OCET PIĆ — nieporozumienie familijne.
OSZALEĆ — spełnienie życzeń.

P.

PASZPORT — nieszczęście.
POLICZEK DAĆ KOMUŚ — zgoda w małżeństwie.
PROFESOR — stosunki z próżnym człowiekiem.

R.

ROBACTWO ZABIJAĆ — zadowolenie.
ROZBIERAĆ KOGOŚ — nieszczęście, młodym dziewczętom wesele.
RYCINY OGLĄDAĆ — niepotrzebna strata czasu.

S. Ś.

SĘDZIA — stosunki z głupim człowiekiem.
SOCZEWKA — rozpusta.
SZELKI — pomyślne miłostki.
ŚLIMAK — honorowe urzędy.

T. U.

TEATR — nie pożyczaj nikomu pieniędzy.
TRUPA WIDZIEĆ — zdrowym choroba, chorym zdrowie.
TUREK — szczęście do kobiet.
USZY MYĆ — dobra nowina.

W.

WAŁEK — przyjaźń.
WANNA — nieprzyzwoite rozrywki.
WESZ — dostojna i wpływowa znajomość.

Z. Ż.

ZADEK GOŁY WIDZIEĆ — zwada, kłótnia.
ZGWAŁCIĆ KOGOŚ — kłopoty.
ŻONA — ciekawych rzeczy się dowiesz.
ŻONĘ CAŁOWAĆ — zysk.

SPOWIEDŹ KATA

czyli dziwne tajemnice tego strasznego rzemiosła

ZBRODNICZE TORTURY

...Słabe światło latarni oświeciło w tej ciemnicy młodą, bladą dziewczynę, leżącą w rogu na mokrym barłogu ze słomy.

— No, jakże tam? — zapytał. — Czyś się namyśliła, że to uporczywe twoje milczenie może mieć bardzo smutne następstwa dla ciebie? Jeżeli mi nie wskażesz miejsca, gdzie są te skarby ukryte, postąpię z tobą niemiłosiernie!

— A więc znów przyszedłeś, nędzniku! Chcesz wydrzeć mi tajemnicę, lecz raczej śmierć zniosę, niż żebym ci miała słowo o skarbach pisnąć.

Hrabia nie obraził się bynajmniej za niezbyt pochlebne słowa byłej swej kochanki.

— Elizo, zastanów się! Gdy mi wskażesz miejsce, gdzie są skarby ukryte, wynagrodzę cię po książęcemu. Nie zmuszam cię do pozostania tu, możesz sobie odejść i prowadzić życie pańskie. Będziesz mogła wyjść za mąż podług twojej woli i być najszczęśliwszą na świecie.

— Skarby te nie są twoją własnością, jako też i nie moją i nigdy nie przyłożę ręki do tego, żebym ci miała w tym lotrostwie pomagać — odpowiedziała Eliza stanowczo.

— Ależ pomyśl, że skarby te nie mają żadnej wartości, pozostając w ukryciu, a ja potrzebuję pieniędzy. Cały mój byt opiera się na tym. Jeżeli mi nie pomożesz do odnalezienia skarbu, będę zrujnowany i zgubiony, jeśli zaś odkryjesz mi tajemnicę, wyratujesz i mnie, i siebie.

— Niech zginę, niech umrę z głodu, to mi wszystko jedno! Powiem ci to tylko, że nigdy żadną siłą nie wydobędziesz ze mnie ani słowa — odrzekła Eliza z mocnym postanowieniem.

— Taaaak? Wyczerpałaś całą moją cierpliwość! — krzyknął hrabia pieniąc się ze złości. — Otóż pokażę ci, że będziesz musiała odkryć mi tę tajemnicę. Jack, Pedro! — zawołał — zanieście tę kobietę do izby tortur.

Parobcy rzucili się na nieszczęśliwą kobietę i pomimo oporu wywlekli z lochu do sąsiedniej izby.

Straszne to było miejsce.

Na ścianach wisiały narzędzia tortur najrozmaitszego rodzaju, jakie się dziś w muzeach ogląda; pochodzić one musiały z średnich wieków, z czasów inkwizycji. Na widok tych morderczych narzędzi, krew człowiekowi w żyłach się ścinała, tylko nie Ulenhorstowi. Dusza jego była zatwardziała, a serce nie znało litości.

W środku izby stał długi stół. Na nim przywiązywano ludzi ze skrępowanymi stawami, od których końce sznurów łączyły się z walcem. Gdy pokręcano korbą, złączoną z walcem, sznury się wyciągały i ściskały stawy.

— Przywiązać ją do tej pryczy i skrępować! — zawołał hrabia.

Parobcy wykonali rozporządzenie swego pana.

— Jeszcze masz czas — rzekł czarny hrabia. — Daję ci minutę czasu do namysłu, a potem bez litości będę cię męczył.

Minuta upłynęła.

— Czas już minął, czy powiesz, gdzie się skarby znajdują?
— Nie! — odpowiedziała hardo.
— Zaciągajcie sznury! — rozkazał hrabia.

Zakręcono korbę i prawie równocześnie rozległ się przeraźliwy, do szpiku kości przejmujący krzyk.

SZERLOK HOLMES

- słynny ajent śledczy

ZAGADKOWE MORDERSTWO

— Brr! — rzekł mężczyzna wysoki, chudy, choć dobrze zbudowany, o elastycznych ruchach i wybitnych rysach twarzy, naciskając głębiej na czoło kapelusz i podnosząc kołnierz płaszcza gumowego w górę. — Psią pogodę mamy nocy dzisiejszej, mój Harry. Trzeba się pośpieszyć, ażeby jak najprędzej znaleźć się pod dachem.

Obaj panowie przyśpieszyli kroku.

Dochodzili prawie do rogu Oxford i Baker Street, przy której to ulicy mieściło się mieszkanie słynnego detektywa, gdy nagle z bocznej uliczki Duke-Street, rozległ się gwizd przeciągły, jakim policjanci zwykli alarmować kolegów. W tej samej chwili z różnych stron odezwały się inne gwizdawki, a na bruku dudniały kroki nadbiegających stróżów bezpieczeństwa.

Obok Szerloka Holmesa i Harry'ego Taxona przebiegło trzech policjantów w płaszczach gumowych i zakręciło w Duke-Street.

— Udamy się za nimi — rzekł wielki detektyw. — Prawdopodobnie napadnięto na kogoś w tym zaułku i zakłuto nożami. Najlepsza to pora do dokonywania takich zbrodni, gdyż połowa latarni już została zgaszona. W ogóle w tej dzielnicy, w której mamy szczęście mieszkać, panuje ciemność, jak w worku.

Szybko dążyli detektywi za policjantami, którzy zatrzymali się przed małym, starym domem dwupiętrowym, obok którego z jednej strony stała nędzna chałupa drewniana, z drugiej zaś rozciągał się plac z składem drzewa. Wysoki parkan drewniany oddzielał ten plac od ulicy.

Lokal parterowy domu zajęty był na zwyczajną szynkownię. Drzwi do tego lokalu stały otworem, przez nie weszli też policjanci do wnętrza domu i skierowali kroki swoje na pierwsze piętro, skąd dobywały się głośne jęki kobiety i rozpaczliwe szlochania dzieci.

Szerlok Holmes podszedł od razu do stróża nocnego, który właśnie przed chwilą zaalarmował policję i zapytał o powody alarmu. Stróż odpowiedział kilka słów i wpuścił obu detektywów do środka.

Holmes z Taconem weszli do pokoju gościnnego, oświetlonego słabo lampą naftową, której cylinder z powodu ustawicznego przeciągu zupełnie był okopcony. Pomimo takiego słabego oświetlenia, można było dostrzec od razu spustoszenie, jakiego tutaj dokonano.

Krzesełka poprzewracano, wypite, lub też potłuczone butelki leżały na podłodze, ze ścian pozrywano obrazy i połamano ramy, szuflady pootwierano do połowy i wydobyto z nich całą zawartość.

Policjanci, którzy nie pobiegli od razu na górę, lecz zatrzymali się w lokalu parterowym i badali wszystko drobiazgowo, stanęli przy drzwiach, prowadzących do sieni. Drzwi te najwidoczniej wysadzono przemocą z zawiasów. Sztaby żelazne nie oparły się naporowi i zwieszały się teraz zgięte i pokrzywione przy drzwiach. Od strony wewnętrznej tkwił klucz w zamku.

Szerlok Holmes i Harry Taxon przedstawili się od razu policjantom, nie mieszali się jednak do niczego i nie przeszkadzali przy dokonywaniu oględzin, lecz natomiast udali się natychmiast na schody, ażeby obejrzeć pierwsze piętro. Na najwyższym stopniu schodów ujrzeli chłopca w bieliźnie, mogącego liczyć około lat 15. Chłopiec ten zdawał się niecierpliwie czekać na nadejście policjantów, on to bowiem uczynił pierwszy krok i zaalarmował stróża nocnego.

Detektywi domyślili się, że nie na parterze, ale tu na pierwszym piętrze odegrać się musiała główna scena dramatu.

Chłopiec zapłakany, drżący na całym ciele i dzwoniący zębami, budził litość swoim wyglądem.

Na widok nadchodzących mężczyzn jeszcze więcej zaczął szlochać, nie rzekłszy też ani słowa poprowadził Holmesa wraz z towarzyszem do pokoju sypialnego.

Obaj detektywi, pełni zgrozy, stanęli na progu, jak wryci.

Obok łóżka leżał na podłodze w kałuży krwi silnie zbudowany mężczyzna, lat około 40-stu.

Był to Ben Hobson, właściciel szynkowni. Z głębokiej rany na piersiach sączyła się krew i ściekała na ręce zapłakanej kobiety, która rozpaczliwie czyniła wysiłki, ażeby męża unieść w górę. Przerażonymi, obłędnymi oczami wpatrywała się w twarz Hobsona i ciągle wołała na niego po imieniu.

Do matki tuliły się dzieci, które zerwały się z łóżek, a drżąc na całym ciele, płakały rzewnie.

PEŁNA ŚMIECHU BECZKA

Zdarzyło się to w październiku 1958 roku. Z Olesna w województwie opolskim popłynęły po raz pierwszy w eter ludowej zaaranżowanej przez Janusza Kaźmierczaka i bezpretensjonalne słowa Tadeusza Dobrzyńskiego; dźwięki wpadającej w ucho melodii

Tak więc od prawie 17 lat **„Wesoły Autobus"** bawi co miesiąc publiczność w różnych zakątkach Polski, a za pośrednictwem **Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia** — całą właściwie Polskę. Według ankiet sporządzanych przez Ośrodek Badania Opinii Publicznej przy Komitecie do Spraw Radia i Telewizji — tej popularnej audycji słucha ok. 12 milionów, a więc co trzeci Polak. Zakładając nawet, że to liczba niedokładna, szacunkowa, i tak obok faktu tego nie możemy przejść obojętnie.

Ale droga do ukształtowania formy **„Wesołego Autobusu"** była długa. Wiąże się ona z głównym twórcą i organizatorem tej audycji — **JÓZEFEM MOZGĄ.**

Z radiem łódzkim związał się on od 1951 r., w następnym roku był już pracownikiem etatowym redakcji wiejskiej. Nie trafił tam przypadkowo. Urodził się na wsi, w Godzianowie w pow. skierniewickim, na wsi rozpoczął pracę zawodową i społeczną w Kole Młodzieży Wiejskiej. Do Łodzi przyjechał w 1946 r. dla podjęcia studiów socjologicznych na uniwersytecie.

W radiu zaczął od czytania własnych gawęd na tematy wiejskie, ale poszukiwał jednocześnie innej, bardziej radiowej formy wypowiedzi. Tak zrodził się pomysł audycji satyryczno-rozrywkowych. Pierwsza dotyczyła funkcjonowania ośrodków skupu, kolejna wykpiwała biurokratyczną procedurę przy wypłacaniu odszkodowań za padłe bydło. Tematyka zdawałoby się niewdzięczna, mało atrakcyjna, a tym czasem lekka, satyryczna forma, piosenki, skecze i monologi w wykonaniu artystów scen łódzkich, jak to się mówi, „chwyciły". Nagrania odbywały się z udziałem publiczności, która witała program bardzo żywo kwitując go żywiołowym śmiechem i oklaskami.

Wkrótce Józef Mozga wylądował w redakcji estradowej, ale tematyce wiejskiej pozostał wierny. Co tygodnia spędzał trzy dni na rekonesansie reporterskim na wsi, po czym powracał do rozgłośni z notesem zapełnionym aktualnymi sprawami. Tak zdobywane materiały służyły do opracowywania programu cyklicznego „Niedziela na wsi", przygotowywanego kolejno przez różne rozgłośnie regionalne. W tym czasie z audycjami Józefa Mozgi związali się na długie lata aktorzy Emil Karewicz i Bogdan Baer.

Ale ciągle „to nie było to". Poszukiwania formy trwały nadal. Wspólnie z Wojciechem Drygasem J. Mozga napisał i przygotował siedem 45-minutowych komediogrotesek, nagrywanych następnie w obecności słuchaczy Szkoły Rolniczej w Bartoszewicach.

— Jedna z tych grotesek — wspomina J. Mozga — **nosiła zaskakującą nazwę „Nieczysta Wiktoria", a dotyczyła grochu „Wiktoria" wadliwie kwalifikowanego przez przedsiębiorstwa skupu.**

W miesiącach jesienno-zimowych 1956—57 r. zorganizowano w województwie łódzkim przegląd oryginalnych kapel chórów i gawędziarzy ludowych. Wyselekcjonowano w ten sposób najlepszych i nagrywano ich na antenę radiową. I tak zrodził się ostateczny pomysł: skrzyżowanie form aktorskich z folklorem, czyli **„Wesoły Autobus"!**

Po wspomnianym już starcie w Olesnie przy okazji przeglądu zespołów regionalnych, drugi występ **„Wesołego Autobusu"** miał miejsce w **listopadzie 1958 r. w Gałkówku.** Tym razem okazję stanowiła uroczystość X-lecia pisma **„Nowa Wieś".** Po roku „Autobus" znalazł stałe miejsce w tzw. ramówce programu ogólnopolskiego Polskiego Radia, zaś redakcja tej audycji nabrała charakteru krajowego.

Trudno wymienić nawet te najważniejsze edycje. Więc przykładowo: największą widownię bo 45 tys. osób, miał program pokazany w historycznych Racławicach podczas centralnych uroczystości Święta Ludowego w 1970 r. W 1971 r. z ogromnym aplauzem witano „Autobus" na Festynie Ludowym w Gnieźnie. **Dwóchsetny „Wesoły Autobus"** o charakterze barbórkowym odbył się w Zabrzu w grudniu 1974 r.

Wokół „Wesołego Autobusu" skupiła się grupa stałych autorów tekstów: **Wojciech Drygas, Włodzimierz Krzemiński, Wiesław Machejko** i przedwcześnie zmarły **Janusz Słowikowski.** Przez wiele lat ustabilizował się zespół wykonawców, z których niektórzy pozostali wierni audycji po dziś dzień, inni ustąpili miejsca młodszym. A więc aktorzy: **Karewicz, Baer, Lutkiewicz, Majda, Kłosiński, Przybyła, Trzeciak, Łągwa, Szewczyk, Kamiński, Dembiński, Krawczykówna, Borońska, Pieńkowska, Kamińska, Molenda;** śpiewacy i piosenkarze: **Dobrowolska, Jarmułówna, Nawe, Duliński, Kopacki, Spychalski, Woźniakowski...** To niektóre tylko nazwiska. Do tego dodać należy gawędziarzy ludowych — **Wincentego Kaźmierczaka i Władysława Wojdę** z Łowicza, no i kapelę pod kierunkiem **Janusza Kaźmierczaka.** Kierownictwo muzyczne całości spoczywa obecnie w rękach **Wacława Biedrzyckiego.**

Najdalsze podróże podjęte przez **„Wesoły Autobus"** wiodły za ocean. W 1967 i 69 r. odbyły się dwa tournee po USA i Kanadzie. Ale ważniejsze są chyba te setki tysięcy kilometrów odbyte szosami wzdłuż i wszerz naszego kraju. Dwa autokary „zajeżdżono" w ten sposób. Od września „Autobus" korzysta z trzeciego — nowego importowanego autokaru „Sanos", którego przydział — specjalnie dla użytku tego programu — podpisał przewodniczący Komitetu Planowania przy Radzie Ministrów.

Można by zadać pytanie, skąd się to bierze, że do rozrywkowej audycji przykłada się taką wagę? Do redakcji **„Wesołego Autobusu"** napływają z całej Polski setki zamówień z różnych zakładów i instytucji. Zamówienia te nierzadko zaopatrzone są w poparcie ze strony wojewódzkich lub powiatowych instancji partyjnych. Redakcja musi rozwiązywać przy tym nie lada łamigłówkę. O zaspokojeniu wszystkich nie może być mowy, gdyż **„Wesoły Autobus"** może dać 12 występów antenowych w roku i 50—60 pozaantenowych, czyli wykonywanych tylko dla publiczności zgromadzonej na występie.

— Daje to nam ogromną satysfakcję — mówi J. Mozga — **czujemy bowiem, że ludzie chcą nas oglądać i słuchać w jakiś sposób nas potrzebują. Widocznie trafiliśmy z formą naszego programu w określoną lukę, którą trzeba wypełnić. Ludzie chcą, by o ich codziennych sprawach mówić komunikatywnie, by bolące nieraz problemy rozładowywać w żarcie i piosence. Przed każdym programem odbywamy na miejscu szczegółową dokumentację. Ze strony środowiska, przed którym mamy wystąpić, doznajemy przy tym pomocy. Zainteresowani podsuwają nam tematy i problemy. Sam już dziś nie wiem, czy jest to zwykły program rozrywkowy czy zjawisko, które wymagałoby studiów socjologicznych. Jedno pewne, że jak to w bajce o uczniu czarnoksiężnika — rozpętaliśmy siły, nad którymi nie jesteśmy w stanie zapanować. Rośnie w nas poczucie wielkiej odpowiedzialności. Ludzie mają do nas zaufanie, czekają na teksty celne, śmiałe, presja tego jest ogromna. A siły mamy przecież ograniczone. Zwłaszcza teksty stanowią nasze wąskie gardło. Czasem nachodzą nas wątpliwości. Może już forma się przeżyła? Może zastąpić ją inna. Ale kolejna poczta napływająca do rozgłośni mówi o czymś zgoła innym. Więc cóż? Załadowujemy się w nasz autobus i ruszamy w nową podróż. I tak będzie za miesiąc, i za dwa, i... jak długo jeszcze?**

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

DWIE „SPRZEDANE NARZECZONE"

Warto przypomnieć, że **„Sprzedana narzeczona"** była jednym z najlepszych spektakli zrealizowanych w pierwszych latach działalności Opery Łódzkiej Różnica w warunkach oracy i środkach, między tamtym a tym spektaklem, kolosalna, i dopiero porównując je można zdać sobie sprawę z tego olbrzymiego dystansu, który dzieli bogatą współczesność Teatru Wielkiego od jakże skromnych możliwości materialnych tamtych lat Opery Łódzkiej.

Pamiętam, że tamto przedstawienie sprzed 15 laty, głównie dzięki udanej reżyserii **Antoniego Majaka,** a także choreografii **Feliksa Parnella,** tętniło życiem, tańcem i humorem, była to prawdziwa opera komiczna, nie pozbawiona zresztą pięknych scen lirycznych. **„Sprzedana narzeczona"** wystawiona ostatnio w Teatrze Wielkim przy współudziale czeskich realizatorów (reżyseria, scenografia, choreografia) jest zupełnie odmienna — solenna i celebrowana, co — jak sądzę — ma swe źródło w przywiązaniu do wieloletnich tradycji wystawiania tej pierwszej czeskiej opery narodowej, które inscenizatorzy przenieśli na nasz grunt. Zapewne, poznanie tych tradycji jest rzeczą cenną, choć z drugiej strony — uporczywe trzymanie się ustalonych i „uświęconych" tradycją sposobów nie zawsze bywa uzasadnione, bo przecież realizacje sceniczne oper także podlegają historycznej ewolucji, podobnie jak poglądy estetyczne i praktyka wykonawcza wszelkich rodzajów sztuki.

Niewątpliwą zaletą pracy reżysera **Václava Veznika** jest prostota rozwiązań inscenizacyjnych, logika działań scenicznych, wynikających z bardzo zresztą udanego libretta. Mocną częścią inscenizacji **„Sprzedanej narzeczonej"** jest oprawa scenograficzna **Vojtecha Stolfy,** kompozycja zabudowań wiejskich, których biel harmonizuje i kontrastuje zarazem z błękitem nieba, zielenią trawy i czerwienią wielkich, stylizowanych kwiatów. Główny walor scenografii Stolfy leży jednak przede wszystkim w jej emocjonalnej więzi z muzyką. Nie chodzi tu oczywiście o szczegółowe korelacje między muzyką i obrazem, lecz ogólny, wyraźnie jednak wyczuwalny sposób oddziaływania na psychikę widza i słuchacza. Kolorystyczna zgodność kostiumów (Alojs Vobejda) z dekoracjami, dążenie do zgodności ruchu scenicznego z rytmem muzyki pogłębiają to wrażenie i jest to na pewno osiągnięcie czeskich realizatorów spektaklu.

W operze jako teatrze muzycznym rolę pierwszoplanową odgrywa słowo śpiewane i muzyka, spełniająca wielorakie zadania, służąca jednak przede wszystkim ekspresji uczuciowej. Słowo śpiewane — recytatywy, arie, duety, zespoły i chóry bardzo się Smetanie w „Sprzedanej" udały, czeskie je bogata inwencja melodyczna, świetna charakterystyka postaci i sytuacji, podkreślona mistrzowsko opracowaną partią orkiestrową. Niestety, właśnie na skutek zbyt silnego eksponowania partii orkiestrowej, słowo śpiewane ciągle właściwie znajdowało się na drugim planie, nie było też śpiewane pięknie, ponieważ śpiewacy podejmując dość beznadziejną walkę z orkiestrą — śpiewając „przeciw orkiestrze" forsowali głos, używając przeważnie jednej tylko dynamiki, mianowicie „forte". Śpiewanie forte stało się złym przyzwyczajeniem naszych śpiewaków operowych, którzy przestają już respektować znaki dynamiczne nawet tam, gdzie okoliczności pozwalają na śpiewanie piana czy pianissima, jak np. w pierwszej części słynnego sekstetu „Sprzedanej narzeczonej", wykonywanego prawie że bez udziału orkiestry. Odnieść można wrażenie, że każdy z solistów śpiewa głośniej niż trzeba, żeby dowieść, że „ma się ten głos". Ba, niechby tylko spróbował popisać się sztuką „bel canta" przy zbyt głośno grającej orkiestrze, albo na tle głośniej śpiewających kolegów, wnet by naraził się na zarzut, że — nie ma głosu i dalsze niemiłe tego konsekwencje.

Więc błędne koło? Bynajmniej. Kiedy śpiewacy „krzyczą — jak dosadnie wyraża się Mozart — winę za to ponosi orkiestra!" (cytuję za Horowiczem). Wiadomo, że orkiestry nie lubią grać „piano" i trzeba je do tego „nakłonić". Że orkiestra może grać „piano" przekonało nas kilka pięknie zagranych fragmentów w trzecim akcie, przekonała nas Orkiestra Gewandhausu, współpracująca z Operą Lipską, która dała w Łodzi kilka spektakli, orzekonała nasza orkiestra na nie tak dawnej premierze „Traviaty". Sprawa właściwych proporcji pomiędzy słowem śpiewanym a muzyką orkiestrową, to także niezwykle ważna kwestia czytelności tekstu literackiego, który winien dochodzić do uszu słuchacza bez specjalnego wysiłku z jego strony, bez ustawicznego wytężania uwagi, żeby cokolwiek zrozumieć z tego, co jest śpiewane, bo w końcu staje się to męczące i denerwujące. Jest to także podstawowy warunek upowszechnienia sztuki operowej i pozyskiwania nowych słuchaczy, których — nierozumienie (niedosłyszenie) warstwy słownej może raz na zawsze zniechęcić do teatru operowego. Czy istotnie trzeba jeszcze o tym kogokolwiek przekonywać?

Postawmy kropkę nad „i". Jeżeli wokaliści śpiewają za głośno, winę za to ponosi orkiestra; jeżeli orkiestra gra za głośno, odpowiada za to dyrygent.

Dyrygenci operowi zbyt często dają się ponosić temperamentowi. Temperament u dyrygenta — rzecz cenna (zwłaszcza, że nie tak znów często spotykana), jeszcze jednak cenniejsza, jeśli umie się go trzymać na wodzy. Niezbyt to wdzięczna rola; przypominanie tych podstawowych prawd, czynię to z obowiązku recenzenta, nie bez przykrości. Jestem jednak przekonany, że jest to po prostu sprawa nieuświadomienia sobie pewnych spraw, jak np. właśnie owych niewłaściwych proporcji pomiędzy sceną i orkiestronem, które inaczej słyszy się przy pulpicie dyrygenta, inaczej na widowni. A przecież na próbach był chyba obecny i współpracujący dyrygent i asystent dyrygenta i cały szereg innych osób. I może wystarczyłaby jedna uwaga, by je skorygować.

Orkiestra grała czysto i precyzyjnie. Brawurowo zabrzmiała uwertura, nie mniej dobrze wszystkie tańce, ritornele i taczniki — zastrzeżenia mam głównie do strony dynamicznej. Chór przygotowany przez **Zbigniewa Pawelca** śpiewał czysto, choć niezbyt piękną barwą — i tu zaważyła za głośna gra orkiestry. **Choreograf Rudolf Karhanek** postawił przed zespołem baletowym zadania niezbyt skomplikowane. Była w nich na pewno zachowana wierność z folklorem, tańcom brakło jednak fantazji i rozmachu, który emanuje ze smetanowskiej muzyki.

Wszyscy aktorzy operowi, ze świetnym **Stanisławem Michońskim** na czele (Kecal) wywiązali się ze swych zadań bardzo dobrze. Marzenka była **Teresa May-Czyżowska,** Jenikiem — **Tadeusz Kopacki,** Waszkiem — **Zbigniew Borkowski.** W pozostałych rolach wystąpili: **Tadeusz Gawroński, Stanisława Szopińska** (udany debiut aktorski), **Eugeniusz Niziol, Alicja Dankowska, Eugeniusz Szynkarski, Ewelina Kwaśniewska, Michał Marchut.**

Bogusław Madey, kierownik muzyczny spektaklu, prowadził „Sprzedaną narzeczoną" bardzo sprawnie i z dużym nerwem i gdyby nie owe dysproporcje dynamiczne pomiędzy warstwą wokalną i instrumentalną muzyki, można by mówić o pełnym jego sukcesie dyrygenckim. Wymagają one jednak w gruncie rzeczy tylko niewielkiej korekty. Jeżeli moja recenzja przyczyni się do tego, będę uważał, że spełniła ona swój cel.

ZYGMUNT GZELLA

WERTERYZM I POSTĘP CZASU

Przed kilku laty na łamach pism codziennych w Polsce można było przeczytać informację następującej treści:

„Wydarzeniem życia teatralnego NRD jest błyskawiczna kariera sceniczna debiutanckiej sztuki Ulricha Plenzdorfa „Nowe cierpienia młodego W." — opartej na noweli tegoż autora.

W swej sztuce Plenzdorf próbuje zrekonstruować portret młodego, zmarłego chłopca Edgara Wiebeau — aby poprzez ten zabieg ukazać niektóre rysy młodego pokolenia, dążącego, zresztą nie bezkrytycznie, do określenia swego miejsca w świecie — urządzonym przez dorosłych. Tytuł „Nowych cierpień młodego W." jest oczywiście aluzją do słynnej powieści Goethego — ale nie na tym tylko nawiązaniu kończą się związki sztuki z literackim manifestem werteryzmu sprzed 200 lat.

Wydaje się, że sztuką Plenzdorfa powinny się zainteresować polskie teatry, dążące do nawiązania kontaktu z młodą widownią."

Tyle informacja prasowa wraz z komentarzem.

Z **Ulrichem Plenzdorfem** spotkałem się na premierze jego sztuki w Teatrze Powszechnym. Interesowało mnie ogromne powodzenie **„Nowych cierpień młodego W."**, zwłaszcza na obszarze języka niemieckiego.

— To nie zabiegi formalne ani świadome odwołanie się do Goethego — powiedział Plenzdorf — **stało się przyczyną takiego zainteresowania. Upatrywać je można w problematyce utworu, korespondującej ze współczesnością, z przeżyciami młodego odbiorcy. Świadczą o tym także liczne spotkania z widzami i czytelnikami którzy gorąco dyskutują o postawie młodego pokolenia, o jego problemach i sytuacji w socjalistycznym społeczeństwie dorosłych.**

Problem **werteryzmu,** jako postawy etycznej, w Polsce nigdy nie istniał. Mogą tylko niepokoić zbyt liczne samobójstwa młodych ludzi, ale są one, mimo wszystko, na tyle sporadyczne, że nie stwarzają problemu o większym znaczeniu. To raczej publicystyka, film, literatura rozdmuchuje te wydarzenia szukając w nich sensacji i dramatyzmu. Zapomina się wówczas o tysiącach młodych, którzy są twórczymi ludźmi pióra, teatru, filmu, inżynierami, lekarzami, naukowcami a młodzi zdobywają laury olimpijskie w sporcie, w fizyce, chemii, matematyce itp. Szuka się bohatera wśród marginesu i „nieudaczników", a nie wśród ludzi tworzących naszą rzeczywistość, z zapałem, z pasją, walcząc z postawą konformistyczną. Czy nie jest to prawdziwe bohaterstwo? Dlaczego wzorcem postępowania ma być „urokliwy" nierób, a nie twórczy umysł, pełen niepokojów i wewnętrznych niedoskonałości? Dzisiaj w społeczeństwie ludzi kształcących się (Polska zajmuje czołowe miejsce) niejednokrotnie młodzi ludzie ukrywają dyplomy, aby nie stracić autorytetu i pieniędzy. Działanie takie jest oczywiście społecznie szkodliwe ale silnie zakorzenione w świadomości społecznej. Być może dlatego bohater typu wałkonia z „Poślizgu", czy Edgara Wiebeau jest tak popularny i o dziwo przez wielu akceptowany.

Snując niewesołe refleksje, o obejrzeniu spektaklu w Teatrze Powszechnym wypada zadać pytanie dlaczego **„Nowe cierpienia młodego W."** znalazły się na scenie? Wydaje się, że przyczyna jest niezwykle prosta. Teatr, który chce podejmować problemy młodych musi niejednokrotnie grać wszystko, skoro cierpi na chroniczny brak dramaturgii o problemach współczesnej młodzieży. Ale...

Powiedzieliśmy sobie, że Ulrich Plenzdorf modeluje swego bohatera na przedstawiciela marginesu, że obdarza go mentalnością „promila". A kiedy poddać analizie jego utwór wypadnie jeszcze gorzej. Dramaturgia, którą prezentuje Ulrich Plenzdorf jest na tyle epicka i narracyjna, że stanowi przykład powieści rozpisanej na głosy. Wszystkie postaci oprócz Edgara Wiebeau, są papierowe i pozbawione jakichkolwiek wartości aktorskich. Są bardziej satelitarne niż zróżnicowane poprzez modus struktury, a więc pozbawione także podstawowej dynamicznej funkcji. Zaważyło to w dużej mierze na przedstawieniu.

Reżyser, **Andrzej Marczewski,** zdawał sobie sprawę z owej satelitarności postaci i dlatego poszedł w kierunku podkreślenia elementu monodramatycznego. Udało mu się to w kompozycji postaci tytułowej, natomiast w układzie zdarzenia dramatycznego trudno byłoby znaleźć element monodramatyczny i dlatego przedstawienie w tej warstwie się załamuje. Dysonansowa struktura spektaklu jest jednak rekompensowana interesującym w swej gestyczno-ruchowej frazie, aktorstwem **Bronisława Wrocławskiego** (Edgar Wiebeau). Podziwiamy jego sprawność warsztatowa, która mimo to nie potrafiła przezwyciężyć złego wrecz warsztatu dramaturgicznego Ulricha Plenzdorfa. Albowiem brak tu konsekwencji intelektualnej i motywacji psychologicznej. **Bronisław Wrocławski** budził sympatię swoją osobowością, a nie osobowością Edgara, chwilami chciało się odrzucić racje bohatera sztuki Ulricha Plenzdorfa, a dyskutować z reżyserem i z aktorem.

Fot. A. Brustman

Miałkość literacka i dramaturgiczna spowodowała skrzętne ukrycie aktorów, którzy spełniali funkcje mniej niż skeczowe, a szkoda, zwłaszcza kiedy widzi się na scenie takich aktorów, jak **Mirosław Sznort, Aleksander Fogiel, Czesław Przybyła, Bogdan Wiśniewski, Włodzimierz Saar** czy **Małgorzata Rogacka-Wiśniewska.**

W miejsce dramaturgicznej konstrukcji, której niestety zabrakło, **Bogdan Pawłowski,** jeden z ciekawszych kompozytorów teatralnych w Polsce zaproponował świetną muzykę o głębokich wartościach dramatycznych. Stała się ona zasadniczym kompenentem spektaklu, tworząc nastrój dla budowania roli Edgara Wiebeau i konstruowania funkcjonalnej acz kontrowersyjnej scenerii.

W sumie spektakl budzi olbrzymie wątpliwości, zwłaszcza w swej warstwie ideowej. Albowiem podczas gdy werteryzm w niemieckiej literaturze jest żywy, w naszej tradycji literackiej istnieje tylko jako utwór Goethego w sensie historycznym i nie ma nic wspólnego z polską literaturą XIX i XX wieku, a tym bardziej jest martwy współcześnie.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Ulrich Plenzdorf — „Nowe cierpienia młodego W.", przekład: Maria Wisłowska, reżyseria: Andrzej M. Marczewski, scenografia: Olaf Krzywinski, muzyka: Bogdan Pawłowski. Teatr Powszechny w Łodzi, premiera 22 grudnia 1974 r.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

JESZCZE RAZ O TYM SAMYM

Razem z pismem prof. dr K. Dejny, który przedstawił swój punkt widzenia na temat zasygnalizowany w felietonie „Wstydliwa sprawa" przysłano nam anonim, podpisany Georges Bilmański. Autor – człowiek bez wątpienia inteligentny i bez wątpienia filolog polski – wie na pewno (bo wie to każde dziecko), że redakcje nie publikują anonimów.

Stąd więc fragmenty owego anonimu znaleźć się mogą tylko w rubryce – także nie podpisanej nazwiskiem. Tylko, że zwyczaj podpisywania się kryptonimami przez felietonistów ma w polskiej prasie wiekową tradycję, nie stworzono natomiast (na szczęście) tradycji publikowania anonimów. W dalszym ciągu tego felietonu Georgesa Bilmańskiego nazywać się będzie Anonimem.

Autorowi bardzo zależało, abym się zapoznał z Jego opinią na mój temat. Otóż – twierdzi Anonim – mój pobyt na polonistyce był „krótki i bezowocny". Osobiście nie bardzo rozumiem, jaki to mogłoby mieć związek z tzw. meritum sprawy. Powiedzmy jednak, że ma. Nie jestem więc filologiem polskim – jestem tylko polskim pisarzem. No i co z tego? Czy fakt ten nobilituje racje Anonima, a degraduje moje?

Anonim pisze: **„Filologowie polscy w UŁ, będąc odpowiedzialni za kształcenie młodzieży w swoim zakresie do ważnych społecznie zadań, czują się obowiązani do stanowczego sprzeciwu wobec zamiaru nadawania dyplomu magistra filologii polskiej tym, którzy nie poczuwają się do opanowania wystarczająco wiedzy o języku ojczystym i literaturze i nie piszą na te tematy prac dyplomowych".** Koniec cytatu.

Chociaż zachwyciła mnie lekkość i finezja tego stylu, nie będę nikogo przekonywał, że takim „językiem ojczystym" powinien się wypowiadać dyplomowany filolog polski. Może więc lepiej, że Anonim nie podpisał się swoim nazwiskiem?

Cytuję dalej Anonima: **„Osób n.p. które ostatnio na trzecim roku zaliczyły terminowo studia z wynikiem co najmniej dobrym i przez to uzyskały prawo do indywidualnych planów, było 17 (słownie: siedemnaście). Jeśli z tego nawet połowa wybiera tematy prac dyplomowych z pogranicza podstawowych dyscyplin i filmologii czy wiedzy o telewizji czy wreszcie teatrologii – nie ma żadnego problemu. Ale nie o nie chodzi. Raczej o tych, co notorycznie uzyskując państwowe oceny z przedmiotów kierunkowych geniuszami się uznają z filmologii etc. i chcą prześliznąć się przez seminarium magisterskie uchylając się od merytorycznego nakładu pracy w dziedzinie, z której mają otrzymać dyplom i wypełniać obowiązki".** Koniec cytatu.

„Ale nie o nie chodzi", że posłużę się stylem Anonima.

Pisze on bowiem na pierwszej stronie listu, żebym „oduczył się mętnych insynuacji", bowiem dobrze wiem, że „nigdy na UŁ nie było magisteriów z filmologii, wiedzy o telewizji etc". Natomiast na drugiej stronie listu pisze, że nie ma żadnego problemu, jeśli nawet połowa studentów „wybiera tematy prac dyplomowych z pogranicza podstawowych dyscyplin i filmologii czy wiedzy o telewizji..."

No, więc jak? Są te magisteria z filmologii czy ich nie ma? Jeśli Anonim zdradza tu niezdecydowanie, to skąd może wiedzieć felietonista?

A teraz poważnie.

Każdy mniej więcej oczytany człowiek wie, czym jest felieton. Jan Józef Lipski (doktorat z filologii polskiej uzyskany w 1966 roku, obecnie, zdaje się, docent – to informacje dla Anonima) pisze, że **„felieton jest gatunkiem z pogranicza literatury i publicystyki (...) na ogół nosi piętno wyraźnego, nie ukrywanego subiektywizmu, na koniec – iż ujęciami właściwymi felietonistyce są – humor i satyra".**

To – mam nadzieję – wyjaśnia sprawę. Nie wyważałem po aptekarsku racji stron, pisałem subiektywnie, złośliwie i prowokująco. Pisałem o sprawie, którą huczał cały Wydział. Nie tylko miałem do tego prawo, ale i obowiązek. Trudno mi natomiast odpowiadać za znaczenia i podteksty, które niejako dopisali czytelnicy felietonu. Trudno też przypuszczać, jaki obrót przybrałyby sprawy, gdybym usłuchał ostrzeżeń przyjaciół i poniechał pisania. Na pewno nie wylano by na moją głowę wiadra pomyj na pewnym zebraniu. Na pewno nie pisano by anonimów i skarg do władz. Ale czy zmieniłaby się sytuacja studentów, którzy przyszli na UŁ, aby specjalizować się w filmologii i teatrologii?

Mimo wszystko mam nadzieję, że sytuacja ta się zmieni, że aktualnie studiujący będą mogli pisać prace dyplomowe z teatru i filmu, ci natomiast, którzy przyjdą za rok czy dwa, będą wreszcie mieli do dyspozycji nowy kierunek studiów. W tym punkcie zgadzam się z Anonimem – uruchomienie nowego kierunku wydaje się koniecznym i skutecznym rozwiązaniem prestiżowych i kompetencyjnych sporów. W innym razie zawsze pozostaną sporne problemy. Nowela filmowa jest jeszcze literaturą i przynależy do filologii, scenariusz już trochę mniej, a scenopis? Rozdzielając w ten sposób kompetencje można rzeczywiście dostać krećka.

Niechże więc wreszcie te sprawy ktoś ureguluje!

I z tych intencji powstał mój z gruntu niesłuszny, pełen insynuacji, złośliwości i subiektywizmu felieton. A tak na marginesie. Wolę mieć subiektywny, niesłuszny pogląd i się z nim utożsamiać – niż mieć pogląd całkowicie słuszny, zgodny z przepisami – i się z nim nie zgadzać.

WIDOK

LEWYM OKIEM

APETYT NA PYZY

Nikt nie jest tak zazdrosny o człowieka, jak jego własny pies. Jest to jedno ze zwierząt, które całkowicie straciły umiejętność egzystowania bez pomocy ludzkiej, są bezradne, skazane na łaskę i niełaskę. Pies nie jest głupi i zdaje sobie sprawę ze swej nędzy i uzależnienia. Jest też jedynym ze zwierząt, które nienawidzi wszystkich ludzi oprócz swych domowników, w imię miłości i wierności dla tychże. Jest jedynym zwierzęciem, które na lada gwizdnięcie swego pana albo i bez tego, gotowe jest rzucić się wściekle na każdego obcego. Czy widzieliście kiedy, żeby bardzo mądre stworzenie – koń – dało się napuścić na zaatakowanie wskazanego „wroga"? Czy zdołał kto kiedy wytresować kota albo delfina na pomocnika służby więziennej, lagrowej, oprawczej?

Psi język – jeśli za taki uznamy odgłosy szczekania, wycia, skomlenia – jest ohydny i trudny do zniesienia. Nitka śliny wiszącą wiecznie u pyska buldoga może odebrać apetyt nawet na mrożone pyzy pod tytułem „nowość", nawet na sok brzoskwiniowy „Dodoni". Ciała setterów, dobermanów i innych są zawsze mokre i lepkie od potu i gdyby to ludzie, czy choćby ludziki – dzieci, nie psy, zostawiały po sobie mokre plamy na kanapach i dywanach, wszyscy odwróciliby się od nich ze wstrętem. Psa jednak klepie się po tym wilgotnym karku, zajadając jednocześnie delikatesowe krakersy z bryndzą.

To nieprawda, że ludzie są dobrzy wobec tych, których kochają. Prawdą jest coś przeciwnego: kochamy tych, wobec których uważamy się za dobrych. Bardzo łatwo być „dobrym" dla psa, to znaczy nakarmić go i przewietrzyć, a czasem trzepnąć przez łeb. O wiele łatwiej niż być dobrym dla niedołężnego staruszka. Dlatego nikt nie kocha niedołężnych staruszków, a wszyscy kochają psy. Nienawidzi się tych, których się skrzywdziło i o których się wie, że o tym wiedzą. Pies nie umie pamiętać krzywdy, a przynajmniej nie da tego po sobie poznać. Można więc uważać, że mu się niczego złego nie przyczyniło, co znakomicie likwiduje powody do ewentualnej niechęci. Żadna niechęć nie mąci zatem naszej do psów miłości.

Pies daje swemu panu łube poczucie absolutnej władzy i okazuje bez przerwy, jak szczęśliwy jest z tej nad nim sprawowanej dyktatury. Nie wierze, że posiadanie psa nastraja człowieka sympatycznie wobec ludzi. Przeciwnie – podejrzewam, że pies pomaga znakomicie nie lubić ludzi, ogniskuje na sobie resztki pozytywnych odruchów, na jakie stać jego pana. To ostatnie nie dotyczy małych dzieci, którym obcowanie z każdym żywym stworzeniem daje mnóstwo radości i pozwala wykształcić elementarne uczucia solidarności wszystkiego, co żyje. Chociaż... Chociaż znam dzieci, które stały się kalekami, bo kiedyś próbowały uciekać przed szczerzącym kły wilczurem.

Od niedawna pies uzyskał nową cechę użytkową, sprawiającą, że miłość do niego nie jest już taka bezinteresowna, jak to się kiedyś wydawało: jest rekwizytem, podnoszącym prestiż społeczny właściciela. Kiedy pan Jourdain stawał się szlachcicem, polecił kupić sobie obraz, ale drogi. Kiedy miesięczne dochody pani i pana domu przekraczają koszty utrzymania ich dwojga plus jedynak w amerykańskich rajflach, kupuje się psa co wyszukańszej rasy. W mikrusie mógł siedzieć szpic, do Wartburga pasuje chow-chow, do Fiata konieczne uzupełnienie stanowi jakiś ogromnie rzadki super-dayle-dober-terrier, czy jak je tam zwać. Widuję takiego pana z ogromnym, bezwłosym psiskiem. Łeb tego psa jest dwukrotnie większy niż łysa głowa jego właściciela. Wszyscy się za nimi oglądają i pan jest dumny, chociaż oglądają się za psem. Bez psa – czym byłby bez taakiego psa?

Podobno w Łodzi żyje około dwudziestu tysięcy psów, czyli średnio jeden na 35 mieszkańców. Do tej statystyki walnie przyczynia się mój dom, gdzie jeszcze tylko dwóch lokatorów nie sprawiło sobie złamanego pinczerka. Zza każdej ściany coś skomli i wyje, jeśli u mnie też coś wyje – to ja sam, ze złości. Z żalu nad samotnie zamkniętym psem piętro wyżej. Gdy wieczorem otwieram drzwi sieni, spod nóg pryskają mi z przerażonym fukaniem koty. Nie wiedzą, że nie mają się czego bać, że to ja czuję się bardziej niepewnie w ciemności niż one. Ale kotów nikt sobie nie sprawił, żyją wolno i dziko po piwnicach, litościwe panie otwierają im drzwi od tych piwnic, żeby sobie biedactwa biegały. Za biedactwami wchodzą do piwnic urodzeni w niedzielę, siusiają tam albo się kochają. Kotom to jakoś nie przeszkadza.

Wydano natomiast zarządzenie w sprawie psów. O kotach jeszcze nie słychać. Według zarządzenia właściciele psów są zobowiązani usuwać spowodowane przez nie zanieczyszczenia. Już widzę grupy starszych pań i panów, uganiające z łopatkami po trawnikach i dokoła dwóch ledwie zipiących krzaczków. Zarządzenie mówi też, że w razie zauważenia jakichkolwiek objawów choroby u psa jego właściciel lub nawet i kto inny powinien niezwłocznie zawiadomić właściwą Administrację Domów Mieszkalnych.

Pytałem w administracji pewnego spółdzielczego osiedla, co z takimi zawiadomieniami robią. Spotkałem się z wymownym milczeniem. Przeczytano o zarządzeniu w gazecie i z przerażeniem myślą, co będzie, jeśli pani Styś doniesie, że jamnik pani Ptyś ma zołzy. Co ma się dalej dziać? Weźmiemy jamnika pod obserwację? Zamkniemy w świetlicy? Damy mu na przeczyszczenie?

ĆWIEK

POLEMIKI

PASZKWIL i nieporozumienie

Dwaj znajomi mego przyjaciela bardzo lubią spotykać się na pogawędce. Ale czynią to nader rzadko, gdyż nadzwyczaj zgadzają się z sobą i uważają, że często mówienie tego samego na ten sam temat jest nieciekawe i nudne. Czytając felietony Andrzeja Hampla w „Dzienniku Łódzkim" nigdy wprawdzie się nie nudziłem, ale też nie mogę powiedzieć, aby różniły nas poglądy. Andrzej Hampel pisuje rzadko, ale też podczas lektury tego, co napisał, odczuwałem odrobinę zawodowej zazdrości – do czego otwarcie się przyznaję – że choć myśląc tak samo jak on, sam tego wcześniej nie napisałem.

Ale tym razem nie ma zgody Mości Andrzeju. Nie ma zgody na **„Paszkwil na redaktora Mikołajczyka"**, choć Andrzej Hampel pisząc go przyznaje się:

„Piszę ten felieton z niejakim zażenowaniem, bowiem łapię się na tym, że red. Mikołajczyk staje się moją obsesją".

Kiedyś uczyli w szkole, że o gustach nie należy dyskutować, powtarzając za starożytnymi Rzymianami, że **„de gustibus non disputandum"**. Jednemu bowiem podoba się rzeczowy i konkretny, choć wymagający Jerzy Ambroziewicz, innemu – salon Ireny Dziedzic. Mnie na przykład nie podoba się sposób, w jaki z Kuby relacjonuje Bartosz Janiszewski i wolę, jak takie sprawozdanie robi Stanisław Cześnin, ale też nie mam zamiaru z tego powodu stawiać zarzutu Polskiej Telewizji. Zawsze uważałem i uważam, że program telewizyjny należy przede wszystkim oceniać na podstawie poruszanych w nim problemów, a nie tylko przez pryzmat osób, które te problemy prezentują. Nie mam też zamiaru odbierać Andrzejowi Hamplowi prawa do jego obsesyjnych sympatii i antypatii nawet wtedy, gdy publicznie się z tego zwierza. Ale przecież jemu nie tylko chodzi o obsesyjną antypatię do Edwarda Mikołajczyka.

„Telewizyjny program „Wszystko za wszystko" – pisze w „Dzienniku Łódzkim" Andrzej Hampel – **ma niezłe tradycje. Pamiętamy zapewne wszyscy jego początki w 1972 roku, kiedy Krzysztof Teodor Toeplitz, mając do pomocy kilku ekspertów zapraszał do studia ciekawych i znanych ludzi, zadawał im kłopotliwe pytania i znakomicie reagował na ich również cięte riposty. Była to niezła zabawa, zarówno dla tych w studio, jak i dla telewidzów, zabawa, dodajmy, prowadzona często nie w białych rękawiczkach".**

Nie chciałbym być posądzony o obronę chamstwa i złego wychowania. Uważam jednak, że w naszej telewizji, ponad miarę ugrzecznionej, odświętnej nawet w dzień powszedni, bardzo przydają się ludzie w rodzaju Edwarda Mikołajczyka. Ich rola polega na tym, że rozsadzają oni sakralną niemal konwencję telewizji. Zamiast zadawać powszechnie przyjęte pytania w rodzaju: „Co u pana słychać, panie dyrektorze? – zadają pytania zaskakujące i agresywne w tonie. I to widać denerwuje. Denerwuje nawet ludzi, którzy niejako zawodowo są predysponowani do zadawania pytań kłopotliwych, szukania prawdy w imię społecznych celów. Andrzej Hampel kilka już razy miał odwagę sprzeciwić się ogólnie przyjętym sądom i wcale przy tym nie był ponad miarę grzeczny. Skąd więc nagle ta delikatność? Czyżby powszechnie panująca w telewizji kokieteria, która dotarła nawet do zapowiedzi programu na dzień następny, wywarła na nim niezatarte wrażenie?

Być może Edward Mikołajczyk nie otrzymał nader starannego wychowania i byłoby wskazane, aby trochę popracował nad sobą i swoim sposobem bycia. Ale uważam, że stałoby się ze szkodą dla telewizji i procesów, jakie ona obecnie przechodzi, gdyby ludzie w rodzaju Edwarda Mikołajczyka czy Jerzego Ambroziewicza, a nawet Janusza Rolickiego zniknęli z telewizyjnych ekranów. Ich rola – w moim przekonaniu – polega na przełamywaniu ugrzecznienia telewizyjnego, sakralnej sztampy. Że są inni? To się u nas zawsze nie podobało. Ale to dobrze, że są inni. Byłoby bowiem nie do zniesienia, gdyby wszyscy byli jednakowo ulizani, ugrzecznieni i sympatyczni. Może czasem ich arogancja przypomni temu i owemu, że takie pojęcia, jak: „dyskusja", „różnica poglądów", „polemika", „własne zdanie" mają zupełnie inne znaczenie niż to się powszechnie niemal przyjęło uważać. Może pomogą zrozumieć, że stając przed kamerą i mikrofonem trzeba mieć coś do powiedzenia kilku milionom Polaków, a nie tylko slogany i komunały.

A poza tym uważam, że zasługą nowych animatorów programu „Wszystko za wszystko" jest zerwanie z prezentowaniem ludzi i tak już znanych ze swojej twórczości, popularnych przez to, co dobrze robią, na korzyść ludzi mało znanych, a wartych poznania, których nigdy nie można byłoby pokazać w audycjach typu „salon Ireny Dziedzic". Bardzo się cieszę, że dzięki Edwardowi Mikołajczykowi mogłem bliżej poznać Albina Kosterzewskiego i Józefa Zielińskiego. I uważam ponadto – że zasługą E. Mikołajczyka jest nawet to, iż ludzie ci wynadli bardziej interesująco na jego tle. Życzę nowym animatorom i E. Mikołajczykowi dalszych sukcesów w pokazywaniu takich właśnie ludzi.

Chciałbym też przypomnieć, że telewizja, adresując swoje programy do wielomilionowej widowni, nikogo nie zmusza do oglądania wszystkiego. A prezentując dwa programy daje możliwość wyboru. Jeśli więc komuś nie podoba się audycja z Edwardem Mikołajczykiem, czy z kimś jemu podobnym, to może przełączyć się na inny program. Nieszczęście byłoby dopiero wtedy, gdybyśmy w obu programach TVP musieli oglądać audycje utrzymane w konwencji salonu Ireny Dziedzic. Chroń nas Prezesie przed takim nieszczęściem!

MARCIN RODAK

KLUB 12 KRZESEŁ

Tytuł znanej satyrycznej powieści Ilfa i Pietrowa stał się tytułem ostatniej strony „Litieraturnej Gaziety". Ambitny i zobowiązujący to antenat. Mogliśmy się ostatnio przekonać, że wnuczek jest godny dziadka. Oto Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe opublikowały książeczkę „Klub 12 krzeseł", będącą wyborem z ostatnich lat owych żartów, humoresek i anegdot opublikowanych w popularnej „Literaturce".

Wybór opracował Arnold Mostowicz, a tłumaczyli razem z nim Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski. Książka jest prześmieszna, a przedsmak owej uczty humoru daje już wstęp kierownika działu humoru i satyry „Litieraturnoj Gaziety", który nazywa się (nomen omen) Wiktor Wiesiołowski. Pisze on: „Trzeba powiedzieć, że osiągnęliśmy niemały sukces. Jeśli przedtem naszych dowcipów nie rozumieli poszczególni towarzysze, to teraz już poszczególni towarzysze rozumieją nasze poszczególne dowcipy".

Nie sposób opowiedzieć tę książkę, która zawiera kilkadziesiąt tekstów kilkudziesięciu autorów. Dlatego też niebawem zaprezentujemy naszym Czytelnikom skromny wybór humoresek i satyr z „Klubu 12 krzeseł".

„Klub 12 krzeseł", Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 25 zł.

WSZYSTKIE NASZE CIEMNE SPRAWY

Pierwszy tom „Kibiców" Jerzego Urbana rozszedł się spod lady w ciągu paru godzin. Nie czekaliśmy długo, a już wydawnictwo Literackie serwuje nam tom następny, co zresztą nie dziwi, bo Urban pisze w „Kulisach" z regularnością zegarka i wciąż przybywa tych przezabawnych, a pouczających opowieści.

Tym razem Wydawnictwo zmniejszyło objętość książki, nie zmniejszając ceny – podniosło natomiast nakład do 50 tysięcy egzemplarzy. Teraz „kryminałki" Urbana poleżą w księgarni parę dni, zamiast parę godzin. Nie są to zresztą typowe kryminały. Jerzy Urban tropi nie tyle wykroczenia przeciwko poszczególnym paragrafom kodeksu karnego, co śledzi naszą współczesną obyczajowość. A ponieważ wiadomo, że wszystko w życiu prędzej czy później zawadza o paragraf – więc i większość tych opowiadań zaczyna się lub kończy na sali sądowej.

Jest jeszcze inna rzecz, która różni opowieści Urbana od standardowych kryminałów. Tym wyróżnikiem jest język – oryginalny, typowy tylko dla Urbana. Po tym stylu pisania, dowcipnym, precyzyjnym, a jednocześnie rozwichrzonym, na kształt potocznej frazy – można Urbana poznać, choćby się podpisywał dziesiątkami pseudonimów.

Jerzy Urban „Wszystkie nasze ciemne sprawy", Wyd. Literackie, cena 45 zł.

WSPÓŁCZESNA LITERATURA POLSKA

Ciągle się słyszy narzekania na brak syntetycznych a jednocześnie dostatecznie obszernych opracowań polskiej literatury współczesnej. Prawdę mówiąc, to publikacji na ten temat nie brakuje, wystarczy wymienić już nie tytuły, ale nazwiska autorów – Maciąg, Kwiatkowski, Matuszewski, Sandauer, Wyka, Lam... A jednak brak jakiejś syntezy przydatnej dla potrzeb szkół.

Myślę, że tę lukę wypełni książka Stanisława Burkota i Mariana Stępnia „Współczesna literatura polska". Jest to – jak piszą autorzy – przewodnik po literaturze, którego celem byłaby pomoc w czytaniu i rozumieniu utworów najnowszych. Nie kładą więc autorzy nacisku ani na informację o pisarzach, ani na ocenę wartości poszczególnych dzieł. Większą natomiast uwagę skupiono na objaśnianiu złożonych elementów poetyki i stylistyki. Dlatego też tak wiele miejsca zajmują w tej książce analizy konkretnych utworów literackich, analizy odpowiadające na pytania, jak dzieło jest „zrobione" oraz co ono znaczy.

„Współczesna literatura polska" zajmuje się dziejami pisarstwa po roku 1939. Autorzy koncentrują się przede wszystkim na dziele literackim – nie piszą wszak podręcznika historii literatury, ale zajmują się wewnętrzną strukturą konkretnych dzieł, ich kształtem językowym i kompozycyjnym. W sumie jest to rzetelny i solidny przewodnik, po ścieżkach współczesnej literatury, który powinien dotrzeć do rąk każdego polonisty, co jest, niestety, niemożliwe. Nakład wynosi bowiem 30 tysięcy egzemplarzy, czyli o 50 tysięcy mniej niż choćby kryminał mister Chandlera „Wysokie okno", a o 70 tysięcy mniej niż kryminał mister Allinghama „Jak najwięcej grobów".

Stanisław Burkot i Marian Stępień „Współczesna literatura polska", Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, cena 27 zł.

ANTOLOGIA

Stosunkowo niedawno, bo w Roku Kopernikowskim, w Wydawnictwie „Pojezierze" ukazała się ciekawa i starannie opracowana antologia wierszy o wielkim astronomie. W tych dniach znalazła się na półkach księgarni antologia wierszy o Koperniku, wydana przez PIW. Oczywiście wielki polski uczony wart jest nawet dziesięciu antologii pod warunkiem, że będą one czymś nowym w stosunku do wydań poprzednich.

Antologia PIW-u, a taką nowością jest na pewno, przede wszystkim jeśli chodzi o stronę graficzną, bardzo pięknie zaprojektowaną przez Franciszka Starowieyskiego. Ze względu na znakomity gatunek farb drukarskich jest to także nowość – antologia PIW-u posiada specyficzny zapach, co jest na pewno ewenementem na europejską skalę.

Poza tym zarówno nazwiska poetów jak i wiersze raczej się powtarzają – nic zresztą dziwnego. Zaczyna się antologia od Jana Dantyszka, kończy na Stefanie Flukowskim, jakieś nazwiska przybyły, innych zaś – uwiecznionych w zbiorze „Pojezierza" – brak. Większych różnic jednak nie ma. Dziwne tylko, że autorzy publikując wstęp pt. „Poezja polska w hołdzie Mikołajowi Kopernikowi" nie wspomnieli ni słowem o pionierskiej i obszernej antologii „Pojezierza". Za najcenniejsze w tej książce należy uznać przypisy, bardzo wyczerpujące, przypominające wiele zapomnianych nazwisk i spraw oraz wstęp erudycyjny i ciekawy. W sumie jednak antologia PIW-u jest dublowaniem zbioru wydanego w „Pojezierzu". W przekonaniu, że w stolicy wszystko robi się lepiej, powtórzono więc temat, pomijając lekceważącym milczeniem Wydawnictwo „Pojezierza".

„Obroty słów serdecznych" – antologia poezji o Mikołaju Koperniku, PIW, cena 40 zł.

WOJSKO W LITERATURZE

Temat „wojsko" w polskiej literaturze jest niezwykle bogaty, dość powiedzieć, że pierwszy bodaj zabytek polskiej poezji „Bogurodzica" była przecież pieśnią wojskową. Historia nie szczędziła nam wojen – nic więc dziwnego, że literacki obraz wojennego trudu spisywany był przez całe dzieje naszego narodu.

Ale jak opisać wojsko w czasie pokoju? Jak opisać wojsko w momencie, który dla samej istoty wojska jest – do pewnego stopnia – nienaturalny? Jaki jest więc obraz współczesnego życia ludowego Wojska Polskiego?

Na to pytanie spróbowali odpowiedzieć uczestnicy sesji literackiej zorganizowanej przed ponad rokiem staraniem Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, Uniwersytetu Warszawskiego oraz Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego. Uczestniczyli w sesji wybitni literaci, krytycy, pracownicy naukowi, studenci humanistyki i oficerowie WP.

Niedawno nakładem Wyd. MON ukazał się obszerny tom materiałów z owego sympozjum w opracowaniu Felik Kuleja i Józefa Lewickiego. Tom zawiera dwadzieścia pięć wystąpień m. in. Jerzego Putramenta, Wojciecha Żukrowskiego, Janiny Broniewskiej, Mariana Rejniaka, profesorów: A. Jackiewicza, J. Z. Jakubowskiego, Z. Rybickiego oraz generałów N. Michty, T. Dziekana, J. Baryły.

Książka wydana przez MON jest ciekawa i cenna pod względem wartościowania, krytycznego rozbioru i oceny dokonań literackich związanych z tematem wojskowym w polskiej literaturze współczesnej.

„Wojsko w literaturze" Wyd. MON, cena 30 zł. J. W.

MAGAZYN
ODGŁOSY

EUGENIUSZ IWANICKI

STARY KAPRAL

W tym mieście osiedliłem się niedawno, toteż nic dziwnego, że usiłowałem poznać lokalne zwyczaje, ciekawszych obywateli, historię licznych pomników. Przemierzałem uliczki odczytując ich nazwy, zaglądałem na cmentarz chcąc odnaleźć kogoś ze znaczniejszych, którzy odznaczyli się w kolejnych wojnach lub powstaniach. Jednakże ani nazwy ulic, ani nazwiska zmarłych nic mi nie mówiły, nie były podobne do nazwisk znanych mi z podręcznika historii. Wobec tego postanowiłem zgłębić dzieje miasta w inny, może nie zupełnie tradycyjny, lecz jedyny w tych warunkach sposób. Zacząłem pytać moją gospodynię opiętą po szyję czarną suknią, jakby na nią przypadło noszenie żałoby za cały kraj i za wszystkie minione epoki. Była to kobieta oschła, wyniosła i pryncypialna.

Kiedy wspomniałem o swoich poszukiwaniach, spojrzała na mnie dziwnie i poradziła, abym po zapadnięciu zmroku nigdy nie opuszczał swojego pokoju. Nazajutrz nad swoim łóżkiem znalazłem zawieszony karabin francuski z czasów bitwy pod Verdun oraz szablę pokrytą ciemnymi plamami.

— Trzeba być w pogotowiu — wyjaśniła gospodyni.

Z braku zajęć zabrałem się do czyszczenia karabinu. Lufa z łatwością dała się oczyścić z rdzy, jednakże w żaden sposób nie umiałem wyjąć z komory starej łuski, która czyniła karabin zupełnie bezużytecznym. Lepiej powiodło się z szablą: po wyczyszczeniu błyszczała matowo i mogłem nią z powodzeniem rąbać drzewo na podpałkę. Pozostawała tylko sprawa nieopuszczania wieczorami pokoju. Z urywanych informacji, jakie gospodyni czasami rzucała przy stole, wynikało, że w mieście panuje stan wyjątkowy, że obowiązuje zaciemnianie okien oraz godzina policyjna. Wszystko to bardzo mnie podniecało. W tajemnicy przed gospodynią zacząłem nawet ćwiczyć fechtunek. Szło ciężko, gdyż szabla musiała należeć do wielkoluda. Jednakże po paru tygodniach osiągnąłem umiejętność cięcia z góry na dół.

Gospodyni spoglądała na mnie z wyraźną żałością i często wzdychała. Na jej stoliku przybywało coraz więcej szarpi i jodyny.

Pewnego wieczoru, kiedy usiłowałem wyjść z wiadrem po wodę, gospodyni schwyciła mnie za rękę:

— Nie można ryzykować. Dziś rozpoczyna się atak!

Słowo „atak" powtarzało się teraz częściej. A kiedy oboje z gospodynią uszyliśmy worki dla zabezpieczenia okien i kiedy siedzieliśmy w mrocznym i chłodnym pomieszczeniu, dowiedziałem się w końcu, że kapral Tymon znów wczoraj atakował. Zresztą — mówiła gospodyni — atak idzie za atakiem, a końca nie widać.

Pokonując strach rozdarłem jeden z worków zasłaniających okno i zacząłem obserwować ulicę. Spostrzegłem, że w momencie zapadania zmroku ulica pustoszeje, gasną światła, sklepikarze opuszczają na drzwi kraty. Potem noc zamazuje kontury i wszystko pogrąża się w czerń.

Z czasem przyzwyczaiłem się do moich obserwacji. Kładłem się na łóżku, przytykałem oko do dziurki w worku i godzinami patrzyłem w martwy pejzaż ulicy. Czasem dolatywały mnie przytłumione okrzyki i tupot podkutych butów, lecz po chwili kroki oddalały się i wracała cisza. Ale oto którejś nocy pojawił się nów; domy, sklepy, bruk, ogrodzenia i kwiaty w ogródkach pokryły się srebrzystym światłem, ożyły. Światło księżyca wydobywało utajone piękno śpiącego miasta.

Nagle zadudniły podkute buty, rozległ się przejmujący okrzyk: „Hurrraaa!".

Mocniej ścisnąłem rękojeść szabli i bliżej przysunąłem się do szyby. Już dudniło obok, prawie tuż pod oknem, słyszałem świszczący oddech biegnącego; jego wydłużony cień padał na bruk i rosnąc przesuwał się do przodu.

Właśnie księżyc zrzucił z siebie jakąś natrętną chmurkę, bo jego światło stało się intensywnie zielone i w tej zieleni dostrzegłem pochyloną sylwetkę kaprala idącego do ataku. Oburącz ściskał karabin z osadzonym bagnetem, nad szeroko otwartymi ustami bielił się wąs, a wyżej lśnił daszek rogatywki. Mundur miał wymięty, z plamami gliny, wypłowiały od słońca. Na plecach, na wybrzuszonym plecaku, ciemniała menażka. „...aaaaaa!" — niosło się wzdłuż ulicy i ginęło nad domami.

Usłyszałem sapanie. To moja gospodyni trzymając stary karabin klęczała obok łóżka.

— Atakuje. — Powiedziałem.

— Co noc — wyszeptała. — Trzydzieści lat temu podano komendę „do ataku" i zapomniano zatrąbić do odwrotu. Tak on atakuje, cięgiem atakuje, a przecież ledwo powłóczy nogami.

— Obowiązek przede wszystkim! — uderzyłem ręką o szablę i poczułem się zaraz pewniej.

KARYKATURY SŁAWOMIRA ARABSKIEGO

HENRYK CZYŻ

MIECZYSŁAW VOIT

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina..." K.I.G.

ZDARZENIE W AUTOBUSIE

Pewien znany łódzki reżyser filmowy jechał niedawno autobusem. Nagle ktoś głośno zawołał: „Ludzie?! Patrzcie, to przecież znany łódzki reżyser filmowy!" I wskazał dłonią reżysera. Wszyscy ze zrozumiałym zaciekawieniem zwrócili twarze w jego stronę. Wtedy reżyser skłonił się i powiedział: „Rzeczywiście jestem znanym łódzkim reżyserem filmowym i staram się jak mogę swoją twórczością służyć całemu społeczeństwu". Pasażerowie autobusu długo jeszcze oklaskiwali reżysera za jego skromne i dowcipne zachowanie.

CIEKAWY FILM

W Stanach Zjednoczonych nakręcono wreszcie ciekawy film, w którym ukazano, jakie wyniki można osiągnąć nie narzekając oraz systematycznie pracując. Bohaterami filmu są mrówki, akcja dzieje się w mrowisku, film nakręcili kapitaliści i kończy go włożenie kija, bo to ironia.

WZRUSZAJĄCA PROŚBA

W związku ze wznowieniem w telewizji obrazu „W pustyni i w puszczy" zdarzył się zabawny i wzruszający wypadek. Pewien starszy pan z Katowic zwrócił się z prośbą do Kierownictwa Telewizji, by Nel spędziła ferie zimowe w jego towarzystwie, bo lubi on bardzo małe dziewczynki. Gdy Kierownictwo Telewizji ze zrozumiałych przyczyn z żalem odmówiło, starszemu panu z Katowic zrobiło się naprawdę przykro.

CIEKAWOSTKI GEOGRAFICZNE

Gdy u nas szaleje paskudna zima, warto przypomnieć, że w niektórych rejonach Los Angeles panują wieczorem takie upały, że niejedna gwiazda filmowa kąpie się w szampanie. Przypominamy, iż w raz nalanym do wanny szampanie można kąpać się najwyżej trzykrotnie, później traci on już swoją wartość.

WESOŁY PRZEBIERANIEC

W Oksfordzie służba porządkowa odmówiła wpuszczenia na salę, gdzie toczył się bal karnawałowy, osobnika obutego w łapcie z łyka i ze źdźbłami słomy w długiej brodzie. Było potem dużo śmiechu, gdy okazało się, że to książe Kentu przebrany za prasłowianina. Równocześnie znacznie wzrosło zainteresowanie polskimi filmami historycznymi.

MŁODE, TWÓRCZE I NOWE

Pani przedszkolanka z przedszkola im. „Podaj mi skrzydła", znając z opowiadań treść filmu „Ostatnie tango w Paryżu", spróbowała zainscenizować go na terenie Łodzi w wykonaniu swoich milusińskich. Nasze miasto raz jeszcze okazało się lepsze od Paryża! Przybyli na spektakl rodzice stwierdzili, że chłopcy wczuwali się w role lepiej niż dziewczynki. Ogólnie biorąc, dzieci dzięki tangu bardzo się rozwinęły.

MARK KASWINOW

23 STOPNIE W DÓŁ...

INTERWENCJE

W ostatnich dniach maja 1918 r. niedługo po wybuchu buntu legionu czeskiego, kaiserowski minister spraw zagranicznych Richard von Kühlman poprosił do siebie, na Wilhelmstrasse radzieckiego ambasadora A. A. Ioffego i oznajmił mu: rząd niemiecki obawia się, że zbuntowany legion, którym dowodzą Gajda i Syrowy oswobodzi Mikołaja II i wykorzysta go do polityczno-wojennych celów Ententy. To znaczy: car, zamiast znaleźć się w strefie kontrolowanej przez Niemcy i wpływać na przyszłość stosunków rosyjsko-niemieckich zgodnie z życzeniami i interesami Rzeszy, może zostać ogłoszony głównodowodzącym białych armii i w tej roli pomoże im odbudować na wschodzie antygermański front — i to w tym momencie, kiedy „kaiserowska armia przygotowuje się do decydującego uderzenia na Zachodzie w Szampanii". Rząd niemiecki uprzedza: jeśli władze radzieckie nie będą potrafiły przeciwdziałać skutecznie takiemu rozwojowi sytuacji, to wojska niemieckie ruszą na Orszę i Psków, aby następnie obiec i zdobyć Moskwę. Na razie zaś zastosują metodę jawnej pomocy dla kontrolującego okręg Doński atamana Kołczaka i otworzą mu drogę nad Wołgę w głąb kraju. W związku z tym: kardynalnym rozwiązaniem problemu byłoby przekazanie Mikołaja II niemieckim władzom wojskowym co wykluczyłoby dyskusje i nieporozumienia na ten temat.

Strona radziecka uchyliła to ultimatum. Zaraz potem nastąpiła kolejna próba.

Z Darmstadtu zadzwonił do radzieckiej ambasady w Berlinie brat byłej carycy Ernst Ludwig Hessai i powiedział ambasadorowi: on, Ernst Ludwig proponuje Rosji swoje usługi jako mediator w narastającym konflikcie między Berlinem a Moskwą. Usługi są następujące: a) podejmuje się powstrzymać niemiecką ofensywę w Rosji i nieuniknioną w następstwie okupację całego kraju; b) podejmuje się wpłynąć na rząd niemiecki, aby zmniejszył lub anulował w ogóle kontrybucję wynikającą z traktatu brzeskiego i wynoszącą 300 milionów złotych rubli. Cena obydwu usług: uwolnienie i wysłanie do Niemiec carskiej rodziny. Z inicjatywy i w odpowiedzi na apel hr. Mirbacha w maju 1918 r. zbiera się w Moskwie w głębokiej konspiracji zjazd przedstawicieli wszystkich antyradzieckich partii, na którym oficjalni pełnomocnicy kaiserowskich Niemiec poddają pod rozwagę znaną już propozycję wskrzeszenia w Rosji monarchii Romanowych. Na zjeździe ujawniła się różnica zdań między dwiema głównymi grupami „Związkiem Odrodzenia" i „Centrum Narodowym". Obie te grupy są za monarchią, różnica polega na tym, że konserwatyści gotowi są wziąć ją z niemieckich rąk, radykałowie zaś nie chcą przyjąć tego podarku z Berlina. Kandydatem niemieckim był młody Aleksy, radykałowie proponowali Michała Aleksandrowicza. Ostatecznie do zgody nie doszło, zdecydowano się: „Jeszcze trochę poczekać, aż otworzą się drzwi ipatiewskiego domu". Ale drzwi się nie otwierały, Mirbach został zabity, a 10 dni później cały problem przestał w ogóle istnieć.

Były też inne próby.

Ledwie były carski generał P. P. Skoropadski przyjął z rąk okupanta (29 kwietnia 1918 r.) hetmańską buławę, już zwrócił oczy na dom Ipatiewa w Jekaterynburgu. „Pojechał specjalnie do imperatora Wilhelma do Berlina, aby prosić go o bardziej zdecydowane interwencje w tej sprawie... Zrobił wszystko, co było możliwe, aby uzgodnić z rządem niemieckim problemy osiedlenia w Rzeszy carskiej rodziny. Na jego prośbę generał Aighorn i hrabia Mirbach przesłali carowi w Jekaterynburgu oficjalne, ściśle tajne zaproszenie rządu niemieckiego: w tym samym czasie domagali się od radzieckiego rządu pozwolenia na wyjazd carskiej rodziny" — pisał nazistowski autor.

Pozwolenia nie ma. Groźbami się go nie wymusi. Może wobec tego pomoże dywersja? Taką myśl podsuwa kaiserowskim okupantom przybyła do Kijowa trójca: generał Mosołow, książęta Koczubej i Leichtenbergski. W tym czasie ich „jedynym celem było ocalenie cara i jego rodziny, uwięzionych w Jekaterynburgu", w związku z czym, „nawiązali kontakty z niemieckimi władzami". „Niemcy wykazali pełne zrozumienie. Otworzyli nam kredyty bankowe, obiecali dostarczyć karabiny maszynowe, broń i samochody". Wspólny plan jest następujący: skierować uzbrojone parostatki w górę Wołgi i Kamy, założyć bazę w odległości 60 wiorst od Jekaterynburga, a następnie silnym oddziałem wedrzeć się do miasta, do domu Ipatiewa. „Wysłaliśmy do Jekaterynburga zwiadowców. Mieli oni nawiązać kontakty z niemieckimi emisariuszami ukrywającymi się w Jekaterynburgu... Napisałem list do imperatora Wilhelma, który miał wysłać hrabia Alwensleben, znajdujący się w otoczeniu hetmana. W liście tym prosiłem niemieckiego imperatora, aby zapewnił cara, że otrzyma przepustkę i zostanie godnie przyjęty... że w żadnym wypadku nie będzie traktowany jak jeniec wojenny".

Inna próba. 6 lipca 1918 roku, w symbirskim hotelu „Trojce-Spasskaja" odbywa się narada wojenna na temat uwolnienia carskiej rodziny. Przewodniczy naradzie pułkownik Kappel. Obecni są m.in. — b. członek Dumy, znany białogwardyjski politykier Fortunatow, działacz kadecki inż. Lebiediew, dowódca oddziału operacyjnego podziemnej organizacji kapitan Stiepanow. Jednogłośna uchwała mówi: „Dom Ipatiewa szturmować nocą. Odwrócić uwagę Czerwonej Gwardii przez wywołanie zamieszek w Permie i innych pobliskich miastach. Wydzielić specjalny oddział oficerski, który wywiezie rodzinę do specjalnego ukrycia; operacje związać z mocnym słowiańskim (białoczeskim) atakiem; pożądane jest, aby nastąpił on około 15 lipca. Dla uzgodnienia terminów z dowództwem legionu wysyła się do Jekaterynburga kapitana Stiepanowa".

...Nie zdążył jeszcze Stiepanow postawić nogi na jekaterynburgskim peronie, a już został zatrzymany przez pracowników Czeki.

Niektóre podziemne grupy zostają przez czekistów rozbite; inne ciągle działają. Spiskowców jest wielu: jeszcze wiosną monarchistyczne organizacje podążyły w ślad za carską rodziną z Syberii na Ural, ulokowały się w pobliżu domu Ipatiewa. Nadciągnęła tu również liczna carska rodzina, a wśród nich grupa wielkich książąt, wcześniej wysłana z Piotrogrodu do Wiatki. W Jekaterynburgu znaleźli się byli wielcy książęta: Siergiej Michajłowicz, Igor Konstantynowicz, Iwan Konstantynowicz, Konstanty Konstantynowicz, książe Palej, wielka księżna Elizawieta Fiedorowna (siostra carycy), serbska królowa Helena Pietrowna. Zgodnie z postanowieniem Rady Uralskiej zostali oni wszyscy wywiezieni do Alapajewska, 60 wiorst od Jekaterynburga, gdzie umieszczono ich w budynku tzw. „Napolnej Szkoły". Kilkakrotnie agenci Ententy próbowali dostać się do ipatiewskiego domu: raz z fałszywym „pozwoleniem Moskwy", drugi — ze sfabrykowaną przepustką Rady Uralskiej, trzeci raz — pod pozorem konieczności skonsultowania z byłym głównodowodzącym sojuszniczych operacji lata 1918 roku...

c.d.n.

Tłumaczył:

MAREK WAWRZKIEWICZ

MAGAZYN

ODGŁOSY

BOGDA MADEJ

PLAGIAT w KUCHNI

„Pierwszą sztuką świata była — sztuka mięsa!" — pisze Tadeusz Przypkowski w „Prologowej gawędzie", rozpoczynającej „małe kulinarne silva rerum", starannie wydane przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie, pod tytułem: „Łyżka za cholewą a widelec na stole". I kontynuuje: — **„Bo przecież nie był sztuką świeży, jeszcze krwawiący (chociaż niektóre kuchnie dotychczas przy nim pozostały) kawał mięsa, czy to surowy, czy choćby nad ogniskiem przypalony. Ale już sztuką było przyprawianie wody solą i ziołami, by tenże kawał mięsa, odpowiednio przysmaczony, na sztukę mięsa zamienić!"**

Sztuka gastronomiczna — jeśli można użyć tego określenia — stara jest jak świat i dziś w dobie niebywałego rozwoju techniki mogłoby się wydawać, że już nic nowego w tej dziedzinie nie można wynaleźć, żadnej nowej potrawy, nowego sosu wymyślić, nowego dania skomponować, skoro wszystko i tak można będzie kupić w sklepie; w puszce, torebce, butelce. Ale nie jest tak. Ludzie coraz chętniej sięgają do starych przepisów, przypominają sobie recepty babek i matek, aby znaleźć czas na własne pitraszenie i mieć z tego wielką radość i wielkie apetytu zadowolenie.

„Odkrycie nowego dania — napisał Anthelme Brillat-Savarin w „Filozofii smaku" — **większym jest szczęściem dla ludzkości niż odkrycie nowej gwiazdy".** I widać miał rację, skoro dziś coraz częściej na księgarskich półkach ukazują się książki kucharskie, zbiory różnych przepisów, pouczające nas, jak można smacznie przyrządzić to, czym w spiżarce dysponujemy.

Książki kucharskie znane już były bardzo dawno. Oto w **„Uniwersalnej książce kucharskiej"**, wydanej na początku naszego stulecia, **Maria Ochorowicz-Monatowa** tak pisze o historii kucharskich zapisków:

„Grecy już w V wieku przed Chrystusem mieli cały system przyrządów do gotowania i różnych naczyń. Ateneos i Archestratos z Geli (494 rok przed n.e.) piszą o kuchni, podają spisy potraw i sprzęty kuchenne.

...dzieło Greka Archestratosa tłumaczył Quintus Ennius później na język łaciński — a z początkiem XIX wieku (dwadzieścia kilka wieków później) przekład ten łaciński przerabia poeta francuski Berchon (1775 — 1838) w swym poemacie dydaktycznym „La gastronomie".

Mieliśmy i my swoje stare książki kucharskie i choć nie wszystkie do dziś się zachowały, to przecież po różnych kronikach, zapiskach i pamiątkach zachowało się wiele śladów dawnych przepisów i świadectwo tego, jak też uczyliśmy się u innych sposobów przyrządzania dobrych potraw. W XIII wieku Polak Mikołaj po pobycie we Francji wprowadził na stoły dworu Leszka Czarnego potrawy z żab i ślimaków, czym zraził naród do księcia. A o królowej Bonie i włoszczyźnie wie nawet dziecko szkolne. Umiejętności gastronomicznych zawsze młodsi uczyli się od starszych, pomnażając tę wiedzę i wzbogacając ją swymi pomysłami. W spisach potraw przyzwoitych restauracji można i dziś znaleźć kilka historycznych nazwisk osób, które dały nazwy daniom przez siebie ułożonym. Cieszyć się wypada zatem, że i dziś kwitnie ruch edytorski, pomnażający nasze gastronomiczne bogactwo. Żadna to hańba, żaden wstyd wydając współczesną wersję kuchennych sposobów, powołać się na dawne autorytety. Przeciwnie. Jest to raczej dowód erudycji w tej materii, dobrej znajomości rzeczy, gwarancja dobrego smaku.

Stefania Przypkowska, przygotowując do wspomnianej już na wstępie książki **„Łyżka za cholewą a widelec na stole"** rozdział pt.: **„Garść kulinarnych polskich przepisów"**, nie zapomniała powołać się na autorytety autorów i realizatorów tych przepisów. Ów rozdział tak się zaczyna:

„GARŚĆ KULINARNYCH POLSKICH PRZEPISÓW wypróbowanych wielokrotnie w ostatnich co najmniej stu latach w rodzinach Przypkowskich, Ossowskich i Gawrońskich..."

A dalej idą nazwiska tych, którzy te przepisy wielokrotnie próbowali, raczyli nimi gości i dowołać się na źródła, z jakich korzystał przy jej opracowaniu. Tak samo postąpiła **Ewa Orczykowska** w książce **„Goście w domu"** („Watra" 1973). Podobnie — **Irena Głowacka** w książce pt.: **„Pieczenie ciast i ciasteczek"** („Watra" 1974).

Innego zdania w tej sprawie jest **Joanna Mosingiewicz**, która przygotowała niewielkich rozmiarów książeczkę pt.: **„Potrawy z jaj", a „Watra"** w ubiegłym roku wypuściła na rynek czwarte już jej wydanie. Wydawnictwo zastrzega, że **„Wszelkie prawa zastrzeżone — Printed in Poland"** jako że wymyślić ogromną ilość potraw z jaj jest sztuką nie lada i niech sobie inni z tej sztuki tak łatwo nie korzystają bez należytych profitów dla autorki płynących.

Gdybym nie znała trochę książek kucharskich, wydawanych w różnych czasach, to mój podziw dla autorki „Potraw z jaj" byłby wielki. Lojalnie zresztą przyznaję, że książeczka to pożyteczna i serdecznie ją polecam wszystkim paniom i panom czerpiącym zadowolenie z własnoręcznego pitraszenia. Mam jednak żal do autorki tej pożytecznej książeczki, że swoją pracowitość w gromadzeniu przepisów na potrawy z jaj znacznie ograniczyła, nie informując nikogo, kto był jej inspiratorem i skąd czerpała swoją wiedzę.

Na początku XX wieku miał doktor Tarnawski w Kosowie zakład specjalny z kuchnią jarską. Podobny był wówczas u doktora Lahmana pod Dreznem. W zakładzie dr Tarnawskiego kucharzem był **Jan Kazimierz Czarnota.** W 1912 roku, nakładem Księgarni Polskiej B. Połanieckiego we Lwowie, ukazało się trzecie wydanie **„Kuchni jarskiej" J. K. Czarnoty.** Była to książka na owe lata bardzo popularna, starannie wydana i kilkanaście lub może kilkadziesiąt jej egzemplarzy zachowało się do dnia dzisiejszego. Gdy porówna się egzemplarz „Kuchni jarskiej" J. K. Czarnoty, a szczególnie przepisy na sporządzanie potraw z jaj i egzemplarz „Potraw z jaj" Joanny Mosingiewicz, to wtedy łatwo można znaleźć odpowiedź na pytanie o źródło jej wiedzy.

J. K. CZARNOTA: „Budyń z parmezanu. Sześć łyżek masła zagotować z ćwierć litrem wody, czterema kostkami cukru, szczypta soli. Wsypać na to ośm łyżek mąki i zaparzyć, wyrabiając szpatelką; zdjąć z ognia i wystudzić, dać do makutry, wbić ośm żółtek po jednym i rozcierać. (...)"

J. MOSINGIEWICZ: „W rondelku zagotować szklankę wody z 9 dkg masła, cukrem i odrobiną soli. Wsypać mąkę mieszając a po zaparzeniu wyrobić ciasto łopatką, zestawić z ognia, przełożyć do kamiennej miski. Po ostygnięciu dodawać kolejno żółtka, starannie rozcierając masę. (...)"

Język jest oczywiście inny. Nie każdy dziś wie, co to była „makutra". Ba, nie każdy dziś wie, co to są „czarne oliwki", które J. K. Czarnota każe używać do sosu grzybowego podawanego do budyniu z grzybów. J. Mosingiewicz powtarza ten przepis, nie wyjaśniając jednak, co to są „czarne oliwki" i gdzie je można kupić. Również proporcje są te same. J. K. Czarnota zastrzega się na wstępie, że wszystkie jego przepisy sporządzone są według proporcji przeznaczonych dla 6 osób, J. Mosingiewicz rekomenduje je dla 4 osób, ale nie zmienia ilościowych proporcji produktów stosowanych przez J. K. Czarnotę. Nawet kolejność przepisów na budynie i suflety jest niemal identyczna.

Drobiazg — można powiedzieć. Można. Prawa autorskie J. K. Czarnoty dawno wygasły. Zapewne. Ale — moim zdaniem — nie byłoby ujmą dla J. Mosingiewicz, gdyby we wstępie czy komentarzu powołała się na swego znakomitego kolegę z przeszłości. W końcu był to jeden z prekursorów kuchni jarskiej w historii polskiej książki kucharskiej. A tak — głupia sprawa, chociaż drobna.

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

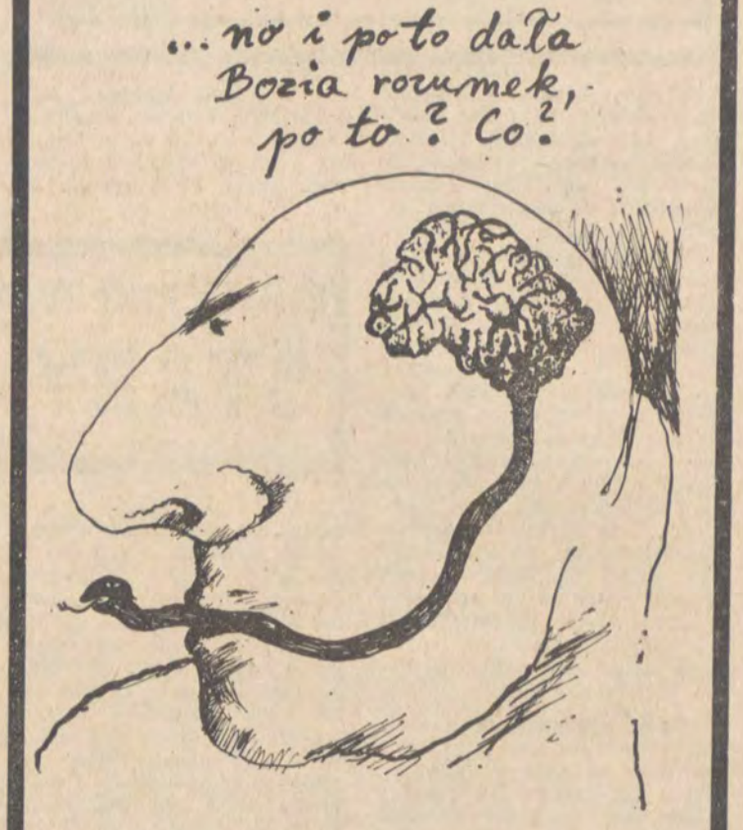

POWIĘKSZENIA

GDZIE JEST LATO?

W Australii ciągle jest lato. Zjawisko to bardzo jest na rękę łódzkiej popołudniówce, która dzięki temu publikuje zdjęcia dziewcząt w kostiumach kąpielowych.

W związku z tym donosimy, że w Australii ostatnio bardzo się ochłodziło, natomiast upały panują w Kalifornii.

INFORMACJA

„Express Ilustrowany" donosi, że pani Sabina R. z ulicy Piaskowej nielegalnie handluje alkoholem. Podano nawet cenę. U pani Sabiny pół litra kosztuje 18 złotych drożej niż w sklepie. Narzut, jak widać, mniejszy niż w gastronomii.

Mamy nadzieję, że to potrzebna i przemyślana informacja reklamowa (z podaniem dokładnego adresu) ucieszy zarówno panią R. jak i klientów.

DOM UCIECH

Znana jest aktorska anegdota o Mieczysławie Frenklu i popularnym swego czasu komiku, Gierasińskim „Jak to się dzieje — pytał ktoś Frenkla — że pan, najwyższej rangi aktor komediowy, ma gażę 1200 zł miesięcznie, gdy tymczasem Gierasiński z kabaretu zarabia 4500 zł?".

— Pomarańcza w eleganckim sklepie kosztuje złotówkę, a w burdelu 4.50 zł — odparł Frenkiel.

„Głos Robotniczy" cytując tę anegdotę w wywiadzie z Henrykiem Bąkiem, burdel zamienił na „dom uciech". Anegdota nieco straciła na soczystości, ale morale czytelników „Głosu" nie zostało narażone na szwank.

DALSZY CIĄG KONSUMPCJI

Reporter „Dziennika Łódzkiego" w kolejnej relacji z podróży do Japonii, opowiada, co jedzono i pito.

Cytujemy: „Dwie szklanki szampana, coctail chabarowski, dwie butelki mineralnej i pół litra „Stołecznej", sok brzoskwiniowy (bułgarski)..."

Nazajutrz też nie zaniedbano posiłków: „Rano na śniadanie sałatka z pomidorów, grube płaty łososia, doskonały chleb, herbata... i sok grapefruitowy". Koniec cytatu.

Dalszy ciąg konsumpcji za tydzień.

JACEK BROMSKI - STORY

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 2987. U-10. Nr indeksu 37006/36762